

**KTO DZIŚ
RZĄDZI ROSJĄ**

**NARODOWY
BANK PiS**

**JAK ROZMAWIAĆ
O WOŁYNIU**

**DZIKIE ŻYCIE
NA OSIEDLU**

Kraków 9 lipca 2023 nr 28 (3861)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

KORA
jest
na teraz

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425





Amsterdam i kwitnące tulipany

Odwiedź Amsterdam wiosną i zobacz kwitnące tulipany w parku Keukenhof.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Amsterdamu. Wiatrak w Zaanse Schans. **Dz. 2** Amsterdam – rejs po kanałach i pływający targ kwiatowy. **Dz. 3** Park kwiatowy Keukenhof. Wizyta na farmie serów. **Dz. 4** Amsterdam – czas wolny i powrót do Warszawy.

4 dni | Wyloty z Warszawy 03/04, 07/04, 22/04 2024

4.348,-



Uganda – na tropie goryli i szympanсів

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy i przylot do Entebbe w Ugandzie. **Dz. 2** Przejazd do Parku Narodowego Kibale i spacer po bagnach Bigodi. **Dz. 3** Tropienie szympanсів. Podróż do Parku Narodowego Królowej Elżbiety i rejs statkiem. **Dz. 4** Klasyczne safari w Parku Narodowym Królowej Elżbiety. **Dz. 5** Safari w drodze do Parku Narodowego Bwindi Impenetrable Forest. **Dz. 6** Na tropie goryli. Trekking w parku Bwindi. **Dz. 7** Wycieczka do Parku Narodowego Lake Mburo z safari. **Dz. 8** Przejazd do Jinja. **Dz. 9** Wycieczka do źródeł Nilu i Jeziora Wiktorii. Powrót z Entebbe. **Dz. 10** Przylot do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 18/10 2023

28.998,-

NOWOŚĆ



Śladami Aleksandra Wielkiego

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Skopje, Macedonia. Zwiedzanie stolicy. **Dz. 2** Skopje – Bitola – Ochryda. Zwiedzanie ruin w Stobi oraz Heraklei. **Dz. 3** Ochryda – zwiedzanie miasta i rejs po Jeziorze Ochrydzkim. **Dz. 4** Ochryda – Naousa – Pella – Saloniki, Grecja. Degustacja wina i wizyta w miejscu narodzin Aleksandra Wielkiego. **Dz. 5** Saloniki – Wergina – Saloniki. Grobowce w Werginie, zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 6** Saloniki – Edirne, Turcja. Spacer wybrzeżem Morza Egejskiego i zwiedzanie Edirne. **Dz. 7** Edirne – Stambuł. Przyjazd do Stambułu i rejs po Bosforze. **Dz. 8** Stambuł. Zwiedzanie miasta, w tym Błękitny Meczet, Sultanahmet i lokalny bazar. **Dz. 9** Stambuł – Warszawa. Czas na własną rękę i powrót do Polski.

9 dni | Wylot z Warszawy 24/09 2023

7.298,-



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP25

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: Jak zaprowadzić pokój

PAPIEŻ WYBRAŁ KARDYNAŁA MATTEO ZUPPIEGO do wypełnienia misji w Kijowie i Moskwie. Wybrał go, bo wiedział, że z powodzeniem pełnił takie funkcje, przyczyniając się np. do przywrócenia pokoju w Mozambiku (negocjacje 1990-1992) po 16 latach wojny domowej. Obecna misja – w Kijowie i Moskwie – była jednak (i jest) znacznie trudniejsza.



Jeśli pierwsze reakcje papieża Franciszka na wieści o wojnie z Ukrainą zbulwersowały świat, to dzisiaj jego stanowisko nie wywołuje wątpliwości. Możliwe, że do zmiany jego stanowiska przyczyniła się rozmowa ze Światosławem Szewczukiem, greckokatolickim arcybiskupem metropolitą Kijowa. To stanowisko dobrze określa sekretarz stanu kard. Pietro Parolin, który ostatnio w Rejkiawiku, na spotkaniu Rady Europy, powiedział: „Wspólnie z papieżem Franciszkiem, wraz z Ukrainą powinniśmy zapytać, jak zaprowadzić pokój: nie możemy biernie akceptować tego, że w tym kraju trwa nadal wojna. To naród ukraiński umiera i cierpi. Nadszedł czas, by podjąć inicjatywę w celu osiągnięcia sprawiedliwego pokoju na Ukrainie i we wszystkich tak zwanych »szarych strefach« w Europie. Zapewniam, że Stolica Apostolska będzie nadal odgrywać swoją rolę”.

67-letni dziś kard. Matteo Zuppi w roku 1973 poznał założyciela wspólnoty Sant'Egidio Andree Riccardiego i od tego czasu pozostaje związany ze wspólnotą. O rozmowach w Kijowie, o stopniowym pokonaniu oporów po stronie ukraińskiej opowiedział abp Światosław Szewczuk. Rozmowy kijowskie można uznać za udane. Gorzej było w Moskwie. Kardynała przyjął doradca Putina ds. polityki międzynarodowej. Minister spraw zagranicznych Siergiej

Ławrow nie znalazł czasu na rozmowę z kardynałem. Zuppi jednak wie, że na podejmowanie takich rozmów i na ich efekty trzeba cierpliwie i czasem długo czekać.

Początkowe nastawienie papieża Franciszka oburzyło jednych, zgorszyło innych. Myślę, że historia się powtarza. W głowie papieża nie mieściło się to, co mieściło się świetnie w głowach przywódców Rosji, a kiedyś Niemiec – co uświadomił papieżowi abp Światosław Szewczuk i, oczywiście, wydarzenia, które nastąpiły potem.

Wojna rozpętana przez Rosję jest szaleństwem, lecz jednocześnie aktem zemsty na Ukrainie, która nie chciała być biernym wykonawcą planów Rosji. Że nie chodzi tu tylko o Ukrainę, zauważyli przede wszystkim Amerykanie, a za nimi inne demokratyczne kraje. Wojna, jak to wojny, nie wiadomo, kiedy się skończy i jak. To wszystko, co dzieje się obecnie, przy jednoczesnym ograniczeniu – co zrozumiałe – informacji czyni sytuację jeszcze bardziej tajemniczą. Stanowczość Ameryki i innych państw wspierających Ukrainę uświadamia, że sprawa jest niezwykle poważna. Jaki będzie ciąg dalszy, jakie zakończenie – trudno przewidzieć. Jest pewne, że obraz Ukrainy i Ukraińców uległ zasadniczej zmianie. Starania – jakoś zrozumiałe – by wrócić do pretensji o wymordowanie Polaków w latach 40., choć nie ustają, wydają się jakby nie na czasie. Kwestionowanie tamtych strasznych wydarzeń nie ma sensu. Są faktem zapisanym w pamięci wielu rodzin. Ważna jest też droga, którą przeszli Ukraińcy od tamtych czasów do dziś. Owszem, pamięć, groby, pomniki i opisy przeszłości – jak najbardziej. Milczenie jest najgorszym sposobem reagowania, a do tego nieskutecznym. Winniśmy sobie nawzajem i pamięć, i pokój.

© P



TYGODNIK POWSZECHNY

89 km na 89. urodziny!

Idź, biegnij albo jedź – na urodziny Redaktora Seniora

Daj Solenizantowi w prezencie swój wysiłek i kalorie.

W zamian dostaniesz zdrowie, dobre samopoczucie i prezenty od redakcji „Tygodnika Powszechnego”.

Zapisz się już teraz!

Szczegóły na powszech.net/89

PARTNER:

DATASPORT

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAZYNA MAKARA



27 Prosimki, kulanki i skulice
ROZMOWA Z MICHAŁEM KSIĄŻKIEM,
REPORTEREM:

*Zasady panujące w naszych domach
chcemy przenieść na zewnątrz.
To droga donikąd.*



32 Jestem wściekła

ZUZANNA RADZIK

*Historia opowiadana przez autorkę książki „Nie umarłam”
to opowieść o paradoksie wspólnoty, która daje sens i jednocześnie
jest miejscem doświadczania krzywdy. A także o marzeniu.*



50 Jestem, by opowiadać

ROZMOWA Z WOJCIECHEM GRZĘDZIŃSKIM,

FOTOREPORTEREM: *Tracisz nagle dwie córki, tracisz swoją
przyszłość, całe swoje życie. Jak to ogarnąć? Ten dramat dotyka
w Ukrainie całe pokolenia.*

54 Litewskie Lazurowe Wybrzeże

MARTA PANAS-GOWORSKA I ANDRZEJ GOWORSKI
Z POŁĄGI (LITWA)

*Słynie z zabytkowej drewnianej architektury, która stylem
przypomina polskie kurorty. Kiedyś lato spędzali tu
Witkiewicz, Rydel i Sienkiewicz.*



**62 Panikarz
liryczny**
ROZMOWA
Z EWĄ LIPSKĄ,
POETKĄ:

*Czy poetów
zastąpi sztuczna
inteligencja? Już
próbuję, ale nie
słyszę w tym
bicia serca.
Jeszcze.*

77 Potęga mitu

BEATA
CHOMĄTOWSKA

*Dlaczego Kora
powraca do nas
z taką siłą? By to
zrozumieć, trzeba
zrekonstruować jej
życie i odczytać
go po swojemu,
jak Katarzyna
Kubisiowska
w bestsellerowej
biografii. I jak my
wszyscy.*



6 W pętli przemocy
SZYMON ŁUCYK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

20 Narodowy Bank Partii
STEFAN SĘKOWSKI: *Zależność banku centralnego od władz sprawia, że cierpią na tym wszyscy obywatele, także zwolennicy rządu*

24 Domy pomocy w umieraniu
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Zdawało się, że pandemia i fala ofiar w polskich DPS-ach obnażą ze szczerem anachroniczność tych placówek. Zagrożenie minęło, ale one mają się świetnie*

27 Prosiönki, kulanki i skulice
ROZMOWA
Z MICHAŁEM KSIĄŻKIEM

■ ■ **WIARA**

32 Jestem wściekła
ZUZANNA RADZIK

36 Polityczny wirus
MARCIN CHODUŃ: *Polityka i religia w Polsce nadal się przenikają, choć nie powinny*

38 Dywizje papieża
EDWARD AUGUSTYN: *Zrozumienie w Kijowie i upokorzenie w Moskwie – to spotkało papieskiego wysłannika kard. Matteo Zuppiego podczas misji dyplomatycznej*

■ ■ **ŚWIAT**

42 Jak rozmawiać o zbrodni wołyńskiej
ANNA WYLEGAŁA: *Polsko-ukraińskie relacje pozostają w cieniu tamtej nierozliczonej zbrodni*

TEMAT TYGODNIKA



NATALIA KOLESNIKOVA / AFP / EAST NEWS

12 Wielka ojczyzniana specoperacja militarna

DR ADAM EBERHARDT, POLITOLOG:
Rosyjska elita, choć zjednoczona wokół celu, jakim jest utrzymanie się u władzy, jest zarazem bardzo podzielona. To dobra wiadomość dla Ukrainy.

15 Wszystkie pucze Rosji
KRZYSZTOF STORY

■ **FELIETONY** ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 WOJCIECH BONOWICZ 53 JACEK PODSIADŁO
74 OLGA DRENDĄ 75 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: KORA, 2011 R.
ZDJĘCIE: JACEK POREMBA

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

46 Co się dzieje ze Słowacją
ROZMOWA Z MICHAŁEM VAŠEČKĄ, SOCJOLOGIEM: *Aż 55 procent Słowaków wierzy w teorie spiskowe*

49 Eugenika po japońsku
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO: *Mniej lub bardziej przymusowe sterylizacje kładą się cieniem na historii wielu krajów. Dziś dyskutuje się o nich także w Japonii*

50 Jestem, by opowiadać
ROZMOWA Z WOJCIECHEM GRZĘDZIŃSKIM

■ ■ **HISTORIA**

54 Litewskie Lazurkowe Wybrzeże
MARTA PANAS-GOWORSKA
I ANDRZEJ GOWORSKI

■ ■ **NAUKA**

58 Na tropie ciemnej materii
WOJCIECH BRZEZIŃSKI *o jednej z największych zagadek fizyki. Nie wiemy, z czego się składa ani czy w ogóle istnieje*

■ ■ **KULTURA**

62 Panikarz liryczny
ROZMOWA Z EWĄ LIPSKĄ

66 Wyznania i wprawki
IGOR KIERKOSZ: *Almodóvar zawsze chciał być pisarzem, tylko że lepiej wychodziły mu scenariusze filmowe*

69 Zaościć naturalnie
JAN BŁASZCZAK: *Piętnaście miesięcy wystarczyło, by Marek Pospieszalski podbił polską scenę jazzową*

72 Katakumby pamięci
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Mario Martonego „Nostalgia”*

73 Geometra w łódówce
LEKTOR *o listach Sławomira Mrożka i Józefa Czapskiego*

■ ■ **ZMYŚŁY**

76 Potęga mitu
BEATA CHOMĄTOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Wojny narkotykowe w Syrii**

Wykrwawiona w dziesięcioletniej wojnie domowej Syria przepoczwarzyła się w narkotykowe królestwo – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Punkt zwrotny**

Fotograf **WOJCIECH PLEWIŃSKI** w Podkaście Tygodnika Powszechnego o punktach zwrotnych w życiu osobistym i zawodowym. Zaprasza **KATARZYNA KUBISIOWSKA** | TygodnikPowszechny.pl/podcast

Serwisy specjalne: patrz szerzej

WAKACJE Z „TYGODNIKIEM”

Przygoda jest tutaj

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/WAKACJE



OBRAZ
TYGODNIA

W PĘTLI PRZEMOCY

Francja z trudem dochodzi do siebie po największych od osiemnastu lat gwałtownych rozruchach, które miały miejsce na przedmieściach licznych miast w całym kraju.

SZYMON ŁUCYK
Z BEAUVAIS (FRANCJA)

POWYŻEJ:
Zamieszki w Nanterre pod Paryżem,
29 czerwca 2023 r.

BILANS PRAWIE TYGODNIA WALK MŁODzieżowych grup z policją jest porażający: ponad tysiąc zdewastowanych lub splądrowanych budynków (komisariatów, merostw, sklepów, banków, a nawet szkół czy bibliotek miejskich), kilka tysięcy spalonych aut, 700 rannych funkcjonariuszy.

Gwałtowne zamieszki, w wielu miejscach przypominające sceny miejskiej partyzantki, wybuchły w Nanterre pod Paryżem we wtorek, 27 czerwca, wieczorem. Fala przemocy szybko rozlała się na cały kraj, zwłaszcza na przedmieścia metropolii – stolicy, Lyonu, Marsylii, Tuluzy – ale też w małych miastach. Do stłumienia zamieszek minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin wysłał 40 tys. żandarmów i poli-

cjantów, a także pojazdy opancerzone i jednostki komandosów. Według źródeł policyjnych w nocy z niedzieli na poniedziałek napięcie zdecydowanie spadło – choć podpalono kilkadziesiąt budynków i prawie 300 aut.

Zapalnikiem rozruchów było zastrzeżenie przez policję 17-letniego kierowcy Nahela M., Francuza algierskiego pochodzenia. Zginął on 27 czerwca w Nanterre po tym, jak odmówił poddania się kontroli drogowej. Policjant strzelił w klatkę piersiową nastolatka z bliskiej odległości. Nagrania wideo z miejsca wypadku, a także zeznania świadków zaprzeczyły twierdzeniom policjanta, że działał w obronie koniecznej. Obecnie 38-letni funkcjonariusz jest w areszcie, prokuratura postawiła mu



zarzut zabójstwa z premedytacją. Nagranie udostępniane w mediach społecznościowych uruchomiło lawinową reakcję – apelowo o osądzenie policjanta towarzyszyło wezwanie internautów do „pomszczenia Nahela”.

Ostatnie wydarzenia to największy konflikt na przedmieściach od czasu rozruchów w 2005 r. w podparyskim departamencie Seine-Saint-Denis. Uliczne walki młodzieżowych grup (w tym nastolatków w wieku nawet 12-13 lat) z policją trwały wtedy aż trzy tygodnie i skutkowały wprowadzeniem stanu wyjątkowego w całym kraju. Mając to w pamięci, prezydent Emmanuel Macron próbował teraz za wszelką cenę uspokoić

nastroje. Zaraz po śmierci nastolatka nazwał zachowanie policjanta „niezrozumiałym” i „niewybaczalnym”; potępił także rozruchy. Do apeli o zaprzestanie przemocy na przedmieściach włączyli się piłkarze francuskiej reprezentacji z Kylianem Mbappé na czele, sami pochodzący z tzw. trudnych dzielnic.

Rozruchy na ubogich blokowiskach, zamieszkałych w dużej mierze przez imigrantów spoza Europy i ich potomków, są wodą na młyn dla głównej siły opozycyjnej we Francji – nacjonalistycznej formacji Marine Le Pen. Są one też pożywką dla retoryki antyimigranckiej w innych częściach Europy, także w Polsce. Ta retoryka pomija (lub świadomie defor-

muje) fakt, że sprawcami zamieszek są młodzi ludzie urodzeni i dorastający we Francji, a nie przybyli do niej niedawno imigranci. Podłożem społecznym tych gwałtownych konfliktów jest w dużej mierze „gettoizacja” licznych francuskich dzielnic. Bez odzyskania tych – jak się je nazywa nad Sekwaną – „straconych terytoriów Republiki” nie będzie można trwale zgasić płomieni na przedmieściach. To największe dziś wyzwanie dla Francji: przywrócenie na tych terenach bezpieczeństwa oraz wprowadzenie tam edukacji i usług publicznych na przyzwoitym poziomie.

Rozruchy po śmierci w Nanterre wywołują też dyskusje o konieczności zreformowa-

nia policji. Zdaniem mediów, m.in. dziennika „La Croix”, niezbędne jest lepsze szkolenie mundurowych, a także zmiana prawna ograniczająca możliwość nadużywania broni palnej przez policję, jak w przypadku Nanterre.

Ostatni tydzień zdaje się potwierdzać, że Francja, rozdarta wewnętrznymi konfliktami od czasu wystąpienia ruchu żółtych kamizelek w 2018 r., nie radzi sobie z uliczną przemocą. Można mieć tylko nadzieję, że wstrząs spowodowany skalą zniszczeń z minionego tygodnia wywoła wreszcie otrzeźwienie – po wszystkich stronach.

©

Tekst ukończono
w poniedziałek 3 lipca.


RAFAŁ HALIK, EPIDEMIOLOG:

*Zniknęło przekonanie,
że choroby zakaźne
to plagi z wieków
średnich*

MACIEJ MÜLLER: 1 lipca rząd zniósł stan zagrożenia epidemicznego. Możemy mówić o końcu pandemii COVID-19?

RAFAŁ HALIK: Myślę, że z pandemią się pożegnaliśmy, a obecnie mamy już endemię: wirus nie zaniknął, ale zachorowalność od dłuższego czasu waha się w podobnym zakresie. Jednak, co ważne, SARS-CoV-2 nadal krąży w środowisku.

Mógłby nam jeszcze realnie zagrozić?

Już raz, 20 lat temu, daliśmy sobie spokój z pilnowaniem pradziadka tego koronawirusa, czyli SARS. Potem zdarzyła się ograniczona epidemia mało zaraźliwym, acz bardzo zjadliwym MERS. Wirus najprawdopodobniej żył sobie wśród innych gatunków niż człowiek, mutował, przeskakiwał między gatunkami. Niebezpiecznie jest dopuścić do takiej sytuacji.

Wirusolodzy postąpili lekkomyślnie?

Nie powiedziałbym tak, bo obserwowali setki potencjalnie groźniejszych wirusów. Była jednak grupa naukowców, w tym prof. Krzysztof Pyrc, która to robiła i o to apelowała. Z perspektywy czasu widać, że mieli rację. Musimy jak najwięcej wiedzieć na temat tego, co dzieje się z wirusem u ludzi i w środowisku naturalnym. Pozwoli to w przyszłości być dwa kroki przed nim, przygotować odpowiednio zmodyfikowane szczepionki, odizolować ogniska zakażeń nowymi wariantami, także wśród zwierząt.

Nie możemy też jako obywatele pozwolić sobie na lekceważenie covidu jako choroby, przestać się szczepić i zapobiegać infekcjom. Przy niskiej

liczbie zakażeń i jednoczesnym braku szczepień może bowiem dojść do sytuacji, kiedy wiele osób nie będzie już odpornych, co może otworzyć drogę tzw. epidemiom wyrównawczym. One z kolei zwiększają ryzyko pojawiania się nowych mutacji. Dlatego zaszczepienie się pomaga nie tylko konkretnej jednostce – ma znaczenie w globalnej wojnie z tym problemem.

Czy polski system ochrony zdrowia nauczył się czegoś przez lata pandemii?

Zniknęło przekonanie, że choroby zakaźne to plagi z wieków średnich. Dużo się nauczyliśmy na poziomie operacyjnym i codziennej praktyki funkcjonowania ochrony zdrowia i sanepidu. Więcej uwagi poświęcamy profilaktyce grypy i innych chorób zakaźnych, jak RSV, bardziej się przejmujemy antybiotykoopornością. Pozytywnym zjawiskiem jest przyspieszona informatyzacja opieki zdrowotnej.

W wymiarze strategicznym natomiast mam wrażenie, że wsadziliśmy już głowę w piasek, brakuje solidnego bilansu. Personel wyszedł z czasu pandemii wypalony, przemęczony i niestety nie zauważam, by ten problem został dostrzeżony na szczeblach decyzyjnych. Już przed covidem nastroje w środowisku były złe. Nadal są zamykane oddziały szpitalne, bo lekarze odchodzą z pracy albo zmniejszają jej wymiar. To nie pomoże w nadrobieniu długu zdrowotnego, czyli zaniedbań problemów związanych z opóźnioną diagnostyką i leczeniem. © TP

RAFAŁ HALIK jest epidemiologiem i specjalistą zdrowia publicznego.

Czytaj więcej:
powszech.net/koniec-pandemii



Ukryte zyski

KRZYSZTOF STORY

WUBIEGŁYM ROKU LASY PAŃSTWOWE POBIŁY finansowe rekordy: miały o 5 mld zł wyższy przychód i zarobiły 285 mln zł więcej niż w 2021 r. Dlaczego przychody rosną 17 razy bardziej niż zysk na czysto? Tylko częściowo tłumaczą to rosnące koszty i pensje (średnie wynagrodzenie w LP przekracza 10 tys. zł). Kluczowym elementem jest fundusz leśny.

To wspólna kasa zapomogowa – biedniejsze nadleśnictwa dostają wyrównanie od tych, które przeżywają hośną, a procent jest ustalany każdego roku przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska. W 2021 r. stawka wynosiła 12 proc., w 2022 podniesiono ją do 22 proc. To właśnie schowane w funduszu leśnym miliardowe zyski wzięła pod lupę NIK. W raporcie czytamy: „wydatki te dokonywane były w sposób uniemożliwiający rzetelną ocenę zasadności ich poniesienia”. Okazało się, że LP nie muszą dokumentować, jakie cele realizują, wydając pieniądze z funduszu. W dodatku ustawa pozwala z tych składek realizować „wspólne przedsięwzięcia jednostek organizacyjnych Lasów Państwowych”, co jest pojęciem doskonale nieprecyzyjnym. W dwóch nadleśnictwach (Ostrołęka i Ciechanów) kontrolerzy NIK po prostu się poddali.

Mówiąc krótko: miliardy z funduszu leśnego są wydawane według widzimisię dyrekcji LP. Tam zaś nie sposób nie zauważyć politycznych wpływów Suwerennej Polski.

Mamy więc opłacane z funduszu remonty dróg, czeki pokazowo rozdawane samorządom (głównie tym powiązanim z SP) czy konkursy, w których ze 118 beneficjentów większość stanowią parafie, a LP finansują takie projekty jak złozenie ołtarzy czy nowe meble w zakrystii. Fundusz leśny coraz mniej służy lasom, a coraz bardziej wyborczej walce o głosy. © TP

Postowie SP prezentują w Sejmie podpisy w obronie Lasów Państwowych. Warszawa, 12 kwietnia 2023 r.



NA PUNKTY

USTALANIE

Wiadomości TVP, powołując się na dziennikarzy śledczych „Super Expressu”, ustaliły w zeszłym tygodniu, że Donald Tusk nosi zamszowe buty za prawie 4 tysiące zł. Wyemitowany nazajutrz (w związku z „falą komentarzy” po pierwszym materiale) drugi materiał TVP potwierdził ustalenia pierwszego.

ODPIERANIE

Zwierzchnik Jarosława Kaczyńskiego, premier Morawiecki po powrocie z Brukseli pojechał do Kościerzyny, gdzie zapowiedział uszczelnienie granicy z Białorusią, a także zdał relację z odpierania przez siebie unijnego „dyktatu” ws. polityki migracyjnej. Głosy, że granica jest już uszczelniona, a sprzeciw nie zmieni nic w ustalaniu wspomnianej polityki, nie pokrzyżowały premierowi planów dalszego uszczelniania i odpierania.

SONDOWANIE

Poddawać się w tej ostatniej sprawie nie zamierza również prawicowy portal wPolityce.pl. Zlecił on sondaż mający odpowiedzieć na pytanie, czy według Polaków napływ do Polski imigrantów z Azji i Afryki – o tym, że napływ ten nie nastąpi, gdyż Polska się nań nie zgadza, portal donosi w innym miejscu – zwiększy przestępczość. Wynik (62 proc. przekonanych, że przestępczość się zwiększy) wraz z całym artykułem redakcja opatrzyła zdjęciem imigrantów dokonujących przestępstw na paryskich ulicach. ©



Jaka oferta dla Ukrainy?

WOJCIECH PIĘCIAK

JAK ZAPEWNIĆ POKÓJ, BEZPIECZEŃSTWO i wolność? Koniec końców do tego sprowadzały się dyskusje i decyzje podczas kolejnych szczytów Paktu Północnoatlantyckiego, w których ustalano wspólne strategię i plany polityczno-obronne Sojuszu. Podobnie na tym, który odbędzie się w Wilnie 11 i 12 lipca: w jego centrum stać będzie wojna Rosji przeciw Ukrainie i pytanie, co Sojusz może zaoferować Ukraincom.

Piętnaście lat temu, na szczycie NATO w kwietniu 2008 r., kanclerz Merkel i prezydent Sarkozy popełnili błąd: ich stanowczy sprzeciw wobec jakichkolwiek decyzji, które na poważnie podjęłyby kwestię członkostwa Ukrainy i Gruzji (uzasadniony tym, by nie prowokować Rosji), okazał się dla Putina zachętą: odebrał to jako sygnał, że ma wolną rękę. Ciąg dalszy znamy: kilka miesięcy później atak na Gruzję, potem zabór Krymu, ośmioletnia wojna w Donbasie i pełnoskalowa inwazja mająca zlikwidować Ukrainę jako niepodległe państwo. To Putin doprowadził do sytuacji, w której dla (prawie) wszystkich w Europie jest jasne, że gwarancją pokoju, bezpieczeństwa i wolności stało się członkostwo Ukrainy w NATO – ono może dać w przyszłości pewność, że Rosja znów nie zaatakuje.

Jednak wejście Ukrainy do NATO tak po prostu – jak niedawno Finlandii (Szwecja wciąż czeka pod drzwiami, jej akcesję blokuje prezydent Turcji) – jest niemożliwe. Ukraina tego chce, to oczywiste. Ale przyjęcie kraju toczącego wojnę obronną oznaczałoby, że z tą chwilą inne państwa byłyby traktatowo zobowiązane do udzielenia napadniętemu pomocy obejmującej także wysłanie żołnierzy. Na coś takiego w krajach NATO nie ma zgody.

Zależność ta sprawia zarazem, że Putin – dla którego pokój nigdy nie był wartością, za to wojna zawsze była akceptowanym narzędziem uprawiania polityki – tym bardziej nie jest zainteresowany jej zakończeniem. Również takim, w którym Ukraina rezygnuje np. z Krymu. W interesie Putina – dziś również z punktu widzenia trwania jego władzy – jest wojna, która nie ma końca.

Co NATO może więc zaoferować Ukrainie? Chyba tylko obietnicę członkostwa w przyszłości. I może gwarancję (czy ujętą jako systemowo?) podtrzymywania tej „pomocy dla samopomocy”, która trwa na wielką skalę od 24 lutego 2022 r., a bez której kontynuowanie wojny obronnej byłoby niemożliwe. Chyba że przywódcy krajów NATO czymś nas zaskoczą? ©



W Izraelu chrześcijanie są prześladowani

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

OPLUWANIE, DEWASTOWANIE kościołów i cmentarzy, ataki słowne i fizyczne – to codzienność księży i zakonnic w Jerozolimie. Od początku roku stołeczni chrześcijanie coraz częściej padają ofiarą przemocy ze strony żydowskich ortodoksów. Choć ataki względem chrześcijan nie są w Jerozolimie nowością, księża i działacze na rzecz dialogu

chrześcijańsko-żydowskiego dostrzegają bezpośredni związek między ich intensyfikacją i dojściem do władzy nacjonalistycznego rządu z szeroką reprezentacją środowisk ortodoksyjnych, co ma oznaczać większe przyzwolenie na zachowania nacjonalistyczne, ksenofobiczne i skierowane przeciw wyznawcom innych religii.

Problem szeroko komentują izraelskie media. W reportażu Kanału 13 izraelskiej telewizji reporter Yossi Eli przebrany za franciszkanina na własnej skórze doświadcza agresji ze strony m.in. ortodoksyjnych dzieci, a nawet żołnierza. Przewodniczący Knesetu Amir Ochanana spotkał się z łacińskim patriarchą Jerozolimy Pierbattistą Pizzaballą i publicznie potę-

pił ataki, zapewniając o swoim zaangażowaniu w promowanie dialogu międzyreligijnego i wolności religijnej.

W swojej międzynarodowej strategii PR-owej Izrael dba o wizerunek kraju chroniącego mniejszości wyznaniowe, szczególnie chrześcijan. Ale rzeczywistość jest odległa od ideału. Zmiana – poza surowszym egzekwowaniem prawa przez policję – musi przede wszystkim objąć społeczność ortodoksyjną i jej edukację. Jednak woli zmiany przy tym układzie politycznym nie ma co oczekiwać. ©

Rekordowa liczba wystąpień z niemieckich Kościołów

APOSTAZJE ■ „Kościół katolicki umiera na oczach opinii publicznej” – tak kanonista prof. Thomas Schüller skomentował opublikowane przez niemiecki episkopat statystyki za rok 2022. Z Kościoła wystąpiło 522 821 osób (pozostaje w nim 21 mln). Tym samym pobity został dotychczasowy rekord wystąpień (prawie 360 tys.) z 2021 r. W Niemczech apostazja jest stosunkowo prosta: wystarczy przestać opłacać podatek



kościelny. To ułatwia wyrażenie protestu, a wśród niemieckich katolików od dawna wrze. W zeszłym roku poziom niezadowolenia wzrósł zwłaszcza po raporcie o nadużyciach seksualnych duchowieństwa w archidiecezji monachijskiej. Nastrojów nie są w stanie uspokoić ani Droga Synodalna, ani prace synodu o synodalności. Coraz mniej katolików wierzy, że Kościół może się zreformować.

Porzucanie katolicyzmu wpisuje się w ogólny kryzys chrześcijaństwa zachodniego. Z masowym „rzucaniem papierami” mierzy się również Kościół Ewangelicki Niemiec: w 2022 r. odeszło 380 tys. wiernych (100 tys. więcej niż rok wcześniej). Po raz pierwszy po zjednoczeniu Niemiec odsetek katolików i luteranów spadł poniżej 50 proc. społeczeństwa (15 lat temu: 61 proc.). Niemieckie media zastanawiają się, czy diecezje będą w przyszłości w stanie utrzymać szkoły, domy opieki i szpitale.

Według Thomasa Schüllera „sromotna porażka” Kościoła wynika z tego, że naruszył „wszystko, co – jak twierdzi – reprezentuje: sprawiedliwość, miłosierdzie, miłość bliźniego”. Z kolei Irme Stetter-Karp, przewodnicząca Komitetu Centralnego Niemieckich Katolików, gromadzącego aktywistów świeckich, oceniła, że „Kościół nie wykazuje wystarczającej determinacji, aby opracować wizję przyszłości chrześcijaństwa”.

© P MAM

Upada jeden z mitów antropologii

PRAŁOWCZYNI ■ Zapoczątkowana przeszło 10 tys. lat temu rewolucja neolityczna stopniowo zmieniła styl życia większości ludzi na osiadły i rolniczy – wcześniej przez miliony lat nasi przodkowie żyli w wędrownych społecznościach zbieracko-łowieckich. Antropologzy długo wierzyli, że istniał w nich ścisły podział pracy: mężczyźni oddawali się bardziej niebezpiecznym polowaniom, wymagającym często kilkudniowych wypraw, kobiety zaś zajmowały się utrzymaniem obozu, wychowywaniem dzieci oraz zbieraniem jadalnych owoców, bulw i korzeni.

Badacze czasem spirali się o to, jaką część zapotrzebowania na kalorie zaspokajali przedstawiciele obu płci, ale ten podział ról nie budził większych kontrowersji, co odzwierciedlały publikacje takich książek jak „Mężczyzna łowca” pod redakcją Richarda B. Lee i Irvyna DeVore’a (z 1968 r.) i „Kobieta zbieraczka” pod redakcją Frances Dahlberg (z 1983 r.). Kobiety nie tylko są słabsze fizycznie, ale „mają dzieci, miesiączkują, a ich krew może wabić inne drapieżniki” – przekonywał w latach 80. Brian Hayden. I dodawał, że także „bardziej osiadły i mniej agresywny” styl życia kobiet sprzyjał zbieractwu. Wydawało się, że podział ról ma długi ewolucyjny rodowód – również u szympanсів to samce częściej uganiają się za zwierzyną. Dochodziło do tego, że archeolodzy domyślnie przypisywali znalezionym szczątkom płci męskiej, jeśli w pobliżu znajdowała się broń.

Ostatnio ten obraz mężczyzny łowcy i kobiety zbieraczki zaczął się jednak

chwiać. W 2020 r. Randall Haas z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis i współpracownicy opisali pochodzący sprzed 9 tys. lat grób z Peru, w którym zestaw broni do polowania na duże zwierzęta złożono obok ciała młodej kobiety. Ci sami naukowcy doszli do wniosku, że w prehistorycznej Ameryce kobiety mogły odpowiadać nawet za połowę dostarczanego mięsa. Ponadto w czasopiśmie „PLOS One” właśnie ukazała się praca, która rzuca światło na rolę kobiety w bardziej współczesnych tradycyjnych społecznościach.

Abigail Anderson wraz ze współpracowniczkami z Seattle Pacific University przestudiowały raporty etnograficzne na temat 63 koczowniczych plemion z całego świata, sporządzonych od początku XIX w. do czasów współczesnych, w których zachowały się wzmianki o polowaniach. W 50 z nich znalazły się opisy wyraźnie mówiące o polujących kobietach. W niektórych plemionach kobiety wybierały mniejsze zwierzęta – wtedy mogły towarzyszyć im dzieci. Niekiedy polowały z psami. Czasem dysponowały specyficznym zestawem broni, różnym od tego używanego przez mężczyzn.

W świetle tych dowodów, przekonują badaczki, powinniśmy odrzucić mit polowania jako zajęcia zarezerwowanego dla mężczyzn. Istnienie łowczyń to także nowy obszar badań, w którym mogą czekać na odkrycie kobiece tradycje, normy kulturowe czy rytuały związane z polowaniem i przygotowaniem posiłków.

© P Ł K

Kobieta z plemienia Awá. Maranhão, Brazylia, 2017 r.



SCOTT WALLACE / GETTY IMAGES

Watykan ma prawo i nie zawaha się go użyć

TEOLOGIA ■ Nadzorująca katolickie uczelnie Dykasteria Kultury i Edukacji zakwestionowała wybór dziekana Akademickiego Studium Teologicznego w Bressanone (Włochy). Rada uczelni widziała w tej roli ks. Martina Lintnera, wykładowcę teologii moralnej. Dla Watykanu przeszkodą okazały się jego publikacje na temat etyki seksualnej.

Lintner jest jednym z najbardziej znanych dziś teologów niemieckojęzycznych (dla większości Włochów z południowego Tyrolu to język ojczysty) sięgających po aktualne tematy i uznających dialog z Magisterium Kościoła za swój najważniejszy obowiązek. W kręgu jego naukowych zainteresowań jest nie tylko seksualność, ale także zagadnienia bioetyczne (in vitro, eutanazja, donacja organów), lojalność i wierność małżeńska, konflikt sumienia w relacjach lekarz–pacjent

MATERIAŁY PRASOWE



czy problem etycznego traktowania zwierząt. Był jednym z pierwszych teologów, którzy analizowali aspekty moralne triażu i szczepień (w okresie pandemii) oraz relacji między zasadą chrześcijańskiego przebaczenia a wymogiem sprawiedliwości w kontekście wojny w Ukrainie.

Decyzja dykasterii edukacji nie jest jednak – jak piszą sym-

MARTIN LINTNER
włoski teolog.
Watykańska Dykasteria Kultury i Edukacji zablokowała jego wybór na dziekana Akademickiego Studium Teologicznego w Bressanone (Włochy).

patycy włoskiego moralisty – „pierwszą za pontyfikatu Franciszka próbą zamknięcia ust teologowi”. Lintnerowi nie odebrano prawa do nauczania, co można uznać za brak konsekwencji, choć raczej jest dowodem na chaos, jaki panuje w urzędach odpowiedzialnych za przekaz doktryny. Nie bez winy samego papieża. Adhortacja „Amoris laetitia”, która przyznaje, że życie w nieważnym małżeństwie nie musi oznaczać życia w grzechu, wskazała teologom takim jak Lintner drogę wyjścia z wielu moralnie problematycznych sytuacji.

Zakazu nauczania nie będzie także z innego powodu – mogłaby go nałożyć jedynie Dykasteria Nauki Wiary, ale jej nowy prefekt, mianowany w ubiegłym tygodniu, został właśnie poproszony przez papieża o wyrozumiałość dla „różnych kierunków myśli filozoficznej, teologicznej i duszpasterskiej”. Sam zresztą miał w przeszłości kłopoty z Watykanem, który odrzucił jego nominację na rektora Uniwersytetu Katolickiego w Buenos Aires. Co dla Lintnera może być pewną pociechą. © EDWARD AUGUSTYN

Galaktyki tańczą w rytmie fal grawitacyjnych

WSZECHŚWIAT ■ Cztery zespoły astrofizyków ogłosiły przełomowe wyniki kilku-nastoletnich poszukiwań tzw. nanoherców fal grawitacyjnych. Można spytać: gdzie tu przełom? Wszak fale grawitacyjne rejestrujemy już od ośmiu lat i nawet przyznano za to Nagrodę Nobla. Sęk w tym, że wszystkie dotychczasowe detekcje dotyczyły fal o względnie wysokich częstotliwościach (rzędu kilkuset herców) i czasie trwania (poniżej jednej dziesiątej sekundy), pochodzących z dużych kolizji czarnych dziur i/lub gwiazd neutronowych. Zespoły z USA, Europy i Indii, Australii oraz Chin donoszą o wykryciu fal o częstotliwościach rzędu nanoherców, które rozbrzmiewają w Kosmosie niczym stały, głęboki pomruk.

Fale grawitacyjne to rozchodzące się z szybkością światła zaburzenia geometrii przestrzeni, wywoływane przez ruch masywnych obiektów (trochę jak fale na wodzie wzbudzone przez pływającą kaczkę). Według uczonych źródłem nowo zaobserwowanych fal są pary krążących wokół siebie supermasywnych czarnych dziur w jądrach odległych galaktyk. Można powiedzieć, że obiekty te trzęsą całym Wszechświatem, aczkolwiek delikatnie. Przechodząc przez naszą Galaktykę, fale powodują względne odkształcenie przestrzeni rzędu jeden do biliarda. Oznacza to zmianę odległości Ziemia–Słońce o grubość włosa.

Równie niezwykle jak samo zjawisko jest sposób, w jaki badaczom udało się je wykryć. Za detektor fal posłużyły im pulsary, czyli jądra wypalonych gwiazd, które obracają się nawet kilkaset razy na sekundę, omiatając przestrzeń wiązkami fal radiowych niczym kosmiczne latarnie morskie. Są przy tym nadzwyczaj regularne – punktualność ich okresowych impulsów

jest porównywalna ze współczesnymi zegarami atomowymi. Astronomowie przyrzekli się kilkudziesięciu takim pulsarom rozsianym po całej Galaktyce, rejestrując drobne odstępstwa w ich „tykaniu”. Dzięki obserwowaniu wielu pulsarów naraz z szumu różnego typu zaburzeń udało się wyłowić te, za które odpowiadają fale grawitacyjne.

To początek badań: uczeni mają nadzieję, że gdzieś w tle pomruku czarnych dziur pobrzmiwają też tony najwcześniejszych drzeń rodzącego się Wszechświata.

© TOMASZ MILLER



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP”
co tydzień goszczą

w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Stuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

WIELKA OJCZYŹNIANA SPECOPERACJA MILITARNA

DR ADAM EBERHARDT, POLITOLOG:

Rosyjska elita, choć zjednoczona wokół celu,
jakim jest utrzymanie się u władzy, jest zarazem bardzo podzielona.
To dobra wiadomość dla Ukrainy.

MAREK RABIJ: Ile dywizji ma Putin?

ADAM EBERHARDT: Nie da się precyzyjnie odpowiedzieć na to pytanie. Przed wojną dysponował armią liczącą na papierze ok. 900 tys. żołnierzy. Ostatnio zapowiedział jej powiększenie do półtora miliona, ale rozbudowana struktura organizacyjna, w tym system dowodzenia i zaplecza, sprawia, że jednostek frontowych jest znacznie mniej. Obecnie, po przeprowadzeniu bolesnej społecznie mobilizacji, siły zaangażowane w działania wojenne w Ukrainie liczą trochę ponad 300 tys. żołnierzy.

Jednak bez względu na to, ile dywizji, czy właściwie brygad, Putin byłby w stanie dodatkowo utworzyć, to robi się coraz bardziej oczywiste, że nie jest zdolny zwyciężyć w tej wojnie. Tak jak siły papięza, wbrew kpinom Stalina, nie określała liczba dywizji, tak słabość Rosji to problem wykraczający poza liczebność i morale jej sił zbrojnych.

Na czym polega ta słabość?

Nie tylko armia rosyjska nie da rady pokonać w polu silnie zdeterminowanych Ukraińców, ale przede wszystkim

państwo rosyjskie nie ma narzędzi do nawrócenia Ukraińców na „russkij mir” – co było przecież nieco zapomnianym dziś celem tej wojny. Putinowi została jedynie taktyka spalonej ziemi, bo spóźnił się ze swoimi dywizjami – zarówno z tymi prawdziwymi, jak i z tymi umownymi, symbolizującymi coś, co z angielska można nazwać *soft power*.

Kiedy w 2014 r. anektował Krym i wywołał wojnę w Donbasie, Ukraina była wciąż jeszcze bardzo podzielona społecznie, z silnymi pokładami sympatii dla Rosji, Rosjan, a początkowo i samego Putina. Była też bezradna słabością oligarchicznego państwa. Dziś jest skonsolidowana wokół idei zachowania niepodległości i tożsamości narodowej. Tych osiem lat nie tylko zaszczepiło Ukraińców przeciwko tendencjom prorosyjskim. Zdążyli się też przyzwyczaić i przygotować na to, że z rzekomo bratnim

*Podczas puczu Prigożyna w Rosji
zabrakło manifestacji poparcia dla Putina.*

*Tu wyjątek: aktywiści jednej
z prokremlowskich organizacji
na placu Czerwonym, 24 czerwca 2023 r.*

NATALIA KOLESNIKOVA / AFP / EAST NEWS

dotąd rosyjskim narodem muszą walczyć na śmierć i życie. W pewnym sensie to szczęście w nieszczęściu, że pełnoskalowa wojna wybuchła dopiero przed rokiem – wcześniej ani Ukraińcy, ani Zachód nie byli na nią gotowi.

Kluczowe chyba pytanie brzmi: czy zwykli Rosjanie też zdają sobie sprawę, że Rosja w Ukrainie nie ma już wielu atutów.

Rosyjskie społeczeństwo ma do tej wojny stosunek jak do meczu piłkarskiego. Dopinguje swoich, z pogardą odnosząc się do Ukrainy i z wrogością do Zachodu, ale osobiście się w nią nie angażuje, choć propaganda w Rosji robi, co może, żeby z tego konfliktu zrobić niemal drugą wojnę ojczyźnianą. Rosjanie to nie kibole zaangażowani, ale okazjonalni, niedzielni, z piwem przed телеви-

zorem. Łączący cynizm z oportunistem, w różnych proporcjach.

Kibicom zdarza się też odwracać od ulubionego zawodnika.

Trudno się dopinguje drużynę, która sobie nie radzi. Do Rosjan stopniowo dociera, że przeciągająca się wojna to porażka, a Putin nie jest taki wszechpotężny, jak się im wcześniej zdawało. Nie robiły na nich wrażenia filmy Nawalnego ujawniające korupcję wśród elity kremlowskiej ani sięganie przez Putina po przemoc i zbrodnię – milcząco uznawali, że takie jest prawo każdej władzy. Szanowali Putina za stabilność, za pozycję na arenie międzynarodowej, za budowanie silnej Rosji. Teraz jednak Putin zaczyna przegrywać, kontynuując sportową analogię, na własnym boisku. Pęka mit skutecznego męża stanu.

A co Rosjanie myślą o Ukrainie?

W większości sądzą to, co słyszą w telewizji. Przekaz jest histeryczny: to jest wojna ojczyźniana przeciwko Zachodowi, niczym w latach 1941-45, od której zależy istnienie Rosji. Z tą różnicą, że niemieckie czołgi tygrysy zostały zastąpione przez leopardy. Propagandyści wrzeszczą o „wojnie do zwycięstwa”, ale jej krytycy za użycie tego słowa w mediach społecznościowych mogą narażać się na kłopoty – formalnie to przecież tylko specjalna operacja militarna, a słowo „wojna” jest zakazane.

Ktoś w Rosji potępia tę wojnę?

→



→ Zdaniem niezależnego rosyjskiego socjologa Lwa Gudkowa z Centrum Lewady twarde antyputinowskie, antywojenne stanowisko prezentuje zaledwie 10-12 proc. Rosjan. Są szczytne wyjątki, ale nawet rosyjski liberał i demokratą zwykle kończy się tam, gdzie zaczyna się kwestia ukraińska. Dla wielu Rosjan wchodzące w skład Federacji Rosyjskiej północnokaukaskie republiki Dagestan, Czeczenia czy Inguszetia są ciałem obcym, od którego należałoby się odgrodzić wysokim murem, a zarazem Ukraina czy Białoruś traktowane są jako nieodłączna część wspólnej przestrzeni.

Przez lata Putin wzmacniał to przeświadczenie, podkreślając przy niemal każdej okazji, że Rosjanie i Ukraińcy są jednym narodem. Później wprowadził wątek dziejowej głupoty i niesprawiedliwości, jaką było wyodrębnienie przez Lenina sowieckiej Ukrainy ze struktur imperium. I tak płynnie doszliśmy do współczesnej narracji rosyjskiej propagandy, że ukraińskość to konstrukt właściwie nazistowski. To bardzo wygodna narracja, która pozwala Rosjanom udawać, że nie dostrzegają zbrodni ich armii w Buczy czy Irpieniu, zrównania z ziemią Mariupola czy Bachmutu. W ciągu

Rosja nie jest tak silna,
jak się przedstawia,
ani tak słaba, jak wielu
chciałoby ją widzieć.
Ma rezerwy ludzkie
i materiałowe.

500 dni wojny pomruk niezadowolenia słyszalny był w Rosji tylko raz – gdy Putin ogłosił mobilizację, a więc gdy ta wojna przyszła po Rosjan.

Na ulicach Rostowa Jewgienij Prigożyn zbierał szczerze wyrazy sympatii ze strony mieszkańców. To też przejaw niezadowolenia wobec Putina?

Trzeba być ostrożnym z wyciąganiem daleko idących wniosków na podstawie jednostkowych wydarzeń, które znamy jedynie z krótkich filmów z mediów społecznościowych, ale intuicyjnie wydaje mi się wielce prawdopodobne, że tacy

ludzie jak Prigożyn wyrastają w Rosji na bohaterów. Rosyjscy niezależni socjologowie są zgodni, że większość Rosjan nie odrzuca imperializmu Putina. Razi ich jego nieskuteczność, w tym szczególnie brak troski o los rosyjskich żołnierzy. Jest coś wręcz diabolicznego w fakcie, że duża część Rosjan przenosi swoje sympatie z władzy, która tę wojnę nieudolnie prowadzi, na kryminalistę, zbrodniarza wojennego – i to tylko dlatego, że ten człowiek stworzył sobie wizerunek kogoś, kto umie podążać do celu dosłownie po trupach. Ale to po prostu konkurencja o to, kto skuteczniej będzie prowadzić bezwzględną wojnę.

Kreml, jak wszystko na to wskazuje, szykuje się do długiej wojny. Liczy na to, że cierpliwość Zachodu wyczerpie się szybciej niż cierpliwość jego własnych obywateli. W Rosji jednym z hitów granych często w publicznych mediach jest dziś utwór prorządowego wokalisty Shamana, który w refrenie śpiewa „Ja russkij, ja idu da końca”.

Tak, Putin musi iść do końca, licząc, że następny prezydent USA na wiosnę 2025 r. zakręci kurek z pomocą dla Ukrainy i pojawi się szansa na odwrócenie losów wojny. W każdym razie w najbliższych miesiącach Putin nie może się z Ukrainy wycofać. Nie może nawet przyznać, że nie jest w stanie wygrać tej wojny. Nie może być słaby, bo wówczas jakiś kolejny Prigożyn to wykorzysta, a cały system władzy rozsypie mu się jak domek z kart.

Sądzę zresztą, że bez wojny Putin nie umiałby już rządzić Rosją. Dała mu ona pretekst do dokręcenia śruby, zdyscyplinowania elity, zmniejszenia jej nadmiernych apetytów, służy też jako uzasadnienie wszelkich niedogodności przed społeczeństwem. A na zachodnie salony Putina powrotu i tak już nie ma i mieć nie będzie. Zostało mu jedynie budowanie klimatu oblężonej twierdzy, ostrzeliwanie amerykańską bronią przez polskich najemników, pod presją kolejnych sankcji, które mają na celu rzucenie Rosjan na kolana.

Jeden z rosyjskich satyryków w telewizji kpił ostatnio, że jego babcia, mieszkająca od urodzenia w wiosce gdzieś nad brzegami

Plakat zachęcający do wstąpienia do armii w moskiewskim metrze, czerwiec 2023 r.



NATALIA KOLESIKOVA / AFP / EAST NEWS



Wszystkie pucze Rosji

BUNT PRIGOŻYNA

I WAGNEROWCÓW był najpoważniejszym wyzwaniem rzuconym rosyjskiej władzy w ciągu 23 lat rządów Władimira Putina. Jego poprzednicy nie mieli tyle szczęścia. Próby puczu kosztowały władzę i stanowiska dwóch rosyjskich przywódców.

PUCZ JANAJEWA,

ROK 1991. W nocy z 18 na 19 sierpnia 1991 r. delegacja samowznaczonego Państwowego Komitetu Stanu Wyjątkowego odwiedziła odpoczywającego na Krymie prezydenta Związku Sowieckiego Michaiła Gorbaczowa i złożyła mu propozycję nie do odrzucenia. Gorbaczow odmówił, został umieszczony w areszcie domowym i pozbawiony funkcji. Przywódcy puczu, czyli kilku ministrów (m.in. szef KGB Władimir Kriuczukow)

i wiceprezydent Giennadij Janajew, sprzeciwiali się próbom reformowania Związku Sowieckiego, galopującej pierestrojce i pomysłem Gorbaczowa na zwiększenie autonomii związkowych republik. Nie uzyskali jednak pełnego wsparcia ani ulicy, ani wojskowych dywizji ściągniętych pod Moskwę. Centrum oporu wobec puczu stał się Biały Dom (wówczas parlament – dzisiaj siedziba rosyjskiego rządu), a liderem ówczesny prezydent Borys Jelcyn (na zdjęciu pod parlamentem, 21 sierpnia 1991 r.). Po trzech dniach było po wszystkim, ale Gorbaczow zachował stanowisko jedynie po to, by wkrótce stracić je na rzecz uwielbianego wtedy przez tłumy Jelcyna.

KRYZYS KONSTYTUCYJNY, ROK 1993. Zwany też

drugą rewolucją październikową. Niedawny jeszcze bohater, Borys Jelcyn, próbował przeformować nową konstytucję. Radę Najwyższą (dymisję otrzymał jej przewodniczący Aleksander Ruckoj) miała zastąpić Duma Państwowa, a przede wszystkim kolejne uprawnienia miał dostać prezydent, czyli sam Jelcyn. 21 września 1993 r. prezydent podpisał ukaz rozwiązujący Radę, co rozpoczęło serię prawnych przepychanek o władzę. Do eskalacji doszło na początku października. Prezydent Jelcyn wyprowadził przeciwko przeciwnikom czołgi i postanowił rozwiązać sprawę siłowo. W dwóch dniach ulicznej wojny zginęło kilkaset osób.

I JELCYN, I GORBACZOW

z pozoru wyszli z tych buntów obronną ręką. „Może i zachowali stanowiska, ale stracili władzę” – mówi jednak Wojciech Jagielski, który tamte wydarzenia obserwował na własne oczy, w nowym odcinku podcastu „Jagielski Story”. Opowieści o rosyjskich puczach raz o tym, co się dzieje, gdy autorytarna władza okazuje słabość, można posłuchać w Podkaście Tygodnika Powszechnego.

© © KRZYSZTOF STORY

komponentów, pozostają sztuczki z markowaniem importu przez kraje zaprzyjaźnione, jak Białoruś czy Kazachstan, które i tak nie są w stanie zagwarantować gospodarcze dopływu ważnych dla niej zasobów. W niektórych branżach, jak przemysł samochodowy, załamanie produkcji w zeszłym roku sięgnęło 80 procent. Okazało się, że Europa potrafi sobie radzić bez rosyjskich surowców energetycznych. Załamała się pieczęłowicie budowana przez ostatnie dekady polityka uzależniania Zachodu od rosyjskiej ropy i gazu. Rosja traci dochody eksportowe, coraz bardziej uzależnia się od potężnych Chin. A na domiar złego rosyjska elita utraciła możliwość łączenia zajadłej werbalnej antyeuropejskości z luksusem życia na Lazurowym Wybrzeżu.

Jeżeli nałożone sankcje zostaną utrzymane, to za kilka lat ujawnią one swój skumulowany efekt. Rosja będzie się demodernizować, zamieniać w państwo coraz bardziej peryferyjne, odłączone od krwioobiegu gospodarki światowej. Trochę na podobieństwo niegdyś bogatego, zasobnego w ropę Iranu.

Rosjanie nie odczuwają tego procesu? Nie mają tego za złe Putinowi?

Fakt, że sankcje nakładane są stopniowo, a ich działanie jest odłożone w czasie, powoduje, że narastające problemy nie wywołują szoku. Tym bardziej że Rosja ma finansową poduszkę bezpieczeństwa – rezerwy, które przeznacza na stabilizowanie gospodarki. Wystarczy ich jeszcze na rok. Może półtora. Przeciętny Rosjanin z prowincji mniej odczuwa zresztą sankcje niż członek okołokremłowski elity. Władza skutecznie zastąpiła lodówkę telewizorem. Dziś autorytet i legitymizacja Putina biorą się z krzykliwosci propagandy, a nie ze względnego sukcesu gospodarczego, jak to było w pierwszej dekadzie jego rządów.

Rysuje Pan scenariusz długiego konfliktu na wyniszczenie.

To oznacza również kolejne tysiące ofiar po stronie rosyjskiej.

Czy Rosjanie to wytrzymają?

Do tego progu wytrzymałości moim zdaniem wciąż daleko. Oczywiście straty na froncie są kolosalne, bo w ciągu roku w Ukrainie zginęło według umiarkowanych szacunków ok. 80-100 tys. →

Irtysza, dzwoniła do niego zaniepokojona, że Holandia wprowadza embargo na import brylantów do Rosji.

W telewizji będą bagatelizować sankcje, ale jestem przekonany, że na Kremlu nikomu nie jest z tego powodu do śmiechu. Sankcje to nie broń błyska-

wiczna, ale instrument systematycznego, powolnego osłabiania Rosji. Sposób na podnoszenie Putinowi i elicie kremłowskiej kosztów dalszego prowadzenia wojny. Rosja utraciła dostęp do ponad 350 mld dolarów rezerw walutowych. Kolejne sektory rosyjskiego przemysłu pozbawiane są dostępu do kluczowych

→ Rosjan, a zapewne jeszcze więcej odniosło rany. W skali populacji liczącej 140 mln mieszkańców to jednak tylko promil. Władze rosyjskie starały się ponadto, żeby ginęli głównie więźniowie rekrutowani do Grupy Wagnera. A jeżeli mają umierać regularni żołnierze, to niech to będą wcieleni mieszkańcy Donbasu bądź rosyjskich regionów prowincjonalnych: Buriaci, mieszkańcy północnego Kaukazu. Pobór właściwie ominął Moskwę, Petersburg czy Kazan.

Jednak, paradoksalnie, jeżeli gdzieś dopatrywałbym się frustracji wojną, to nie w Kemerowie czy Machaczkałe, ale przede wszystkim wśród moskiewskiej elity politycznej i biznesowej. Ona od początku była przeciwko tej wojnie. Rozumiała, że atak na Ukrainę oznacza koniec wygodnej symbiozy w relacjach z Zachodem. Putin był tego świadomy, robił więc, co mógł, żeby elity w tę decyzję niejako umoczyć. Pamiętam słynne emitowane przez telewizję posiedzenia na Kremlu, podczas których prezydent niby konsultował się ze współpracownikami w sprawie uznania niepodległości separatystycznych republik na wschodzie Ukrainy. W rzeczywistości odbywał się tam teatrzyk, który miał pokazać Rosjanom, że w sprawie polityki wobec Ukrainy wśród elit w Moskwie panuje jednomyślność. A sami uczestnicy tego spektaklu otrzymali od Putina komunikat, że płyną z nim odtąd w jednej łódce i na dno pójść również z nim.

Co nam o obecnej Rosji mówi bunt Prigożyna? To rzeczywiście była próba zamachu stanu czy może coś w rodzaju próby zajęcia lepszej pozycji przetargowej w rozmowach z Kremlu po tym, jak ministerstwo obrony ogłosiło plan, który oznaczał praktyczne podporządkowanie Grupy Wagnera Siergiejowi Szojgu?

Źródłem konfliktu była konkurencja między regularnymi siłami zbrojnymi a prywatną firmą wojskową powiązaną z rosyjskimi służbami specjalnymi. Grupa Wagnera, formalnie przedsięwzięcie Prigożyna, rzekomo finansowane wyłącznie z jego kieszeni, w rzeczywistości – co Putin ostatecznie przyznał – otrzymywała setki miliardów rubli z kasy państwowej.

Bunt Prigożyna formalnie wymierzony był w dowództwo armii, w tym



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

DR ADAM EBERHARDT jest politologiem specjalizującym się w problematyce wschodnioeuropejskiej. Obecnie pełni funkcję dyrektora Centrum Studiów Strategicznych Warsaw Enterprise Institute. W latach 2016-2022 kierował Ośrodkiem Studiów Wschodnich.

szczególnie w ministra obrony, który starał się ograniczać samodzielną pozycję wagnerowców. Należy jednak zauważyć, że Prigożyn szedł na Moskwę, według jego słów, „po sprawiedliwość”, a nie po władzę. Jego krytyka Putina była stonowana, choć pozwalał sobie na więcej złośliwości pod adresem prezydenta niż ktokolwiek inny w poprzednich latach. Dopuszczam, że sam Prigożyn nie miał szczegółowego planu. Kierował się własną furią, a najpewniej również podpowiedziami niepublicznych aktorów tych wydarzeń, którzy widzieli swój interes w wykorzystaniu nadpobudliwego i uzależnionego od używek Prigożyna do zdestabilizowania systemu politycznego. W kraju tak scentralizowanym jak Rosja wystąpienie przeciwko władzy, jakiegokolwiek władzy, jest przecież z automatu postrzegane jako bunt przeciwko Putinowi.

W porannym wystąpieniu 24 czerwca Putin nawoływał do jedności narodowej. Mówił tak, jakby w rosyjskich miastach trwały antyrządowe zamieszki. A przecież na ulicach był spokój, jedynie grupy wagnerowców zmierzały w stronę Moskwy.

To był komunikat do rosyjskich elit, mający powstrzymać je od włączania się w intrygę Prigożyna. Bardzo histeryczny, nawiązujący do doświadczenia roku 1917, kiedy to na skutek rewolucji Rosja

musiała na upokarzających warunkach wycofać się z I wojny światowej, a następnie popadła w krwawą wojnę domową. Na pewno dziś Putin bardzo żałuje swych słów, ponieważ wywołały wrażenie jego strachu i słabości, co zostało na pewno odnotowane przez wszystkie kremlofskie koterie.

W ten sposób dochodzimy do chyba największej zagadki ostatnich dni. Dlaczego człowiek, który wypowiedział posłuszeństwo Putinowi, nie poniósł, przynajmniej oficjalnie, konsekwencji?

To się dopiero okaże. Putin jest mściwy, ludzie KGB nie zapominają upokorzeń, a przede wszystkim dużo uwagi przywiązują do dbałości o własny wizerunek. Boją się ośmieszenia, pogardzają słabością. Dlatego nie wykluczam, że zemsta wcześniej czy później Prigożyna dosięgnie, tak jak wcześniej stało się to z wieloma mieszkańcami na emigracji osobami, które Putin uznał za swoich wrogów. To będzie czytelny sygnał dla innych, żeby nie łamać obowiązujących reguł.

Ale rzeczywiście, Prigożyn doraźnie nie został ukarany. Gdybym miał wskazać na przyczynę, to powiedziałbym, że Putinowi bardzo zależało na jak najszybszym uspokojeniu sytuacji, zanim inne grupy w ramach rządzącej Rosją mafii uznają, że osłabił tak bardzo, że nie panuje nawet nad swoim „byłym kucharzem”.

Skoro stawia Pan hipotezę, że Prigożyn był w tej rozgrywce narzędziem, kto w takim razie stał za Grupą Wagnera? Pojawili się informacje, że z najemnikami był powiązany generał Siergiej Surowikin, były dowódca siłami rosyjskimi w Syrii, a przez pewien czas także szef operacji ukraińskiej. Człowiek uchodzący za bezwzględnie krwawego komandira. Według amerykańskich mediów miał on, wraz z kilkudziesięcioma innymi wysokimi oficerami armii rosyjskiej, należeć do tajnej grupy VIP-ów przy Grupie Wagnera, za co został aresztowany.

Rosjanie mówią, że choć w Moskwie jest jeden Kreml, to ma on wiele bram wjazdowych i baszt. Oznacza to, że rosyjska elita, choć zjednoczona wokół celu, jakim jest utrzymanie się u władzy, jest

zarazem bardzo podzielona. Wewnątrz szeroko rozumianego Kremla nie brakuje intryg oraz konfliktów o udział we władzy i podział pieniędzy. Putin podejmuje najważniejsze decyzje, ale zwykły gwarantować dotąd również stabilność systemu oraz równowagę różnych środowisk.

Nie dziwi mnie, że to Grupa Wagnera – z racji środków, którymi obracała, oraz roli, jaką odgrywała w wojnie przeciwko Ukrainie i w innych rosyjskich operacjach wojskowych, szczególnie w Afryce – była zarazem jedną z bardziej wpływowych koterii. Oczywiście nie wiemy, czy generał Surowikin wraz z innymi zaufanymi towarzyszami w rzeczywistości planowali pucz, czy też mamy po prostu do czynienia z zemstą konkurencyjnych klanów, które starają się zdyskredytować kolegów.

Jedno jest dla mnie jednak czytelne: Rosja na razie uniknęła scenariusza 1917 roku, ale coraz bardziej zbliża się do roku 1937. Spodziewam się nasilenia wewnętrznych czystek. Osłabiony Putin będzie odbudowywał swój autorytet poprzez dokręcanie śruby nie tylko społeczeństwu, ale również członkom elity, starając się wymusić w ten sposób lojalność i odbudować zachwiany prestiż. Spodziewam się nawet procesów pokazowych. To dobra wiadomość dla Ukrainy, że na Kremlu zaczynają zajmować się sami sobą.

Rosja uniknęła
scenariusza roku 1917,
ale zbliża się
do tego z roku 1937.
Putin będzie
wymuszać lojalność
przez dokręcanie śruby.

Czy możliwe jest, że Prigożyn ze swoimi ludźmi trafi rzeczywiście na Białoruś? A jeśli tak, to jaką korzyść odniósłby z tego Łukaszenka?

Wyjazd Prigożyna z Rosji na Białoruś to rozwiązanie kompromisowe, które pozwoliło stronom konfliktu zachować twarz poprzez odeprowadzenie wagnerowców oraz dowództwa rosyjskiej armii. Nie spodziewam się, żeby Prigożyn długo zabił na Białorusi. Mam też nadzieję, że przesadzone są również obawy przed dywersją, jaką jego ludzie mogliby robić na granicy polskiej czy litewskiej. Dla Łukaszenki wartością jest prezentowanie się jako sprawny rozjemca, ale wątpię, żeby był zainteresowany tolerowaniem na swoim terytorium prywatnej grupy wojskowej, do tego powiązanej z rosyjskimi służbami.

Z punktu widzenia białoruskiego dyktatora byłoby to granie z ogniem.

Bez względu na to, co się stanie z Grupą Wagnera, pozostanie jeszcze regularna rosyjska armia. Czy lekceważąc jej możliwości nie wpadamy dziś w podobną pułapkę, w jakiej tkwiliśmy, widząc w niej wcześniej drugą armię świata?

Rosja nie jest tak silna, jak się przedstawia, ani tak słaba, jak wielu chciałoby ją widzieć. W wielu aspektach funkcjonowania państwa rosyjskiego rzuca się w oczy nieefektywność, bylejałość. Ale zarazem pamiętajmy, że Rosja dysponuje głębokimi rezerwami, zapleczem, nie tylko terytorialnym, ale też ludzkim i materialowym. Jest w stanie wytrzymać więcej niż inni.

A zarazem może wybuchnąć wcześniej, niż się przypuszcza, bo tamtejszy system władzy nie ma typowych dla państw demokratycznych zabezpieczeń, które pozwalałyby ująć parę frustracji i niezadowolenia – zarówno elity, jak i reszty społeczeństwa. To się w Rosji gromadzi i nagle po prostu wybucha. Niespodziewane wydarzenia związane z buntem Prigożyna to dla Putina dzwonek alarmowy, wskazujący, że poza kłopotami na froncie ukraińskim musi coraz więcej uwagi poświęcać frontom wewnętrznym. Polityka wraca do Rosji.

© © Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabin, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejewska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziółek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Nagiorkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszejca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adert,
Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Sumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Laska



„MAŁO MAM ŁASKI TWJEJ” – SWEGO CZASU swawolna młódź radośnie wykoślawiała tytuł piosenki wykonywanej przez Helenę Vondráčkovą. Kiedy Juda dogadywał się odnośnie zapłaty z kobietą powłóczną – którą okazała się jego synowa – Tamar

zapropoNOWAŁA, by w zastaw dał jej między innymi „laskę, co w ręku twoim” (zob. Rdz 38, 18; Cyłkow). Zdaje się to sugerować, że owa rzecz była stałym elementem wyposażenia starożytnego Hebrajczyka-pasterza. Nie dziwi więc fakt, że zarówno Aaron, jak i Mojżesz mieli ją w swoim ekwipunku. Wedle midraszu, był to jeden i ten sam przedmiot, obdarzony wyjątkowymi właściwościami i przekazywany z pokolenia na pokolenie: laska, z pomocą której Jakub przekroczył Jordan (Rdz 32, 11), była tą samą, którą Juda dał Tamar (38, 18). Posłużył się nią Mojżesz (Wj 4, 20-21), Aaron zaś dokonał nią cudów przed faraonem (7, 10). Również przy pomocy niej Dawid zabił Goliata (1 Sm 17, 40), a następnie pozostawił ją swoim potomkom. Królowie z dynastii Dawidowej używali jej jako berła aż do czasu zburzenia Świątyni – wówczas została ukryta. Kiedy przyjdzie Mesjasz, znów posłuży mu za berło.

Drugi midrasz wspomina też innych użytkowników. Najwyższy sprezentował tę laskę Adamowi, gdy ów zmuszony był opuścić rajski ogród. Przeszła ona przez ręce Szema, Henocha oraz Praojców, aż trafiła do Józefa. Po jego śmierci egipcjcy dygnitarze rozkradli jego mienie – był między nimi Jetro, który przywłaszczył sobie ową laskę. Zasadził ją w swoim ogrodzie, po czym nikt nie był w stanie wyrwać jej z ziemi – ba: nawet dotykanie jej okazało się niebezpieczne, gdyż znajdowało się na niej Boże Imię. Kiedy Mojżesz przybył do Jetry, odczytał Imię i dzięki temu zdołał wyciągnąć laskę z ziemi. Ojciec Sefory przyrzekł oddać córkę za żonę temu, kto poraził się cudowną laską, i tak Mojżesz został zięciem Jetry.

Laska odegrała też kluczową rolę w potwierdzeniu Aarona kapłaństwa. Gdy wybuchły bunt przeciw pustynnym przywódcom, Najwyższy nakazał przyniesienie do Namiotu Spotkania buław naczelników izraelskich szczepów. Ta, na której widniało imię Aarona, zakwitła, „wypuściła pączki, i wydała kwiat, i dojrzały na niej migdały” (Lb 17, 23; Cyłkow). Na wieczną rzecz pamiątkę znalazła się przed (wers 25) lub w samej Arce – co potwierdza List do Hebrajczyków (9, 4). Odmalowano ją na jednym z dwóch pitosów odkrytych w Kuntillet ‘Ajrud.

Czeska „laska”, czyli „miłość”, należy do rodzimych *false friends*. W polszczyźnie znaczenie tego słowa bynajmniej nie jest jednoznaczne. Onegdaj, w poszukiwaniu eleganckiego kostura dla nestora, wrzuciliśmy w wyszukiwarkę „laski”. Długo trzeba było potem czyścić komputer, nim przestał przy byle okazji sugerować treści zgoła nieprzystojne. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Prostak i gorszyciel



WYSŁAWIAM CIĘ, OJCZE (...) ŻE ZAKRYŁEŚ te rzeczy przed mądrymi i roztroPnymi, a objawiłeś je prostaczkom”, czytamy w Lekcjonarzu mszalnym. W innych przekładach, począwszy od Jakuba Wujka, mamy: objawiłeś ludziom prostym, malutkim, niemowlętom, którzy są jak małe dzieci, małoletnim. Według „Słownika języka Polskiego” PWN słowa prostaczek używa się, gdy „z pobłażaniem [mówi się] o człowieku niewykształconym, zwykle naiwnym”, a synonimów tegoż słówka jest ponad 70, np. ciemniak, ćwierć-inteligent, cham, burak, tępak, wsiok, zarozumialec. Trudno uwierzyć, żeby Jezus tak o kimkolwiek myślał. Przecież to dzieci i matki, w przeciwieństwie do „mądrych i roztroPnych” dorosłych i uczonych, również apostołów, garnęły się do Jezusa. Na Golgocie kogo widzimy? Matkę Jezusa, parę innych kobiet, prawdopodobnie najmłodszego z uczniów oraz dwóch, a jakże, mądrych i roztroPnych, Nikodema i Józefa z Arymatei, którzy w pełni Mu uwierzyli dopiero wtedy, gdy zobaczyli, jak Jezus traktował wrogów.

Jezus przeciwstawiając dziecięcą otwartość temu, co tu i teraz się dzieje, skostniałemu, doktrynalnemu zasklepieniu „mądrych i roztroPnych”, czyli doktrynerów, ujawnia ciemną stronę ich religijności. Parafrazując znaną Hegłowską maksymę: „Jeśli teoria nie zgadza się z faktami, tym gorzej dla faktów”, można powiedzieć, że jeśli doktryna nie zgadza się z rzeczywistością, tym gorzej dla rzeczywistości. Dowód? Iluż antyszczepionkowców, wyznawców Kościoła węzowników, charyzmatycznych uzdrowicieli, dewotów głoszących, że „Ciało Jezusa nie zaraża”, za wierność swoim poglądom zapłaciło życiem?

Trudno doktrynerom zarzucić brak wiary, ale nie sposób nie widzieć, że na modlitwie zamiast za Izajaszem mówić Bogu: „Oto jestem! Mnie poslij!”, prosimy Go, żeby nam stworzył dobrze chroniony rezerwat, w którym „On sam będzie działał”, a my będziemy Go za to „wielbić”. Słowem, chcemy mieć Boga na posyłki. Dlatego Jezus „zaczął łajać miasta, w których stały się bardzo liczne dzieła mocy jego, że nie zmieniły myślenia”, że się „nie opamiętały”, „nie czyniły pokuty”.

Wróćmy do naszych „prostaczek”. W dekrete episkopatu regulującym udział duchownych i „niektórych wiernych świeckich” w mediach czytamy, „że są [oni] powołani do głoszenia nauki Chrystusa, a nie własnych opinii i poglądów, zwłaszcza takich, które mogą powodować zamęt, zgorzienie, wprowadzać podziały lub wywoływać negatywne emocje oraz do tego, by wiara i obyczaje wiernych nie doznały uszczerbku”. Skąd i po co ten strach? Czyżbyśmy zapomnieli: „Biada, kiedy wszyscy będą o was wyrażać się pochlebnie, bo ich ojcowie czynili to samo fałszywym prorokom”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Powołanie pomimo

*Dla prawdziwego
człowieka Bożego
każde miejsce
jest miejscem Boga
i każdy czas
– czasem Boga.*

KATARZYNA ZE SIENY



*Naszym celem
jest życie zgodne
z naszą własną naturą
i z naturą wszechświata.*

CHRYZYP



W UROCZYSTOŚĆ ŚWIĘTYCH Apostołów Piotra i Pawła Kościół wraca do Cezarei Filipowej. Wsłuchujemy się w dialog Jezusa z Szymonem: „– Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego. – I Ja tobie powiadam: Ty jesteś Piotr, czyli Opoka, i na tej opoce zbuduję Kościół mój” (Mt 16, 13-19).

To nie jest tak, że Szymon został powołany na pierwszego Piotra dlatego, że podczas raczej niespodziewanego „kolekwium” apostołów w Cezarei („pytał swoich uczniów”) wykazał się naraz w ich gronie wyjątkową wiedzą o Jezusie – że jego osobista relacja z Bogiem Ojcem, objawiająca mu prawdę o Synu, zasługiwała na nagrodę w postaci papieskiego urzędu.

Przy nieco uważniejszej lekturze Ewangelii łatwo odkryjemy, że wyznanie, jakie Szymon, syn Jony złożył pod Cezareą Filipową, nie było ani wyjątkowe, ani pierwsze.

Dwa rozdziały wcześniej w Ewangelii Mateusza wszyscy uczniowie, zobaczywszy Jezusa idącego ku nim po wzburzonych falach jeziora, a następnie ratującego Szymona przed utonięciem, mówią do Pana: „Prawdziwie, jesteś Synem Bożym!”.

„Ja mocno wierzę, że Ty jesteś Mesjasz, Syn Boży, który miał przyjść na świat” – mówi do Jezusa Marta, siostra zmarłego Łazarza (J 11, 27). „Ten był Synem Bożym” – wyznają pod wrażeniem

śmierci Jezusa rzymski setnik i jego ludzie na Golgocie (Mk 15, 39; por. Mt 27, 54).

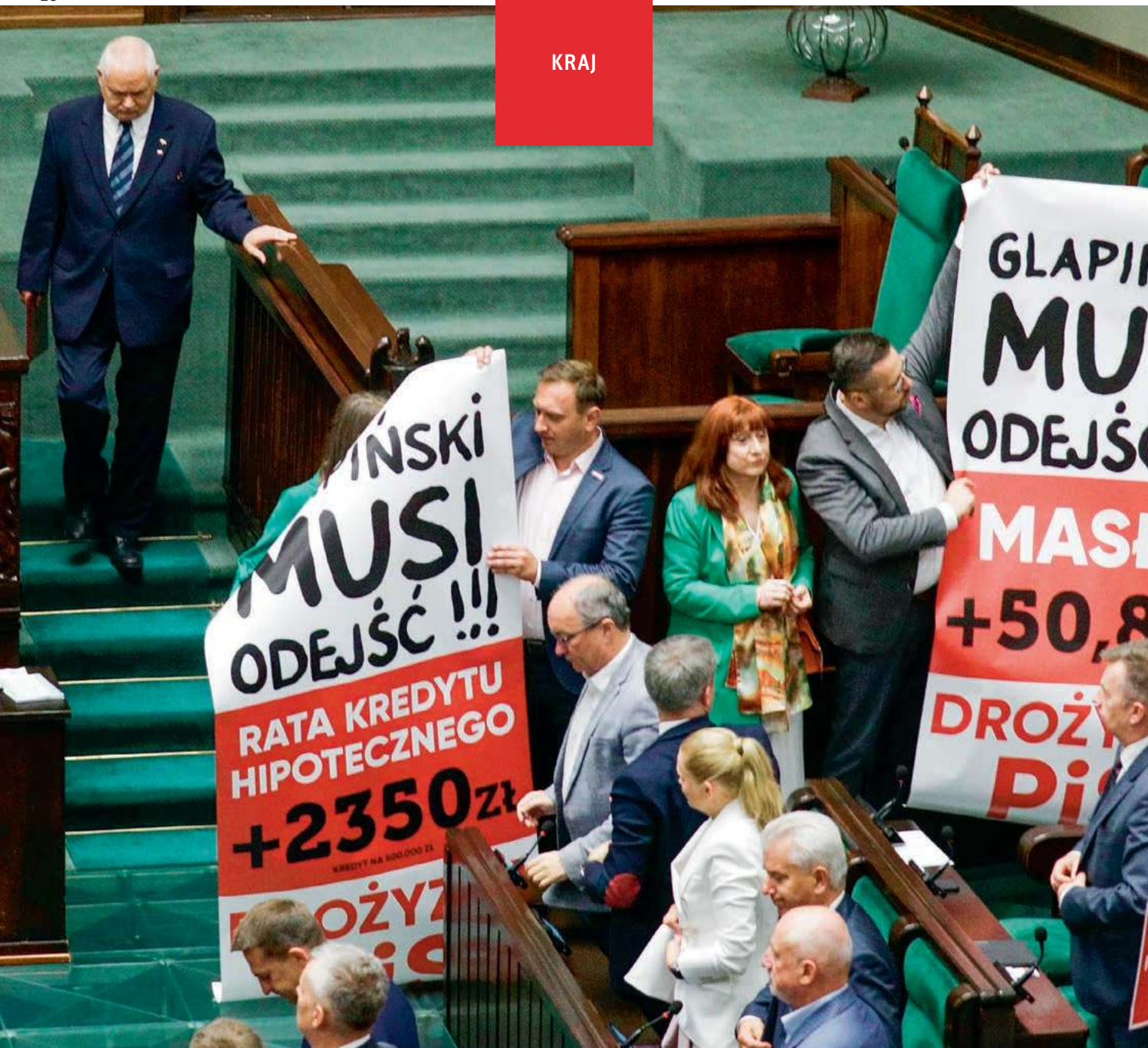
Natanael (Bartłomiej) przy pierwszym (!) spotkaniu z Jezusem wypowiada słowa: „Rabbi, Ty jesteś Synem Bożym, Ty jesteś Królem Izraela” (J 1, 49). Co ciekawe, dzień wcześniej – w zapisie Janowym (zob. J 1, 40-42) – Jezus po raz pierwszy spotyka Szymona (przyprowadza go brat, Andrzej). Szymon nie wypowiada podczas tego spotkania ani jednego zdania – nie ma jeszcze nic do powiedzenia o Rabbim z Nazaretu (wie o Nim tyle, ile powiedział mu Andrzej). Mimo to „Jezus wejrzawszy na niego rzekł: Ty jesteś Szymon, syn Jana, ty będziesz nazywał się Kefas – to znaczy: Piotr”. Jeszcze nic nie powiedział; tym bardziej jeszcze nic nie uczynił! A Jezus objawia mu jego przyszłe powołanie („wyniesienie”) i urząd. Właśnie jemu; nie Natanaelowi, nie Andrzejowi (który wcześniej niż Szymon odkrył w Nim „Mesjasza – to znaczy Chrystusa: zob. J 1, 41).

Tak. Ponieważ powołanie jest wyborem Pana. I łaską. Nierzadko nie „za coś”, lecz raczej „mimo wszystko”: bez żadnych uprzednich zasług, mimo takich czy innych słabości i grzechów. Nie jest gratyfikacją za uzyskane w pocie czoła kwalifikacje i kompetencje. One się oczywiście przydają, i każdy wezwany – jeśli tylko jest odpowiedzialnym człowiekiem – zrobi wszystko, co potrzeba, by je zyskać; ale powołanie jest łaską – to znaczy: przychodzi darmo. ©

CYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 VII)

14. niedziela zwykła: Za 9, 9-10;	Czwartek: Rdz 44, 18-21. 23b-29. 45, 1-5;
Ps 145; Rz 8, 9. 11-13; Mt 11, 25-30;	Ps 105; Mt 10, 7-15;
Poniedziałek: Rdz 28, 10-22a; Ps 91; Mt 9, 18-26;	Piątek: Rdz 46, 1-7. 28-30; Ps 37; Mt 10, 16-23;
Wtorek: Prz 2, 1-9; Ps 34;	Sobota: Rdz 49, 29-33. 50, 15-26;
Dz 4, 32-35; Mt 19, 27-29;	Ps 105; Mt 10, 24-33;
Środa: Rdz 41, 55-57. 42, 5-7. 14-15a. 17-24a;	15. niedziela zwykła: Iz 55, 10-11;
Ps 33; Mt 10, 1-7;	Ps 65; Rz 8, 18-23; Mt 13, 1-23.

Wybrał PIOTR SIKORA



Adam Glapiński (po lewej) podczas zaprzysiężenia w Sejmie na kolejną kadencję prezesa NBP. Warszawa, 22 czerwca 2022 r.

NARODOWY BANK PARTII

Zależność banku centralnego od władz sprawia, że polityka monetarna służy nie tyle stabilizacji złotówki, co interesom partii. Cierpią na tym wszyscy obywatele, także zwolennicy rządu.

STEFAN SĘKOWSKI

PO NIEMAL DWÓCH LATACH OD PO-
czątku serii podwyżek stóp procento-
wych pojawiają się głosy sugerują-
ce możliwość pierwszej obniżki – je-
sienią. Czy ewentualna decyzja związa-
nej ściśle z NBP Rady Polityki Pienięż-
nej będzie tylko wnioskiem płynącym
z chłodnej analizy, czy też uwzględni
głównie zbliżające się wybory? W do-
brze funkcjonującym państwie takie
pytanie w ogóle nie powinno się poja-
wiać, u nas jednak jest logiczne. Wystar-
czy spojrzeć na olbrzymi baner otulają-
cy elewację Narodowego Banku Polskie-
go w stolicy. „Główne przyczyny inflacji:
1. Agresja rosyjska w Ukrainie 2. Pande-
mia i jej skutki. Obciążanie NBP i rzą-
du winą za wysoką inflację to narracja
Kremla”.

Oczywiście, na inflację wpływa za-
równo wojna, jak i wcześniejsza pande-
mia COVID-19 oraz wpompowanie w go-
spodarkę miliardów mających uchronić
nas przed recesją. Z czasem te przyczyny
zaczęły jednak tracić swe znaczenie. Za
inflację sięgającą w maju 13 proc. odpow-
iadają również przedwyborcze pro-
gramy, jak premia dla lekceważonych
latami nauczycieli czy darmowe laptopy
dla uczniów, a także pomysły kredytów
na 2 proc., wprowadzenia 800 plus oraz
podwyżek dla całej budżetówki w 2024 r.
(one także wpływają na wzrost cen, po-
nieważ wielu ludzi już uwzględni te pro-
gramy w obecnych wydatkach). Wśród
przyczyn dzisiejszej inflacji można też
wymienić długie utrzymywanie niskich
stóp procentowych przez RPP, a zwłaszcza
postawę jej przewodniczącego i zarazem
prezesa NBP Adama Glapińskiego, który
jeszcze wiosną 2021 r. twierdził, że stopy
przez dwa lata nie wzrosną, czym wpłynął
na boom kredytowy. Wspominanie o tym
nie jest powielaniem „narracji Kremla”,
tylko przypominaniem, że przedsiębiorcy
i konsumenci w swoich decyzjach kierują
się również słowami człowieka stojącego
na straży stabilności cen i kursu złotówki.

Zrozumiałe byłoby jeszcze, gdyby
to *reductio ad Putinum* przeprowadzał
Adam Glapiński wyłącznie w obronie
banku centralnego i własnego urzędu.
Tymczasem wspomniany baner broni
także rządu, choć zgodnie z Konstytucją
NBP powinien być od niego niezależny.
Ostatnio zresztą to wsparcie dla władzy
jeszcze się nasila. W maju Glapiński wy-
dał komunikat, w którym opisywał szar-

cunki dotyczące kosztów obietnic wy-
borczych PiS oraz PO. Wynika z nich, że
obietnice partii władzy mają kosztować
budżet 25-27 mld zł w latach 2024-2025
oraz podnieść ceny o 0,1 proc. w 2024
i 0,3 proc. w 2025 r. Propozycje PO, takie
jak „babciowe”, podwyższenie kwoty
wolnej od podatku do 60 tys. zł czy kre-
dyty mieszkaniowe na 0 proc. mają być
droższe – w tym samym okresie zapłaci-
libyśmy za nie rzekomo 88-93 mld zł, zaś
inflacja wzrosłaby w najbliższych dwóch
latach odpowiednio o 0,3 proc. i 0,8 proc.

Metodyka tego wyliczenia kuleje. Za-
niża koszt obietnic PiS (np. za leki dla se-
niorów zapłaci NFZ, choć przecież pieni-
dze w nim biorą się ze składek), ale waż-
niejsze jest, że takie porównanie w ogóle
nie powinno powstać. Rolą banku cen-
tralnego nie jest ocena obietnic wybor-
czych partii. Odpowiada on za wartość
złotówki, oceny polityczne pozostawia-
jąc obywatelom. Jak widać, nie według
prezesa NBP, związanego z Jarosławem
Kaczyńskim od ponad trzech dekad.

Decyzje ku chwale partii

Glapiński był jednym z założycieli Porozu-
mienia Centrum i jego wieloletnim
skarbnikiem. Sam ma wykształcenie
ekonomiczne i spory dorobek naukowy,
choć bardziej z dziedziny historii myśli
ekonomicznej niż polityki monetarnej.
Bankiem centralnym kieruje od 2016 r.,
mając w zarządzie osoby, które z ban-
kowością i finansami nie miały w swej
karierze do czynienia, jak były zastępca
szefa Kancelarii Prezydenta Paweł Mucha
albo poseł siedmiu kadencji i jeden z naj-
wierniejszych towarzyszy Jarosława Ka-
czyńskiego, Adam Lipiński. W mniejszo-
ści są ludzie z doświadczeniem w branży,
jak specjalizujący się w prawie banko-
wym prawnik Rafał Sura czy była wice-
prezes Europejskiego Banku Inwestycyj-
nego Marta Gajęcka.

W 11-osobowej RPP jest podobnie.
Przewagę mają politycy PiS, a w opozycji
do nich są trzej członkowie RPP wybrani
przez Senat: Przemysław Litwiniuk, Jo-
anna Tyrowicz i Ludwik Kotecki. Alar-
mują oni, że Glapiński odcina ich od ana-
lityków pracujących dla NBP i stara się
nałożyć prawny kaganiec, by nie mogli
głosić w mediach poglądów krytycznych
wobec decyzji Rady.

Kiedy w czerwcu 2016 r. Glapiński
przejmował pałeczkę w NBP z rąk Marka

Belki, sytuacja monetarna Polski była do-
bra. Mieliliśmy wręcz deflację (-0,8 proc.),
czyli spadek cen konsumpcyjnych, co
jednak nie budziło dużych obaw, ponie-
waż bezrobocie także spadało – wynosiło
8,8 proc., najmniej od 2008 r. – a stopy
procentowe znajdowały się od marca
2015 r. na rekordowo niskim poziomie
(referencyjna wynosiła 1,5 proc.).

Nowy szef NBP oraz wybrana w tym sa-
mym roku RPP przez kolejne lata, kiedy
sytuacja gospodarcza Polski się popra-
wiała, a ceny były stabilne, nie wykony-
wali nerwowych ruchów. I słusznie, po
co psuć coś, co działa. Niestety, bierni po-
zostali też wtedy, gdy pod koniec 2019 r.
inflacja zaczęła się rozpędzać. W marcu
2020 r., kiedy zawitał u nas COVID-19,
była już od trzech miesięcy powyżej wy-
znaczonego celu.

Pandemia zamroziła gospodarkę,
a wraz z nią wzrost cen. I wtedy wła-
śnie, po prawie czterech latach, Glapiń-
ski wraz z RPP, której przewodzi, zaczęli
działać. W marcu, kwietniu i maju 2020 r.
trzykrotnie obniżono stopy do rekordo-
wego poziomu 0,1 proc. Stracili na tym
oszczędzający w bankach i na lokatach,
lecz ulgę odczuli kredytobiorcy. Zmniej-
szyło się też oprocentowanie długu pu-
blicznego, w związku z czym rządzącym
łatwiej było spłacać dotychczasowe zobo-
wiązania i brać nowe pożyczki.

Można się było jednak spodziewać,
że taka polityka w przyszłości spowo-
duje wzrost inflacji wraz ze zwiększe-
niem ilości pieniądza na rynku. Mimo
wszystko było to działanie zrozumiałe:
nie wiedzieliśmy, ile potrwa pandemia,
i bezpieczniej było zaryzykować poten-
cjalną inflację w przyszłości niż niemal
pewne upadki firm oraz rosnące bezro-
bocie, i to od razu. Trudno mieć też pre-
tensje do RPP, że robiła to samo, co czy-
niła Rezerwa Federalna w USA czy Bank
Anglii.

Banki „słupami” rządu

Glapińskiemu i RPP można mieć jednak
za złe, że kiedy w 2021 r. powoli wycho-
dziliśmy już z pandemii, a od marca tego
roku wzrost cen przyspieszył, nie zaczęto
stóp procentowych ponownie podwyż-
szać. Przeciwnie: Glapiński mówił wtedy,
że nie musimy obawiać się inflacji. Czy
Rada Polityki Pieniężnej, zaczynając pod-
nosić stopy dopiero we wrześniu 2021 r.,
popełniła tylko szkolny błąd, czy było to →

→ jednak działanie świadome – na rzecz interesu partii rządzącej?

Wiele wskazuje, że chodzi o to drugie. Niskie stopy powodowały, że państwo płaciło mniejsze odsetki za pozyczone pieniądze, co przekładało się na niższe wydatki z budżetu. Ale nie był to jedyny sposób, w jaki NBP pomagał rządzącym. Zgodnie z prawem, 95 proc. zysku banku centralnego przekazywane jest do budżetu. Pochodzi on m.in. z różnic kursowych złotówki do innych walut. W 2019 r. RPP zdecydowała, że na rezerwę, którą można wykorzystać w przypadku nagłej utraty wartości przez złotówkę, zaczniesz przeznaczać jedynie połowę zysku z różnic kursowych, a nie, jak do tej pory, całość. Co prawda dzięki temu więcej pieniędzy może wpływać do budżetu państwa (choć akurat w tym roku NBP zanotował stratę, więc nie wypłacił zysku budżetowi), ale z drugiej strony jesteśmy w przyszłości hipotetycznie bardziej narażeni na wahania kursowe.

W czasie pandemii NBP zrobił jeszcze coś osobliwego. Kupił od banków komercyjnych obligacje skarbowe Polskiego Funduszu Rozwoju i Banku Gospodarstwa Krajowego o łącznej wartości prawie 150 mld zł, co pomogło zdobyć budżetowi środki na ówczesne pakiety antycovidowe oraz obniżyć koszt ich spłaty. Ktoś powie: i co z tego, bank centralny może kupować obligacje skarbowe na rynku wtórnym. Tyle że NBP nabył owe papiery wartościowe niedługo po tym, jak banki same kupiły je od rządu i państwowych funduszy. A to rodzi podejrzenie, że komercyjne instytucje finansowe wystąpiły tu w roli „słupów”. Jak twierdzi część prawników, np. Bartłomiej Opaliński, który napisał ekspertyzę na zlecenie wicemarszałka Sejmu Piotra Zgorzelskiego z PSL, było to obejście konstytucyjnego zakazu finansowania długu publicznego przez NBP, poprzez wykorzystanie banków jako pośredników.

Taki scenariusz trudno udowodnić, bo trzeba by wykazać, że banki wiedziały, iż NBP odkupi od nich posiadane papiery (Adam Glapiński temu zaprzecza). Jednak jeśli tak było, NBP umożliwił budżetowi, PFR i BGK wpompowanie w gospodarkę gigantycznego zastrzyku gotówki.

Utrzymywane długo niskie stopy zachęcały Polaków do brania kredytów

w czasie, kiedy gospodarka wychodziła z inercji. Od marca 2020 do czerwca 2021 r. inflacja to spadała, to rosła, wahając się między 2,4 a 4,7 proc. Jednak od lipca 2021 r. mocno przyspieszyła i jesienią RPP nie mogła już nie podnosić stóp procentowych. Od października 2021 do września 2022 r. seria podwyżek wywinęła ją na obecny poziom 6,75 proc. To jednak nadal poniżej wskaźnika inflacji, co powoduje, że *de facto* stopy pozostają ujemne, zaś oszczędzający cały czas tracą. Zresztą, nie tylko oni. Wysoka inflacja powoduje, że spadają realne płace: wynagrodzenia rosną wolniej niż ceny, a przeciętny Polak biednieje.

Krótką historią (nie)zależności

Zależność banku centralnego od polityków jest bardzo szkodliwa dla obywateli, ponieważ powoduje, że polityka monetarna służy nie tyle stabilizacji złotówki, co realizacji interesów partyjnych. Dążenie do taniego kredytu bez oglądania się na to, czy idzie to w parze z realiami gospodarczymi, może krótkoterminowo wzmacniać wzrost gospodarczy, ale długoterminowo nadmucha bańki spekulacyjne, ponieważ ludzie kupują za pozyczone pieniądze rzeczy (np. nieruchomości), na które inaczej nie byłoby ich stać, a przez ten popyt rosną ceny. Nadmierne pompowanie pieniędzy w gospodarkę może też rozpędzać inflację, która zjada oszczędności i wprowadza niepewność do życia przedsiębiorców i konsumentów. W ustawie o NBP zapisano, że „podstawowym celem działalności NBP jest utrzymanie stabilnego poziomu cen, przy jednoczesnym wspieraniu polityki gospodarczej Rządu, o ile nie ogranicza to podstawowego celu NBP”. Chodzi o to, by niski wzrost cen nie stał się celem samym w sobie, bo z kolei zbyt wysokie stopy procentowe czynią pieniądź drogim i zachęcają do jego chomikowania. To z kolei może (choć nie musi) prowadzić do zastoju gospodarczego i bezrobocia, gdyż inwestowanie w produkcję czy usługi staje się zbyt ryzykowne. Rozsądna polityka monetarna jest więc nieustannym chodzeniem po linie między jedną przepaścią, którą może być duży wzrost cen, a drugą, jaką jest recesja.

Aby utrzymać „stabilny poziom cen”, NBP ustala tzw. cel inflacyjny, do którego prowadzić ma polityka monetarna. Cel ten wynosi od 2004 r. 2,5 proc. z tole-

rancją w granicach 1,5-3,5 proc. Za jego osiągnięcie odpowiada zarówno prezes NBP, jak i 9-osobowa Rada Polityki Pieniężnej, wybrana przez Sejm, Senat i prezydenta.

RPP pojawiła się w Konstytucji z 1997 r. po to, żeby ograniczyć rolę samego prezesa NBP. O polityce monetarnej państwa miało decydować gremium, którego szef jest tylko „pierwszym wśród równych”. Rządząca w tamtym czasie Polską koalicja SLD-PSL toczyła więc boje z ówczesną prezes Hanną Gronkiewicz-Waltz, która, zdaniem lewicy, zbyt wolno obniżała stopy. Rządzący liczyli jednak na to, że po kolejnych wygranych wyborach w 1997 r. jej ludzie będą mieli większość w Radzie i zaczną prowadzić „gołębią” politykę monetarną. Tyle że zwycięstwo odniosła AWS i Unia Wolności, i to one w 1998 r. wybrały większość pierwszego składu Rady. Sporów na linii bank centralny–rząd w tamtym czasie raczej nie było, choć ówczesnemu ministrowi finansów Leszkowi Balcerowiczowi zdarzało się nawoływać RPP do obniżania stóp procentowych. Co może zaskakiwać, biorąc pod uwagę fakt, że gdy sam był ministrem finansów w latach 1989-1991, zdecydowanie przeciwstawiał się inflacji.

Punkt widzenia zależy jednak od punktu siedzenia i gdy Balcerowicz został prezesem NBP w 2001 r., stał się wzorcem niezależności. Parę miesięcy później do władzy wróciła lewica z ludowcami, i od razu weszli z nim w konflikt. Nowy rząd chciał, by RPP, składająca się głównie z osób wybranych przez prawicę i liberałów, prowadziła „gołębią” politykę monetarną i obniżała stopy procentowe, które wynosiły w chwili obejmowania funkcji premiera przez Leszka Millera 14,5 proc. Balcerowicz i RPP obniżali stopy, ale, zdaniem lewicy, zbyt wolno. W 2002 r. Sejm podjął nawet uchwałę wzywającą do poluzowania polityki pieniężnej. W narzucaniu swojej opinii rządzący sięgali też po radykalne środki. – Ponieważ Balcerowicz nie chciał działać na rzecz obniżenia wartości złota, to Miller obniżył zarządowi banku płace podstawowe – mówi „Tygodnikowi” ówczesny wiceprezes NBP, Andrzej Bratkowski.

Nieugięty bank – z cieniami

Można oczywiście spierać się, czy utrzymywanie stóp na poziomie 10 proc., gdy

inflacja wynosi 3,5 proc., a bez pracy pozostaje co piąty Polak – nie było wtedy zbyt „jastrzębim” działaniem, i czy nie należało rozpędzić gospodarki po to, żeby ludzie znaleźli zatrudnienie. Niemniej Balcerowicz pozostał nieugięty i wspólnie z RPP obniżał stopy w tempie, które uznawał za odpowiednie. Po 2004 r. wpływ na decyzje Rady przejęli członkowie wybrani przez zdominowany przez lewicę parlament i prezydenta Kwaśniewskiego, ale on swoje opinie zachował.

W 2007 r. prezesem został Sławomir Skrzypek. Można domniemywać, że rządzący wtedy PiS wspólnie z LPR i Samoobroną szykowali sobie uległego szefa NBP. Jako inżynier budownictwa oraz absolwent studiów menedżerskich nie miał ekonomicznego wykształcenia kierunkowego, a prezesem PKO BP został pod koniec 2005 r. z politycznego nadania PiS. W dodatku bardzo blado wypadł podczas przesłuchania w Komisji Finansów. Czy byłby zależny od PiS, tego się jednak nie dowiemy, bowiem kilka miesięcy później zdarzyły się przedterminowe wybory do parlamentu, po których nastąpiło osiem lat rządów koalicji PO-PSL. Sam Skrzypek zginął w katastrofie smoleńskiej trzy lata później.

Bronisław Komorowski, by przyciągnąć do siebie nieco bardziej lewicowych wyborców, wskazał jako kandydata na jego następcę Marka Belkę. Bratkowski, w latach 2010-2016 członek RPP, wspomina konflikt, jaki miał wtedy miejsce. – W 2012 r. prosiłem, by nie podnosić stóp procentowych, ponieważ inflacja spadała. Uważałem, że należy wspierać politykę rządu, który walczył wtedy z bezrobociem. Wykształciła się jednak maniera, że dobra polityka monetarna to „jastrzębia”. Ja uważam, że czasem trzeba podnosić stopy procentowe, czasem je obniżać. Zostałem przegłosowany – opowiada. Co znaczące: w 2012 r. większość w RPP miały osoby wybrane przez Sejm i Senat zdominowany przez PO-PSL. Można więc powiedzieć, że podwyższając stopy, działały wbrew interesowi politycznemu środowisk, którym zawdzięczały swoje stanowiska.

Na niezależność Marka Belki jako prezesa NBP poważny cień rzuca jednak rozmowa, jaką przeprowadził z Bartłomiejem Sienkiewiczem (ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Donalda Tuska), nagrana w restauracji Sowa i Przy-



ANDRZEJ HULINKA / FORUM

Rozsądna polityka monetarna

jest nieustannym chodzeniem po linie między jedną przepaścią, którą może być duży wzrost cen, a drugą, jaką jest recesja.

jaciele. Panowie rozważali umożliwienie NBP bezpośredniego pożyczania pieniędzy rządowi (co wymagałoby zmiany prawa) tuż przed wyborami parlamentarnymi. W rozmowie pojawiają się sugestie, że dzięki temu byłoby więcej funduszy na ewentualne transfery dla obywateli, które ci mogliby bardziej docenić niż mniej namacalne dla wielu inwestycje, jak np. orliki. Niezależnie od oceny późniejszych posunięć rządu PiS, było to ustalanie działań banku centralnego w celu wsparcia PO i PSL w walce wyborczej. Belka w swoich rozważaniach (choćby i niezrealizowanych) wykroczył daleko poza dopuszczalne granice i w ten sposób dał pretekst następcy, by już całkiem jawnie sprzyjać rządowi.

Rynki czekają na obniżki

Nie znaczy to, że kontakty między politykami a NBP powinny być zabronione. – Jego prezes powinien współpracować z rządem w kwestii synergii różnych polityk gospodarczych: budżetowej, finansowej, fiskalnej. Ludzie w rządzie i banku centralnym muszą wiedzieć, co się dzieje w gospodarce, żeby lepiej realizować zadania, za które są odpowiedzialni. Ale to się powinno odbywać transparentnie, w ramach np. Komitetu Stabilności Finansowej. Każda ze stron

musi pozostać niezależna – mówi „Tygodnikowi” Sławomir Dudek, prezes Instytutu Finansów Publicznych, w latach 1996-2019 pracujący w Ministerstwie Finansów.

W skład KSF wchodzi minister finansów, prezes NBP, przewodniczący Komisji Nadzoru Finansowego oraz prezes Bankowego Funduszu Gwarancyjnego. Ich celem jest utrzymanie stabilności systemu finansowego. Na tym tle nieskrywane odwiedziny prezesa Glapińskiego w siedzibie PiS to przekroczenie prawa i dowód współpracy między partią polityczną a NBP. Nie jest też wykluczone, iż jeszcze w tym roku, przed wyborami, RPP obniży stopy procentowe. Taki ruch sugerują członkowie RPP, w tym sam Adam Glapiński, i spodziewa się go rynek.

Dowód? Instytucje finansowe, które pożyczają sobie pieniądze, by uniknąć ryzyka związanego ze zmieniającymi się stopami, zawierają między sobą umowy terminowe. Jak wskazuje „Business Insider”, półroczne kontrakty są oprocentowane na średnio 6,3 proc., czyli poniżej obecnej stopy procentowej. Oznacza to, że finansiści już szykują się na obniżkę stóp.

Niższe stopy oznaczają łatwiejsze branie kredytów, przez co na rynku pojawia się więcej pieniądza. Ponadto dają sygnał przedsiębiorcom i konsumentom: spokojnie wydawajcie pieniądze (choć może to wpłynąć na wzrost cen), sytuacja jest opanowana. Ale tak nie jest. Wskazują na to prognozy Międzynarodowego Funduszu Walutowego, OECD, a przede wszystkim samego NBP, który ocenia, że dopiero w 2025 r. inflacja osiągnie 3,5 proc., a więc górną granicę przyjętego celu. RPP nie powinna obniżać stóp, dopóki wzrost cen nie spowolni do okolic celu inflacyjnego. A to nie zdarzy się prawdopodobnie przez najbliższe dwa lata.

Obniżka stóp byłaby jednak korzystna dla rządzących, którzy tuż przed wyborami mogliby pochwalić się rzekomo poprawiającą się sytuacją gospodarczą. Po głosowaniu RPP mogłaby stopy znowu podnieść, powołując się na nadzwyczajne okoliczności. Kłopot w tym, że za przedwyborcze ulżenie kredytobiorcom zapłacimy wszyscy, także zwolennicy PiS, wyższymi cenami w kolejnym roku. Nie będzie to wina Kremla.

© STEFAN SĘKOWSKI

Domy pomocy w umieraniu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Zdawało się, że pandemia i fala ofiar w polskich DPS-ach obnażą ze szczerem anachroniczność tych placówek. Zagrożenie minęło, ale one mają się świetnie. Rządzący stracili szansę, by stworzyć dla nich alternatywę.

GŁOŚNO ROBI SIĘ O NICH ZWYKLE w jednym przypadku: widowiskowej śmierci lub choćby jej widma. Wiosną 2020 r. usłyszeliśmy o dziesiątkach zakażeń i zgonów, a potem o tym, że aby się one nie powtórzyły, dyrektorzy zamieniają swoje DPS-y w warownie.

Gdy pandemia stała się wspomnieniem, przyszedł czerwiec 2022 r.: Wirtualna Polska ujawniła, że w jordanowskim DPS-ie dla dzieci zakonnice biły, wiązały i poniżały mieszkańców.

Głośno o całodobowych placówkach zrobiło się znowu w kwietniu tego roku, gdy reporterzy programu „Państwo w państwie” Polsatu pokazali historię starszego mieszkańca szczecińskiego DPS-u Dom Kombatanta. Trafił on do szpitala z koronawirusem, ale też w stanie całkowitego zaniedbania. Zmarł, a jego syn uważa, że ojciec został w DPS-ie zagłodzony na śmierć.

Podobne dramaty dzieją się w Polsce na co dzień, bo wynikają nie tylko ze spektakularnych zaniedbań, ale też z samej natury funkcjonowania takich miejsc. Wiedzą coś o tym opiekunowie osób z niepełnosprawnościami.

Z domu do „domu”

– Jeśli nic się w Polsce nie zmieni, po mojej śmierci syn Antoni trafi do jednego z nich. Mówię to, a równocześnie wiem, że to się nie może zdarzyć. I zrobię wszystko, by się nie zdarzyło. Tam będzie nieszczęśliwy i się wycofa. Zamieszka w pokoju z dwiema obcymi osobami, być może z czynnym alkoholiczkiem, który będzie go bić. Nie dostanie indywidualnej opieki, która jest mu niezbędna; przeciwnie, będzie ca-

łymi dniami przebywać w dziesięcioosobowej grupie. Nikt nie będzie rozumiał jego niewyraźnej mowy, więc jego prośby i potrzeby nie będą brane pod uwagę. Nikogo np. nie będzie obchodzić, że lubi grać na saksofonie i jeździć na rowerze – wylicza Małgorzata Rybicka.

Antoni to 39-letni mężczyzna w spektrum autyzmu i ze znaczną niepełnosprawnością intelektualną. Małgorzata Rybicka, jego matka, jest przewodniczącą Stowarzyszenia Pomocy Osobom Autystycznym w Gdańsku i Porozumienia Autyzm-Polska, zrzeszającego 42 organizacje (ojciec Antoniego, Arkadiusz „Aram” Rybicki, który zginął w katastrofie pod Smoleńskiem, był posłem PO, przewodniczącym parlamentarnej grupy ds. autyzmu i przez lata walczył o prawa osób z autyzmem).

To, co mówi Rybicka, jeszcze dosadniej formułuje s. Małgorzata Chmielewska, pytana o wizję wysłania jej przybranego syna Artura (też w spektrum autyzmu) do domu pomocy. „Umarłby tam w ciągu dwóch, może trzech miesięcy. Udusiłby się w wyniku ataku padaczki albo faszerywaliby go psychotropami, żeby go »uspokoić«” – mówiła Chmielewska w niedawnym wywiadzie dla „Tygodnika”.

Małgorzata Rybicka opowiada mi historię starzejących się i schorowanych rodziców, którzy umieszczenie dorosłego dziecka w placówce mają za sobą. Np. jedna z matek musiała oddać dorosłego syna do DPS-u, skąd ze względu na coraz częstsze ataki agresji trafił do szpitala psychiatrycznego. – Wcześniej takie zachowania, jak uderzanie głową w ścianę,

zdarzały mu się rzadko, bo nauczył się kontrolowania gniewu i frustracji – opowiada szefowa SPOA. – Ale gdy trafił do placówki, autodestrukcyjne zachowania się nasiliły.

Inny znany Rybickiej mężczyzna w DPS-ie wylądował dopiero, gdy jego ojciec zachorował na raka, a matka nie miała siły, by zajmować się i mężem, i synem. – W domu było mu dobrze, zorganizował sobie tam mikroświat, z ulubionymi modelami samochodów i zbieranymi przez lata wytłóczkami po czekoladkach – opowiada. – Gdy trafił do placówki, jego matka napisała mi, że nigdy nie myślała, iż kiedykolwiek znajdzie się w tak tragicznej sytuacji.

Bardzo często rodzice osób z autyzmem i niepełnosprawnością intelektualną starają się o miejsce w całodobowej placówce dopiero wtedy, gdy nie ma innego wyjścia. Pokazuje to historia samotnego, bardzo już chorego ojca, który zmarł dwa miesiące po umieszczeniu syna w DPS-ie.

Domy pomocy to oczywiście nie zawsze – ani nie najczęściej – areny ludzkich dramatów i upiornej śmierci. Pracuje w nich zwykle ofiarny personel, któremu jednak brakuje często kwalifikacji, jest go też zbyt mało. – W takim miejscu nie da się zorganizować mieszkańcom życia zgodnego z ich potrzebami i uwzględniającego ich ograniczenia, skoro nie zawsze daje się zapewnić nawet bezpieczeństwo – podsumowuje szefowa SPOA.

Dlatego coraz więcej ekspertów mówi wprost: całodobowe placówki powinny zniknąć z mapy cywilizowanych systemów pomocy. W Polsce – mimo kolejnych przyjmowanych przez rząd strategii tzw. deinstytucjonalizacji – do tego zniknięcia jest daleka droga.

Zmieniły się dekoracje

Na koniec roku 2021 w domach pomocy społecznej przebywało niespełna 80 tys. osób, z czego ponad połowę stanowili seniorzy 65 plus (do tego dodajmy nieznaną bliżej, ale nie mniejszą niż 20 tys. liczbę pensjonariuszy prywatnych domów opieki, niebędących pod kontrolą państwa). Przeważające – poza tymi dla seniorów – typy placówek to te dla osób przewlekłe psychicznie chorych, dla chorych somatycznie i dla osób dorosłych z niepełnosprawnościami intelektualnymi. Te wszystkie grupy łączy



GRZEGORZ CELEJWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dawny ośrodek wypoczynkowy przerobiony na DPS w trakcie epidemii covid. Kozubnik, 28 września 2020 r.

jedno: trafili do DPS-u, bo wymagali całodobowej opieki, a ta – przynajmniej wedle oceny urzędników – była niemożliwa w ich dotychczasowym miejscu zamieszkania.

O tym, że polskie DPS-y systemowo łamią prawa człowieka, wiemy przynajmniej od 2014 r., kiedy prawnik dr Krzysztof Kurowski przebadiał całodobowe placówki pod kątem ich regulaminów. Okazało się, że w wielu z nich mieszkańcy nie mają możliwości decydowania o własnym rozkładzie dnia; że – bez względu na swój stan – nie wolno im przechowywać samodzielnie dokumentów; że muszą oddawać do depozytu wartościowe przedmioty; że obowiązują ich zakazy – czy mają ku temu przeciwwskazania, czy nie – spożywania, a nawet kupowania alkoholu; że zdarzają się zakazy wychodzenia na zewnątrz.

Co zmieniło się przez niemal dekadę? – W zasadzie nic – odpowiada krótko Kurowski, autor badań, przewodniczący Polskiego Forum Osób z Niepełnosprawnościami. – A jeśli już, to na gorsze, bo np. dziś nie mógłbym podobnych badań przeprowadzić: dyrekcje są mniej otwarte, dużo lepiej wiedzą, jak ukrywać patologie.

– Zmieniły się wyłącznie dekoracje, np. wystrój – uważa z kolei Adam Za-

wisny, ekspert ds. polityki społecznej, wiceprezes Instytutu Niezależnego Życia. – Jest mniej niż kiedyś odrapanych ścian, są schludniejsze wnętrza, a pokoje są rzadziej wieloosobowe, częściej dwu-, trzyosobowe. Tyle że mieszkaniem jest nadal przedmiotem opieki, a nie podmiotem; jego wpływ na rzeczywistość jest ograniczony. Nie decyduje o harmonogramie dnia, jadłospisie, doborze współlokatorów. Nie może wyjść z domu wtedy, gdy tego potrzebuje, bo kadra pracuje niemal wyłącznie na miejscu.

DPS jak Alcatraz

Obaj eksperci są zgodni: pandemia wyhamowała zmiany, a nawet cofnęła Polskę – i zapewne nie tylko ją – o dekady. Kurowski: – Przed marcem 2020 r. niektóre z placówek zaczynały się nieco otwierać, demokratyzować. Po tej dacie wielu dyrektorów mogło powiedzieć: teraz będziemy łamać wasze prawa dla waszego dobra.

Zawisny: – Sytuację, w której dyrektor albo pielęgniarz decyduje, czy dorośli, posiadający prawa obywatelskie ludzie mogą wyjść na zewnątrz, uznałibyśmy za właściwą jednej instytucji: więzieniu. A przecież to właśnie się stało w DPS-ach w pandemii.

W marcu 2020 r. nikt jednak o tym nie śmiał mówić. Najpierw były doniesienia o pozostawionych przez pracowników – w niektórych krajach nawet na śmierć – mieszkańców i fali zachorowań. W Polsce eksperci PFON wyliczyli na podstawie danych rządowych, że ryzyko zakażenia i śmierci na covid w zamkniętej placówce jest kilkadziesiątkrotnie większe niż poza nią, a w niektórych miastach (np. w Łodzi) pandemia kosztowała życie nawet kilka procent mieszkańców DPS-ów.

Po paru miesiącach zaczęto też mówić o fali kryzysów psychicznych. „Niektórzy dyrektorzy chwalili się, że zrobili ze swoich domów – cytuję – »Alcatraz«. I być może dobrze, pewnie dzięki temu nikt tam nie umarł. Tyle że dla niektórych pensjonariuszy to izolacja zaczyna być największym zagrożeniem. Od mieszkańca łódzkiego DPS-u usłyszeliśmy, że jeśli nic się nie zmieni, może sobie coś zrobić” – opowiadał wówczas „Tygodnikowi” Adam Zawisny.

O lokalnych „Alcatraz” było słychać jeszcze długo. Wystarczająco długo, by pomyśleć, że pandemia obnażyła ze szczególną anachronicznością DPS-ów. Pandemia minęła, ale one mają się świetnie. A jest tak z prostego powodu: nie ma dla nich alternatywy.

Pogrzeb niezależnego życia

Na branżowych profilach w mediach społecznościowych furorę robi ostatnio pochodzący sprzed wielu lat cytat. „Pomoc społeczną dzielimy na pomoc środowiskową i instytucjonalną – pisał w 1980 r. Mieczysław Karczewski, wtedy dyrektor ministerialnego Departamentu Pomocy Społecznej. – Ta ostatnia to domy pomocy społecznej, które traktujemy jako najmniej szczęśliwą formę do stosowania po wyczerpaniu wszystkich możliwości zorganizowania pomocy w środowisku”. „Wystarczy więc zubożyć możliwości pomocy w środowisku, aby się one szybko wyczerpały” – komentował zgryźliwie kilka miesięcy temu pod jednym z postów przypominających słowa Karczewskiego prof. Ryszard Szarfenberg, ekspert ds. polityki społecznej.

Rzeczywiście: pod wieloma względami czas – mierzony od epoki PRL-u – stanął w miejscu. W 2018 r. NIK podała, że usługi opiekuńcze świadczone

→ przez pomoc społeczną w miejscu zamieszkania są niedostępne w aż 20 proc. gmin. A tam, gdzie osoby potrzebujące wsparcia (chodzi o codzienne potrzeby życiowe i opiekę higieniczną) mogą na nią liczyć, jej jakość i wymiar pozostawiają wiele do życzenia. I to mimo iż są płatne, co zresztą czasami skutkuje trudnym do pojęcia absurdem: człowiek, którego nie było stać na opłacenie domowej opieki, trafia do DPS-u, którego koszt jest... wielokrotnie wyższy (ponosi go jednak – w przypadku złej sytuacji materialnej „klienta” i jego rodziny – gmina).

System oparty na DPS-ach ma się dobrze, bo *status quo* ma obrońców: pracowników, dyrektorów i samorządowców, którzy mogą żonglować posadami. – A także ośrodki pomocy społecznej, dla których instytucjonalny moloch jest wygodny, bo oznacza skupienie setek potrzebujących w jednym miejscu – dopowiada Adam Zawisny.

Co więc zamiast, lub przynajmniej obok, tych postpeerelowskich molochów? – Niezależne życie – odpowiadają krótko eksperci.

Kilka tygodni temu część środowiska zorganizowała symboliczny pogrzeb osób z niepełnosprawnościami, które nie doczekały się ustawy będącej według nich fundamentem niezależnej egzystencji – o asystencji osobistej. Kondukt, zorganizowany przez Protest 2119 (ruch popierany przez wiele organizacji) przeszedł spod kolumny Zygmunta pod Pałac Prezydencki. Dotyczył wielokrotnie zapowiadanego przez Andrzeja Dudę projektu ustawy.

Dzięki niej każda osoba wymagająca wsparcia otrzymałaby ustawową gwarancję asystencji osobistej: pomoc w prowadzeniu codziennego życia; wsparcie – jak to nazywa Zawisny – „cienia, który pomaga wyjść z cienia”, umożliwiając tej osobie wykonywanie normalnych czynności: pracy, spaceru, zakupów itd. Asystenci osobiści już w Polsce pracują, ale tylko gdzieś tam – i wyłącznie w ramach projektów.

Co ustawa o asystentach ma wspólnego z DPS-ami? Ma sprawić, że placówka przestanie być jedynym – poza wsparciem ze strony rodziny – wyjściem dla kogoś, kto chce normalnie żyć pomimo ciężkiej niepełnosprawności.

Tyle że nie ma już w zasadzie szansy, by projekt wszedł w życie w obecnej kadencji Sejmu.

Mieszkaniec DPS-u
jest przedmiotem opieki,
a nie podmiotem.

Nie decyduje
o harmonogramie dnia,
jakośpisie, doborze
współlokatorów.

**Nie może wyjść na zewnątrz,
gdy tego potrzebuje.**

Zawisny: – By ustawa mogła zadziałać od stycznia 2024 r., Kancelaria Prezydenta musiałaby radykalnie przyspieszyć swoje tempo prac. Przecież prezydent publicznie obiecał, że zakończą się one najpóźniej w... grudniu 2021 r.

Ekspersi mają też wątpliwości co do jakości tworzonego pod patronatem Andrzeja Dudy prawa. – Kancelaria złamała Konwencję o prawach osób z niepełnosprawnościami, wykluczając z prac środowisko samych zainteresowanych – mówi Zawisny. – I nie włączyła w nie nikogo z doświadczeniem w zakresie asystencji osobistej. Dlatego nasze apele są aktualne: włączcie nas wreszcie w prace, które są dla wielu z nas kwestią życia i śmierci!

Małe wspólnoty do ustawy

Swoje postulaty mają też organizacje Porozumienia Autyzm-Polska. Chcą, by polskie państwo gwarantowało osobom z autyzmem i niepełnosprawnością intelektualną, ale też z niepełnosprawnościami sprzężonymi (np. ruchową i intelektualną) – małe domy z indywidualnym wsparciem. Chodzi o Wspólnoty Domowe, w których można godnie żyć – jeszcze za życia rodziców.

– To domy dla maksymalnie 12 osób. Kilka z nich z wielkim wysiłkiem zbudowały organizacje pozarządowe. W najbliższych latach powstanie ok. 50 kolejnych małych domów, Wspomaganych Społeczności Mieszkaniowych finansowanych z PFRON-u. Jest to krok na przód, ale dotyczy ok. 600 osób, a w Polsce żyje prawdopodobnie 70 tys. osób z autyzmem i niepełnosprawnością intelektualną, z których większość powinna

zamieszkać w małych domach z indywidualnym wsparciem – mówi Małgorzata Rybicka, szefowa SPOA.

Jej organizacja zbudowała Wspólnotę Domową dla Dorosłych Osób z Autyzmem im. Arama Rybickiego. – Każdy z mieszkańców, w tym mój syn Antoni, ma pokój z łazienką, jest też część wspólna z pokojem jadalnym i dziennym – opowiada Małgorzata Rybicka. – Każdy ma tyle wsparcia, ile potrzebuje, ale też tyle wolności, ile jest w stanie unieść. W ciągu dnia nasi mieszkańcy mają jednego opiekuna lub terapeutę na jedną osobę, bardziej samodzielni – dwoje opiekunów na trzy osoby, a w nocy na sześciuosobową grupę dyżuruje dwoje opiekunów. Pracownicy tworzą z mieszkańcami wspólnotę, choć sami mieszkańcami nie są. Osoby z autyzmem przechodzą trening mieszkalnictwa: dwa razy w miesiącu pięć dni i nocy spędzają tu, na kolejne dni wracają do domów rodzinnych. Lubią to miejsce, czują się w nim bezpiecznie, są spokojni, zadowoleni z życia i coraz bardziej samodzielni.

Ale nie mogą, dodaje działaczka, liczyć na stałe zamieszkanie, bo projekty, z których finansowana jest działalność, są tymczasowe i nigdy nie wiadomo, jaka będzie wysokość finansowania. – Potrzebna jest więc ustawa gwarantująca stałe środki na odpowiednim poziomie. Jesteśmy tak zdeterminowani, że do tego doprowadzimy – zapewnia Rybicka.

Szklane domy

Na razie i powszechnie dostępna pomoc środowiskowa, i ustawowo zapisana asystencja, i małe domy przypominają raczej szklane domy – funkcjonują głównie w marzeniach. Urzędników i polityków obchodzą umiarkowanie. Po sejmowym proteście osób z niepełnosprawnościami rząd wykpił się nowym świadczeniem wspierającym (ponad 700, ok. 1500 lub 3 tys. zł miesięcznie dla osób, których niepełnosprawność w skali 0-100 mieści się w przedziale 70-100). Ale mniej widowiskowe niż żywa gotówka zadania zostawił sobie na bliżej nieokreśloną, choć zapewne już powyborczą przyszłość.

W tej bliższej DPS-y mogą się przydać – jako siedziby lokali wyborczych.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ProSIONKI, kulanki i skulice

MICHAŁ KSIĄŻEK, REPORTER:

Zasady panujące w naszych domach chcemy przenieść na zewnątrz. Podłoga ma lśnić. Mamy już nawet meble uliczne, obok których pracuje wielki mechaniczny mop. To droga donikąd.

JOANNA WIŚNIEWSKA: Przeczytałam „Atlas dziur i szczelin” i teraz nie wiem, czy lepiej będzie, jak zabiorę na wakacje lornetkę, czy lupkę?

MICHAŁ KSIĄŻEK: Lupę łatwiej kupić i jest tańsza. Ale obydwie są bardzo przydatne w oglądaniu przyrody, umożliwiają nam nadrobienie przyrodzonego dystansu, jaki oddala nas od świata ptaków czy owadów. Nie potrafimy latać ani dobrze się kryć i być tak cicho jak one.

A jeśli nie mamy specjalistycznego sprzętu?

Możemy skupiać się na przeżywaniu bodźców dochodzących z ekosystemu. Kąpiele leśne są dobrym przykładem takiego masażu zmysłów. Fokuszujemy się wtedy na jednym bodźcu, na przykład świetle.

Ale w takich sytuacjach warto pamiętać, że jesteśmy bardziej na widoku całej biocenozy, co zresztą też jest przyjemne. Choć wydaje nam się, że dookoła nic się nie dzieje, to w rzeczywistości jesteśmy cały czas oglądani, wączani i dotykani przez tych wszystkich innych, mniejszych, którzy wokół nas się snują, krążą i pną. Taki pływak żółto-brzeżek w locie, chrząszcz wielkości broszki, może nie tyle dotknąć, co nawet mocno uderzyć nas w czoło lub w pierś. Jest jak pocisk. Obecność biedronki odnotowu-



JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

Krakowski park i zalew Zakrzówek. 28 maja 2023 r.

jemy znacznie delikatniej, albo ukłucie komara. Choć niektórzy tego nie lubią.

Większość.

Wielu ludzi, wbrew pozorom, nie ma z tym problemu. Dokuczliwość naszych komarów jest wyolbrzymiona przez biofobów. Widzę to na biodrożkach, czyli wycieczkach, które organizuję. Kiedy ludzie chodzą zaaferowani, kiedy kucają, żeby cemuś się przyjrzeć, nie zwracają uwagi na komary.

Promuję lupki i lornetki, a nawet lunety, bo te sprzęty umożliwiają oglądanie zwierząt z bezpiecznej dla nich odle-

głości. Ale w przyrodznawstwie są dwie szkoły, jedni mówią, że trzeba siedzieć i czekać, aż zwierzęta i bodźce przyjdą, inni uważają, że trzeba iść i szukać.

Co Ty uważasz?

Łączę te metody. Czasem, żeby nie podchodzić blisko, używamy różnych optykaliów, umożliwiają one pozorną, ale jakże miłą bliskość. Dzięki nim widzimy na przykład, jak kochają się dzięcioły, czy jak samiec sikory karmi samiczkę. Widać też z kilkuset metrów sarnę z kozłakiem na łące. Dzięki temu nie wchodzimy zwierzętom z butami w życie.

→

→ W mieście nie znajdę saren.

Wyda się nam, że dzika przyroda jest gdzieś dalej – nad morzem, w górach, w parku narodowym. Tymczasem ona jest tuż obok. Pod parapetem, w dziupli drzewa za oknem, w poszyciu dachu, pod kamieniem, który leży przy wejściu do bloku. Wystarczy spojrzeć przez okno, by zobaczyć którąś z pszczoł samotnic, budujących gniazdo. Niektóre robią to w dziurce po gwoździu albo śrubce. A my przywykliśmy, że jak pszczoły, to w ulu.

I, jak pszczoły, to dużo pszczoł.

A tak naprawdę dzikie pszczoły, które żyją samotnie, potrzebują wszelkiego rodzaju dziur, szczelin, szpar, które znajdują w miastach. Podobnie ptaki, płazy i wiele stawonogów. Część zwierząt wręcz ucieka z terenów wiejskich, gdzie gospodarka jest bardzo intensywna, a miedze znikają na rzecz obszernych monokultur. Zadrzewienia śródpolne padają pod siekierą, podobnie jak aleje drzew. Dla części zwierząt miasto okazuje się dzisiaj schronieniem.

Ale pamiętajmy, że zwierzęta są tu również dlatego, że miasta się tak rozrastają. Spójrzmy na nowe osiedla deweloperskie. U was w Trójmieście to np. Kosakowo pod Gdynią.

Albo Banino pod Gdańskiem, wieś pełna „ludzkich kurników”.

No właśnie, to drogie w obsłudze maikiety Lego, wchłaniające czyjeś terytoria łęgowe albo łowieckie. Nam się wydaje, że zbłąkany lis przebiegł naszą drogę na osiedlu, tymczasem sami wybudowaliśmy drogę, która przebiega przez stary lisi szlak.

Potrzebujemy domków jednorodzinnych, ogródków. Najlepiej w terenie niezabudowanym, daleko od wszystkich. Przecież to powrót do natury!

Nie ma już czegoś takiego jak „łono natury”. Myśmy tam już wszystko wielokrotnie przeorali, wycieli, posadzili, zmienili i zniszczyli. Ten stary podział na kulturę i naturę jest już niebezpieczny, ponieważ zakłada istnienie jakiejś nieskażonej natury, gdzieś tam daleko, daleko. To tylko mit. Natura (i przyroda) są tuż obok nas. Dopiero zdając sobie z tego sprawę, możemy pojąć, czym ona jest,

Lupa nie służy
do powiększania tego,
co oglądamy,
**tylko do pomniejszania
oglądającego.**

Piętnaście minut
obserwacji kory sędziwego
drzewa potrafi zmienić
perspektywę,
z jaką patrzy się na świat.

i żyć tak, żeby jej nie szkodzić, tylko sprzyjać i jeszcze mieć z tego osobiste korzyści, nie tylko materialne.

Skąd myślenie, że natura jest gdzieś tam, daleko?

Bo jesteśmy mieszcuchami. Antynomią miasta zawsze była wieś, las, bagno, widoczek, krajobraz-sielanka. Trzeba zasypywać te podziały, temu służą moje książki i biodróże, gdzie niezwykle istotnym narzędziem jest... lupa. Ona nie służy do powiększania tego, co oglądamy, tylko do pomniejszania oglądającego. Piętnaście minut obserwacji przez lupę kory sędziwego drzewa potrafi zmienić perspektywę, z jaką patrzy się na świat. Zdajesz sobie sprawę z sąsiedztwa, z tego, że pustka jest złudzeniem, a bezruch pozorem, bo wokół nas jest bardzo dużo stworzeń o różnych formach i kolorach, osobistych – godnych uwagi – interesach, podających swoimi szlakami, zbierających pokarm. Trudno to zauważyć gołym okiem.

Liczne to sąsiedztwo.

Nieświadomość tego sprawia, że bardzo łatwo urzędnicy wydają decyzje, które pozwalają ścinać aleje drzew, skosić trawę albo prowadzić remont w sezonie łęgowym. Nie zdajemy sobie sprawy, że dla wielu ptaków i owadów bloki, w których mieszkamy, są substytutem skały, pełnym dziur, szczelin, otworów i szpar. Tylko z pozoru są puste. Zamalowujemy pisklęta, jaja, larwy czy poczwarki, zamieniamy nasze bloki mieszkalne w grobowce. Dorosłe jerzyki na-

wet po roku doskonale lokalizują miejsca, w których udało im się wychować młode, i kiedy po powrocie napotykają zaklajstrowaną dziurę, z rozpędu uderzają w nią. Słychać to nawet w naszych mieszkaniach.

To kiedy mamy remontować bloki?

Róbmy to po wizycie ornitologa albo nawet po sezonie łęgowym, bez zabijania, łamania prawa. Gdy minie czas łęgu, dziurę można zaklajstrować i powiesić budki kompensacyjne. Odpowiednie dla wróbli, inne dla nietoperzy, są też takie dla jerzyków. Można je zamontować z dala od parapetów czy szymb.

Natura jest dla nas fajniejsza, jak jest gdzieś dalej?

Najlepiej egzotyczna i kolorowa, tęgo opłacona, bo wtedy jej wartość rośnie. Staje się elitarna. I bez ryzyka, że nam narobi na samochód.

Jerzyk za oknem nie jest tak atrakcyjny.

Moje biodróże zaczynam często w miejscu, gdzie mieszkają ich uczestnicy. Znaczna część tych ludzi po spotkaniu zupełnie inaczej patrzy na trawniki i parki, które przecież już znali od tylu lat. Ale czują się, jakby dopiero co tu przyjechali. Okazuje się, że drzewo ma historię, którą da się prześledzić w jego budowie, a dziupla gości dziesiątki mieszkańców. Można podnieść kamień, bo to ważna przestrzeń w krajobrazie miasta, jest tam dużo wilgoci, ziemia tak szybko nie paruje, jest więc życie. Można zobaczyć gniazdo nornika, są pierścienice, wije, skorupiaki, czyli stonogi i prosionki, kulanki i skulice.

To nie jest ingerencja w ich życie?

Moim zdaniem mamy prawo uchylić ten kamień, podnieść fragment starej kłody, żeby pokazać ludziom, że nie są tu sami. Pozornie ciekawskie podglądanie ma często wymiar istotnego spotkania. Ludzie w takich momentach przeklinają ze zdziwienia albo z zachwytu, inni wzywają Jezusa czy Matkę Boską. Spotkanie z ciężarną jaszczurką urasta czasem do jakiegoś osobistego kontaktu, który zmienia postawę człowieka, dzieje się z nimi coś dobrego. Skoro widzieli, jak muchołówka szara karmi młode, a wcześniej pół dnia haruje zbierając



Michał Książek z grupą dzieci w czasie biodroży na dawnym wybiegu dla niedźwiedzi przy Parku Praskim w Warszawie. Czerwiec 2023 r.

pokarm, to nie pozwolą ściąć drzewa, na którym gniazduje. Wydaje mi się, że przechodzi na nich odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo.

To jak poznawanie ludzi z innych kultur.

Zawsze dziwiłem się, jak można olewać to, dokąd idzie chrząszcz. Gdy widzę dzięcioła z pokarmem, idę za nim, bo on gdzieś ten pokarm niesie. W książce podążam też za sikorą, która ma swoją dziuplę w betonowym słupie. Idę za nimi, żeby zobaczyć, gdzie jest ich dom, jak wykombinowany, czy jest bezpieczny. Bywa, że jest w skrzynce na listy albo w starej kratce pod parapetem.

Jakim środowiskiem dla zwierząt jest miasto?

Można by długo dywagować, sięgając do fizyki i biologii, jak widzą je owady, ptaki albo ssaki. Ale na pewno, oprócz źródeł pokarmu, dostrzegają szpary, dziury i szczeliny. Miasto jest dla nich rodzajem rafy koralowej czy skał. Wielką spółdzielnią mieszkaniową.

Korzystają z sąsiedztwa człowieka?

„Atlas dziur i szczelin” często dzieje się w parku Świętokrzyskim położonym za Pałacem Kultury. Regularnie odbywają się tam głośne imprezy, a tuż nad głowami rozkrzyczanych pijanych ludzi sikora karmi młode. Ptaki te korzystają na

tłumnej obecności ludzi. Nie muszą obawiać się krogulca czy kuny.

Kiedy tak opowiadasz, w mojej głowie aż bucha przyroda, tymczasem za oknem wszystko jest pod linijkę.

Kiedy dzieci w szkole mają narysować rzekę, rysują ją prosto, a to przecież kanał melioracyjny, nie rzeka. Linia prosta wydaje się znakiem pożytecznej zmiany, remontu, naprawy, przebudowy, porządku. Podoba nam się, jak coś jest takie ułożone, uporządkowane, mówimy wtedy, że jest ładnie, że otacza nas ład. Z tym jest utożsamiane piękno w języku polskim, z porządkiem. Polszczyzna ma też dobre łacińskie słowo „kurwa”, czyli krzywa. Ja wolę krzywą, czyli kurwę, niż prostą.

Gdyby wszyscy je tak rozumieli! Cały czas dostaję złośliwe komentarze i ponaglenia, bo moja działka w Borach Tucholskich nie jest koszona, więc nie jest ładna. Skąd pomysł, że ładnie znaczy uporządkowanie?

Jestem ze wsi, więc rozpoznaję w tym m.in. dziedzictwo kultury chłopskiej, ludowej, z postacią dobrego pracownitego gospodarza w centrum, ale ono jest niebezpieczne w czasie, kiedy trzeba podjąć działania wobec zmian klimatu. Chcemy być dobrymi gospodarzami, za tym stoją pewnie dobre intencje. Bardzo trudno powstrzymać się nam od działań. Człowiekowi w ogóle trudno jest nic nie robić, bo często konstruuje z tego sens bycia tutaj. Bardzo ciężko nam coś zostawić samemu sobie, mimo że umiar jest zakodowany w kulturze chrześcijańskiej – siódmy dzień tygodnia, post. Katolicy mają św. Franciszka, jest więc pewne dziedzictwo, z którego można by uczyć się wstrzeмиęliwości. Nikt po nie jednak nie sięga. Katastrofa klimatyczna jest kryzysem wyobraźni, ale jest też kryzysem chrześcijaństwa.

Nie ma więc w mieście miejsca na samosiejkę lub grzyby?

Boimy się grzybów, ale to grzyby robią dziuple w drzewach. Drzewa doskonałe z nimi żyją, to miliony lat bycia razem. Grzyby sprawiają, że bioróżnorodność może funkcjonować. Czy to ma wartość dla urzędników? Nie wiem, dla mnie ma wartość autoteliczną, samą w sobie. →

→ W czasie różnych interwencji zazwyczaj opowiadałam o korzyściach materialnych dla *Homo sapiens*, bo to naprawdę przemawia. Na przykład: z badań wiemy, że tam, gdzie bioróżnorodność jest duża, trudniej o alergię. Jeśli chcemy być zdrowi, mieć estetyczną satysfakcję z fenomenów przyrodniczych, musimy mieć dużo organicznej przestrzeni wokół nas. Nie możemy na przykład wszędzie kompulsywnie zakrywać gleby betonem. Pytałaś o grzyby, a kolejnym strachem człowieka jest odkryta gleba. Kojarzy się z brudem, utożsamia z niegospodarnością.

Aż się prosi o położenie kostki w takim miejscu.

Chcemy zasady panujące w naszych domach przenieść na zewnątrz. Podłoga ma lśnić. Pomyliło nam się wewnętrzne z zewnętrznym. Gdy idzie się Piotrkowską w Łodzi czy placem Pięciu Rogów w Warszawie albo placem Litewskim w Lublinie, można mieć wrażenie, jakby się szło po zamkniętym pomieszczeniu. Nie ma drzew, są lampy, z których zwisają pelargonie. Mamy już nawet meble uliczne, czuć zapach płynu do mycia podłóg, obok pracuje wielki mechaniczny mop. To droga donikąd.

Nie da się wymyć miasta?

Nie da się go zdezynfekować. Nie należy zakrywać gleby jak brudu. Ale urzędnicy jeszcze bardziej od gleby boją się wody, bo nie daj Boże spenetruje im jakiś trawnik. Ten błyskawiczny spływ liniowy – pozbywanie się wody na coraz większej powierzchni nieprzepuszczalnej miast – powoduje, że rośliny i drzewa wysychają. W niektórych miastach dotyka to nawet 80 proc. rocznych nasadzeń. Ludzie wierzą, że drzewa sięgają wód głębinowych albo grunto- wych. Tymczasem najczęściej dzieje się tu na głębokości zaledwie 30 centyme-



ANDRZEJ SIDOR / ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ KSIĄŻEK jest inżynierem leśnikiem i ornitologiem, reporterem i poetą. Laureat Nagrody Literackiej Gdynia (2016), Nagrody Magellana (2016) oraz Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius (2015). Autor reportaży „Jakuck. Słownik miejsca” (2013), „Droga 816” (2015) oraz tomików poetyckich „Nauka o ptakach” (2014) i „Północny wschód” (2017). Wiele razy sądzony za obronę Puszczy Białowieskiej. Właśnie ukazała się jego książka „Atlas dziur i szczelin” (Znak).

trów. Dzięki wodzie śniegowej i deszczowej drzewa budowały swoje wysokie architektury. Robiły to w czasach, gdy było dużo śniegu, kiedy ta 30-centymetrowa warstwa była powoli nawadniana i długo pozostawała nawodniona. Teraz śniegu jest niewiele, deszcze padają punktowo i nawalnie. Drzewa muszą sobie z tym radzić. Niektóre obniżają koronę, usycha im wierzchołek, a liście przenoszą się niżej. Dla niektórych decydentów to już jest powód do wycinki, a przecież wystarczy skrócić wierzchołek.

Mówiłeś o czystych „podłogach” w miastach, co często wiąże się z rewitalizacją, ale w Polsce oznacza to coś innego, rzadko kiedy to „ożywienie”.

Rewitalizacja jest zgrabnym narzędziem, które pozwala urzędnikom realizować absurdalne pomysły i niszczyć przyrodę – wycinać drzewa, zabijać zwierzęta, w zamian za to kłaść asfalt i kostkę, stawiać kolejne meble uliczne. Rewitalizacja często występuje wraz z remontem, chodzi o to, żeby *Homo sapiens* mógł dalej dojść, żeby było go więcej, żeby zmieściły się samochody i grille. Ale to powoduje dyskomfort wielu z nas, bo człowiek nie lubi nagłych zmian w krajobrazie, i to takich, które potęgują odczuwanie wichury, nawałnych deszczy i upałów.

I co robić wtedy?

Ja działam społecznie, piszę, zabieram głos, protestuję przeciw głupim pomysłom urzędników. Ale tym, którzy nie chcą bądź nie mogą, polecam... kupić sobie lupkę i udać się do pobliskiego parku. Najlepiej dzień po tym, jak padało. Wystarczy zabrać ze sobą karimatę, usiąść, wybrać sędziwe drzewo, które ma dużo porostów, i spokojnie, długo je obserwować. Widać tam drugie miastożycie, a to uspokaja, koí, zmienia...

Zamilkłeś na chwilę.

Powstrzymuję się przed patetycznymi wyznania- mi. Ale jeśli pojawia się więz pomiędzy przyrodą a człowiekiem, pojawi się jakaś „filia”, to... Boję się słowa „miłość”, ale to rzeczywiście jest jak kochanie. No więc jeśli się pojawia, jeśli dostrzegasz kogoś z nich, zaczynasz się o kogoś z nich martwić, jeśli ci zaczyna zależeć, to wciąż jest nadzieja. Wolę to pokazywać ludziom, niż biczować ich śladem węglowym.

© Rozmawiała JOANNA WIŚNIEWSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Serwisy specjalne: patrz szerzej

KRYZYS KLIMATYCZNY

Jak zatrzymać katastrofę

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KRYZYS-KLIMATYCZNY



TOMASZ

Stawiszyński: Ikar i Titan



INSPIRACJA, INNOWACJA, KREATYWNOŚĆ, wychodzenie poza utarte schematy, opuszczanie strefy komfortu, gotowość do ryzyka, stawianie na młodość, odrzucanie konserwatywnych uprzedzeń...

To wcale nie jest lista zagadnień omawianych podczas jakiegoś intensywnego weekendowego szkolenia z dziedziny technik rozwoju osobistego. Nie jest to także zestaw celów przygotowany dla klienta przez jednego z niezwykle dziś popularnych „coachów kariery”. I nie jest to spis treści dowolnie wybranego poradnika z cyklu „jak spełnić marzenia i jeszcze na tym zarobić”. Nie jest to nic z tych rzeczy, niemniej – mogłoby być. Czy też raczej należałoby powiedzieć: owszem, jest to każda z tych rzeczy, ale nie tylko.

Jest to bowiem również ekstrakt z wypowiedzi nieśczęsnego Stocktona Rusha, założyciela firmy OceanGate, budowniczego łodzi Titan, za której sterami osobiście siedział owego feralnego dnia, kiedy to potężne podwodne ciśnienie doprowadziło do implozji. Od wielu lat systematycznie nagabywany o kwestie bezpieczeństwa, słownie i listownie upominany przez ekspertów od badania oceanicznych głębi, Rush do ostatniej chwili pozostawał bezwzględnie przekonany o słuszności własnej wizji, której skala – jak podkreślał – nie mieściła się w żadnych przyjętych w branży standardach. Owładnięty poczuciem dziejowej misji – człowieka, który raz na zawsze odmieni oblicze podmorskiej żeglugi – zapamiętałe konstruował swoją przeklętą (jak się potem okazało) kapsułę, nie zwracając uwagi na ostrzeżenia. A w licznych wypowiedziach udzielanych mediom – *emploi* błyskotliwego i zbuntowanego innowatora świetnie się sprzedaje, wiadomo – perorował z uśmiechem, że „kto nie chce ryzykować, nie powinien wychodzić z domu”. I że nie zamierza zatrudniać „pięćdziesięcioletnich białych mężczyzn” – czyli byłych wojskowych, którzy z racji doświadczenia i posiadanych kompetencji znajdują się na tych sprawach i dlatego w innych firmach są cenionymi pracownikami – ponieważ stanowią naturalną zaporę dla przepływu twórczej energii. Istotnie, „pięćdziesięcioletni biali mężczyźni” – acz przecież nie tylko oni – wielokrotnie i wprost twierdzili, że OceanGate naraża swoich klientów na śmiertelne zagrożenie i prędzej czy później doprowadzi do wielkiej tragedii.

Cóż, nieśczęsny Stockton Rush – *primo voto* inżynier lotnictwa, który ongiś własnoręcznie zbudował sobie samolot, później zaś zafascynował się eksploracją przestrzeni w przeciwnym zgoła kierunku – był w tym sensie człowie-

kiem na wskroś nowoczesnym. Można by wręcz powiedzieć – a słychać to wyraźnie w jego energetycznej retoryce, w jego kuszącej obietnicy omijania arbitralnie ponoć ustanowionych obostrzeń, pochvale młodości i potępieniu „dziadertwa”, słowem: w całej tej narcystycznej iluzji braku jakichkolwiek ograniczeń – że był nieodrodną emanacją współczesnego świata. Dokładniej: kultury, w której te wartości stawiane są na piedestale, czczone i traktowane bezalternatywnie jako jedyna dopuszczalna ścieżka kariery, a zatem jako jedyna dopuszczalna ścieżka życia (bo przecież życie i kariera to obecnie tylko nieznacznie różniące się od siebie zakresem znaczeniowym terminy). Kultury wreszcie, która (z prawa i lewa) porzuca dziś fundamentalne dla liberalnego uniwersalizmu poczucie bazowej wspólnoty i podobieństwa wszystkich ludzi na rzecz nowych tożsamościowych plemienności, nierzadko skrywanych pod kostiumem emancypacji.

To prawda, ale – znowu – nie tylko. Ta popularna wiązka sloganów i fantazji przenikających nieśczęsnego Stocktona Rusha, która finalnie zaprowadziła go – niestety w towarzystwie czterech innych osób – w niewyobrażalnie ciemne i zimne miejsce, jest nam przecież doskonale znana od zarania dziejów. A w każdym razie od zarania dziejów Zachodu, czyli od starożytnych Greków, którzy, jak wiadomo, rozpoznali i opisali głęboką matrycę losu, archetypową siatkę form, w jakich zawsze i wszędzie przejawia się to, co istnieje. Bo czy nieśczęsny Stockton Rush nie przypomina jednego z najbardziej charakterystycznych mitycznych bohaterów, któremu wprawdzie nie poświęca się w poszczególnych wydaniach tej czy innej „Mitologii” zbyt wiele miejsca, ale którego historia trwale zapada nam w pamięć, skoro tylko o niej pierwszy raz przeczytamy? Chodzi oczywiście o Ikarą, człowieka bez wątpienia nieoglądającego się na smętne narzekania i ostrzeżenia „pięćdziesięcioletnich białych mężczyzn”, przekonanego, że nie dotyczą go wcale żadne konwencjonalne restrykcje, nie obowiązują nieubłagane prawa rządzące materią (stanowiącą jednak odwieczną barierę dla nieskończonych aspiracji ducha). Czy zatem nie z tym właśnie ikaryjskim impulsem – fantazją skrzydlatego chłopca pewnego, że oto zdolny jest przekroczyć nieprzekraczalne i nic go w tym nie powstrzyma – mamy do czynienia w strasznej historii batyskafu Titan?

Oczywiście, nieśczęsny Stockton Rush jest jakby Ikarą *à rebours*. Magnetycznie przyciąga go nie tyle świetlisty blask i ciepło słońca, ile nieprzejrzysta, zimna, dziwaczna głębia oceanu, która ostatecznie – podobnie jak to było z Ikarą – na zawsze go pochłania. Ale przecież on też najpierw wzlatuje – w swoich pragnieniach i marzeniach – a dopiero potem, jak Ikar, zapada się w toń.

Z tą tylko różnicą, że ten drugi zniknął w niej sam, ten pierwszy natomiast pociągnął za sobą innych. Nie da się ukryć – energia i absolutna pewność siebie takich skrzydlatych chłopców (i dziewcząt) mają potężną moc. I proporcjonalnie do niej tragiczne skutki. ©

JESTEM WŚCIEKŁA

Historia opowiadana przez autorkę książki „Nie umarłam” to opowieść o paradoksie wspólnoty, która daje sens i jednocześnie jest miejscem doznawania krzywdy. A także o marzeniu.

ZUZANNA RADZIK

NAPISAŁAŚ TĘ KSIĄŻKĘ DLA NAS CZY DLA siebie? – pytam Tośkę Szewczyk, autorkę książki „Nie umarłam”, bo właściwie nie wiem, jak zacząć. Tośka to pseudonim, autorka chce pozostać anonimowa, prosi czytelników, by jej nie szukać, nie domyślać się. Zbyt wiele wycierpiała. Zgadza się jednak na rozmowę z „Tygodnikiem”.

– A muszę wybrać jednego adresata? Pisałam i dla siebie, i dla innych – odpowiada spokojnie. – Pisanie jest dla mnie terapeutyczne, układa mi w głowie. Pisałam też ze względu na Pana Boga i Ewangelię, ze względu na ludzi, którzy mogą potrzebować usłyszeć Ewangelię w podobnych doświadczeniach. Zbigniew Nossowski namówił mnie, żebym napisała jeszcze kalendarium procesu i list do biskupów, i okazało się, że piszę to też, żeby wyrazić swoją złość w stosunku do całej struktury.

Dwanaście scen

„Nie umarłam” opowiada o molestowaniu, które rozpoczyna się, gdy autorka jest w gimnazjum. Sprawcą jest trzy-

dziestokilkuletni ksiądz X, charyzmatyczny duszpasterz wspólnoty w jej parafii. O tamtej historii autorka opowiada w 12 obrazach, migawkach, scenach. Prowadzi nad nią, powie nam tyle, ile chce. Mam wrażenie, że tyle, byśmy wiedzieli, co się stało, ale byli w stanie to unieść. Jest w tych scenach pierwszy esemes z miłym wyznaniem, pierwszy pocałunek, osaczenie, wspólnota, której członkowie nie widzą, ksiądz zza ściany, który nie słyszy, choć mógłby.

Ta trudna opowieść pisana jest ze swadą, pewnie pozwalającą autorce trzymać odpowiedni dystans wobec tego, co opisuje. Historia molestowania, które kończy się, gdy bohaterka wyjeżdża na studia, to tylko początek tej opowieści. Potem słyszymy, jak mocuje się ze sobą i z Kościołem, o zaangażowaniu we wspólnotę i gniewnym zmaganiu z jej systemem.

Tośka pisze o dwóch dziewczynach, które się w niej zmagają: „Ta niegrzeczna od początku mówiła, że dzieje mi się krzywda. Krzyczała, że ten człowiek robi źle. Że jest zły. Ta miła mówiła wtedy,

że nie może dziać się nic strasznego, bo przecież jest księdzem. Przedstawicielem Boga tu, na ziemi. (...) Ostatnio klóć się o to, czy Kościół jest moim domem, czy nie. O to, czy ten dom jest bezpieczny, czy patologiczny. (...) Zdarzyło się też kilkakrotnie po spowiedzi, że miałam w sobie ten sam konflikt. Nie byłam pewna, co stało się przed chwilą. Czy Jezus odpuszczył mi grzechy? Czy ksiądz mnie upokorzył? Czy mogłam temu księdzu zwrócić uwagę? Czy skoro reprezentuje tam Chrystusa, to powinienem siedzieć cicho i chociaż na spowiedzi nie grzeszyć brakiem pokory?”

Poznajemy przebieg zgłoszenia i procesu kanonicznego, który zamiast zblizniać, otwiera rany i tworzy nowe. Książkę zaś kończy sześć listów: do sprawcy, do Boga Ojca, do skrzywdzonej, do skrzywdzonego, do księdza zza ściany, do biskupów, delegatów i pracowników sądów, do członków wspólnot. Nieduża rzecz, ale potężna opowieść o krzywdzie, o odbudowywaniu siebie, sile czerpanej z Ewangelii i zmaganiu o inny Kościół. Czyta się szybko, w pewnym oszołomieniu mocą





MARK LENNIHAN / AP / EAST NEWS

opowieści autorki, tym, jak odbudowuje siebie, ale wciąż jest krucha. Tym, jak znajduje siłę w Bogu i w Kościele, choć i z jednym, i z drugim się boksuje. Wyobrażam sobie performatywne czytanie tej książki na posiedzeniu episkopatu, bo to jest bardzo mocny głos nieumarłej do ludzi Kościoła.

Złość

Czemu zaczęła pisać? Sprowokował ją wpis prof. Aleksandra Bańki, świeckiego zaangażowanego w ruch synodalny, który mówił, że Ewangelia jest obezwładniana przez grzech Kościoła i że na każde słowo Dobrej Nowiny tak naprawdę można pokazać twarz osoby skrzywdzonej. – Pomyślałam, że moja historia, moja rana może być jakoś błogosławiona – tłumaczy. – Doświadczyłam w Kościele i jednego, i drugiego: skrzywdzenia i Ewangelii. To mi daje możliwość zabrania głosu z zupełnie niezwyklej pozycji i mówienia o dobrym Bogu nawet w perspektywie takiej krzywdy.

Paradoks wspólnoty, która daje sens i jest miejscem doznania krzywdy, to

główna oś tej książki. Gdy zaczynała pisać, myślała, że zgłoszenie krzywdy w diecezji pójdzie gładko. – Wtedy kontakt z delegatem był dobry. To znaczy w ogóle był – prostuje. – Wydawało się, że to jest na dobrej drodze.

Delegat przestaje odbierać, biskup nie czuje się za to odpowiedzialny. W umieszczonym pod koniec książki liście do biskupów, delegatów i pracowników sądów Tośka pisze, dławiąc złość: „Łatwiej było mi pisać list do sprawcy niż do Was. Jestem wściekła – jak dziecko zwierzę zapędzone w kąt przez myśliwych, pełna złości, gotowa do walki. Mimo że to Wy mnie tam zagoniliście, i tak jesteście przekonani, że awanturuję się niepotrzebnie i bez powodu. Przecież wszystko przebiega zgodnie z prawem. Tak mnie tym swoim prawem rąbnęliście w twarz, że prawie skoczyłam z dachu”.

Wcale nie żartuje. Mówi, że pisanie o procesie kanonicznym było trudniejsze niż opowieść o krzywdzie: – Tamto mam jakoś poukładane – wyjaśnia. – Natomiast o wiele bardziej i somatycznie prze-

żyłam pisanie, opisywanie procesu kanonicznego, które dzieje się tu i teraz i re-traumatyzuje. To jest ciągle to samo doświadczenie, że ktoś mnie używa. Wtedy, żeby spełnić swoje potrzeby seksualne. Teraz, żeby zrobić porządek na swoim podwórku, może trochę, żeby zadbać o swój własny wizerunek. Bo można się pochwalić tym, jak się dba o skrzywdzonych. Nie jestem podmiotem, a przecież powinnam być podmiotowo traktowana.

Zarówno w książce, jak i w rozmowie przyznaje, że ma w sobie wiele złości. Pytam zatem, czy może mnie oprowadzić po swojej złości.

– Trochę tego będzie – śmieje się Tośka, a potem zaczyna wyliczać: – Złoszczę się w każdej sytuacji, w której mówi się o nas, a nie do nas. Mam na myśli skrzywdzonych, ale to samo mogłabym powiedzieć o nas, kobietach. Pamiętam, jak mi się odpaliła złość w momencie afery z Janem Pawłem II. Miałam ogromny żal o to, że we wszystkich komunikatach biskupów jest informacja o ahistoryczności, atakach na świętość, na dziedzictwo, o tym, że są teraz tacy, którzy atakują. Ponieważ nie



→ było ani słowa o ofiarach, to ofiary zostały włożone do tego samego worka z innymi atakującymi. W tym samym piśmie mówiono, że Kościół opiekuje się osobami skrzywdzonymi. Jeżeli Kościół opiekuje się osobami skrzywdzonymi, to czy biskupi, zanim usiedli do pisania obrony papieża, wysłali esemesy do skrzywdzonych? Z każdym takim materiałem we mnie, i pewnie w wielu z nas, odnawia się jakaś rana. Im świeższe są rany, tym większa jest szansa, że ktoś z nas sobie coś zrobi. Który biskup to sprawdził? Mój biskup diecezjalny ma do mnie numer.

Granice

– Teraz już mi się złość odpala bardzo często, może nawet za często – przyznaje i opowiada o bzdurach, które słyszy na kazaniu. Czyta mi wynotowane cytaty, jeden głupszy od drugiego. Na przykład: „Bracia i siostry, istnieje bowiem przepowiednia, według której jeśli Polacy będą spełniać Boże przykazania, staniemy się w końcu bogatym krajem. Według tej przepowiedni na świecie pozostanie wówczas już tylko Polska i Turcja. Żyjmy więc przykazaniami”.

– To jest kazanie? – nie dowierzam.

– To jest kazanie sprzed dwóch tygodni – wyjaśnia Tośka. – Natomiast wczoraj, ale już w innym kościele, było takie: „Kościół dzisiaj jest tak samo mały jak wtedy w Wieczerniku. Wszyscy mówią, że ma władzę polityczną w naszym kraju. To bzdura. To Żydzi i ci spod tęczowej flagi mają władzę. Jak złapiesz Żyda-złodzieja, to nie możesz powiedzieć, że to złodziej, bo będziesz antysemitą. Jak nazwiesz po imieniu zło tych tęczowych, to od razu mówią, że mowa nienawiści. Jakie finanse ma Kościół? Biskupi nie mają majątku. Nawet Radio Maryja nie ma majątku. To koncerny farmaceutyczne, które nas rzekomo leczyły szczepionkami w pandemii. Drobili się i teraz rządzą. Kościół jest malutki”.

No, tu jest wszystko. Śmiejemy się, poważniejemy.

– Wtedy wstaje i wychodzę, środkiem kościoła – dodaje Tośka. – To dramat, że kapłani tak często mają poczucie, że mają prawo wyjść na ambonę nieprzygotowani i powiedzieć nam cokolwiek. Złości się, że nie reagujemy. Ten człowiek ma pewną odpowiedzialność w stosunku do Pana Boga i ze względu na funkcję, którą ma w Kościele. Niech się z niej wywiąże!



Gdy dopytywała, co się dzieje w jej sprawie, przestano odbierać od niej telefony.

Ma wrażenie, że zastrzeżenia są postrzegane w Kościele jak atak.

Głoszenie dobrego Boga leży jej na sercu. O niedbalstwie spowiadających duszpasterzy, przekraczaniu kompetencji rozmawiamy dłuższą chwilę. W tym, co mówi, jest nie tylko złość, przede wszystkim żal i troska o zmarnowaną szansę ewangelizacji. Byłabyś niszcząca zaufanie, bo jak ufać, gdy w małych sprawach nie możesz na kimś polegać. Napisano, że spowiedź jest kwadrans przed mszą, a przez dwa tygodnie przed mszą konfesjonały są puste. Spowiedź zresztą to osobny temat i delikatna przestrzeń.

– Idę do spowiedzi, mówię o czymś totalnie innym – relacjonuje – a ksiądz do mnie z pytaniem, czy modłę się o dobrego męża. Mówię, że nie. Samo to pytanie to już przekroczenie kompetencji. Ale on ci cisnął i cisnął, więc w końcu mu powiedziałam, że nie zamierzam wychodzić za mąż ze względu na swoje doświadczenie. Jakie doświadczenie? No to powiedziałam, ale bez szczegółów. Gość ciśnie dalej. Więc powiedziałam, że to był ksiądz katolicki. Na co on mnie pyta, czy się z tego wyświadałam! Dobrze, że byłam wtedy już po dziewięciu latach terapii i byłam w stanie mu odpowiedzieć, że to ten ksiądz się powinien wyświadać, a nie ja. I nie chcę więcej o tym rozmawiać. Postawiłam granicę, natomiast trudne jest stawianie granicy, kiedy klęczysz przed człowiekiem, od którego zależy, czy dostaniesz rozgrzeszenie.

Tu i tam w książce można wyczuć, że w historii krzywdy, ale też innych rela-

cji z instytucją autorka dostrzega, że fakt, iż jest kobietą, ma w różnych sytuacjach znaczenie. Wspomina mizoginię księdza X, powielającego to, co słyszał od innego duszpasterza i promieniującego nią na chłopców ze wspólnoty. Kryguje się, że ktoś to jeszcze nazwie katolickim feminizmem. Zagaduje, jak z tym jej feminizmem jest.

– To się dopiero problematyzuje – przyznaje. – Może zacznę od przykładu, który pokazuje, jak głęboki zaczyna być mój wnerw. Moja przyjaciółka wychodząc ostatnio z kościoła dostała ulotkę od faceta, który rozdawał je za wiedzą księdza. W ulotce mowa, że spodnie są strojem niegodnym dla kobiety chrześcijańskiej, bo uwydatniają krocze. Wyobrażasz sobie? Myśląc o tym wszystkim jestem zdesperowana i czuję, że akurat ta złość jest jak uśpiony wulkan, jeszcze się nie werbalizuje. Szukam słów.

To jednak nie wszystko. Bo jest też praktyczny wymiar, związany z kontaktami z instytucją.

– Zastanawiałam się, co by było, gdyby choć jedna kobieta stanęła na mojej drodze w czasie procesu kanonicznego. Wiem, że już są w niektórych diecezjach delegatki, ale z tego, co rozumiem, procedur żadna kobieta nie układała ani nie rewidowała. Nie chodzi o to, że kobiecie oko byłoby bardziej troskliwe. Po prostu przydałoby się, gdyby patrzono na procedury z różnych perspektyw.

Przy okazji zauważa, że w Kościele brakuje ewaluacji. Jakiegokolwiek ewaluacji. Gdyby procedury mające pomagać skrzywdzonym zostały poddane krytyce, można by zapytać, czy użytkownicy byli zadowoleni. Tośka zadowolona nie jest. Gdy dopytywała, co się dzieje w jej sprawie, przestano odbierać od niej telefony. Ma wrażenie, że zastrzeżenia są postrzegane jak atak, bo nie ma jak ich zgłosić, trzeba rozkręcić sprawę, szturmować. Najlepiej w mediach, żeby ktoś zauważył. Z krytykujących robi się wtedy wrogów.

– Kurde, ja kocham Kościół! – mówi Tośka. – Nie róbcie mi z niego tego, co robicie!

Przedśionek Kościoła

To jest jedna z najmocniejszych i nieoczywistych spraw w tej książce. Skrzywdzona przez księdza wciąż praktykuje, angażuje się. Chce wrócić do domu. Nie chce być bezdomna. Trzyma się Kościoła

pazurami, mimo całej złości i tego, co trudne do zniesienia. Pytam więc: czy może mnie oprowadzić dla odmiany po swojej miłości i nadziei, które trzymają ją w Kościele?

– Skoro trzymamy się metafory oprowadzania, muszę cię oprowadzić po przedsionku. Przechodząc jest pełen świetnych ludzi, którzy z jakiegoś powodu nie pasują, zostali wypchnięci ze środka albo ich własne rany czy reguły, które panują w Kościele, nie pozwalają im wejść. W przedsionku siedzą skrzywdzeni, osoby homoseksualne, ale też dorośli w spektrum autyzmu, dla których nie ma dobrej przestrzeni. Siedzą tam osoby rozwiedzione w ponownych związkach, pewnie też katolickie feministki. Spotykam tam ludzi, którzy pomimo swoich ran kochają Jezusa. I co jest najlepsze, spotykam samego Jezusa. Jestem przekonana, że On uwielbia tam z nami siedzieć i gadać. Spotykam Go w rozmowach z ludźmi, którzy walczą o to, żeby być w Kościele. To jest dla mnie twarz Kościoła. Taki Kościół kocham. Są też ludzie, którzy nam trzymają otwarte drzwi, będąc w środku upominają się o nas, tych z przedsionka. Pozwalają nam słyszeć i pozwalają usłyszeć nasz głos. W nich też kocham Kościół, bo to odwaga stać w drzwiach, być torpedowanym i przez środek, i przez przedsionek.

Ciągnie dalej, o zwyczajnym Kościele: – Kocham Kościół w takiej małej codzienności. Panią, która w kościele, do którego chodziłam codziennie, dbała o kwiaty. To, że panie z Róży Różańcowej zaprosiły mnie, żebym z nimi pociągnęła różaniec, bo im się wykruszyła koleżanka. Wiesz, to takie babeczki po osiemdziesiątce, które dzielnie lecą z różańcem codziennie przed mszą, a ja byłam dwudziestolatka, której fryzura mogła je odstraszyć. To było tak absurdalne i tak do siebie jednocześnie pasowało. To jest mój Kościół. Kocham Kościół w tym, że mnie karmi ciałem Boga. Żadne inne miejsce, instytucja nie nakarmi mnie ciałem Boga. Nie odpuści mi grzechów. Jestem wdzięczna Kościołowi, nawet temu mojemu rodzinemu, mimo całego zła, które się tam dzieło, bo dał mi wiarę.

Marzenie

Historia Tośki nie ma radosnego końca. Piszę o tym, jak wciąż się zмага, by być w Kościele, i o to, żeby żyć. Krucha jest ta

rzeczywistość, bardzo niestabilna. To jest codzienna walka.

Przeplatają się w jej opowieści złość, nadzieja, wiara. Cytuje onieśmielająco Biblię, pokazuje, że korzysta z niej jako zasobu, który daje siłę i życie. Wtedy wydaje się, że to mocna ewangelizacyjna opowieść, ale zaraz przynajmniej, że jej pewność jest krucha. Nie udaje, że wiara czyni marsz przez życie z takim bagażem czymś lekkim.

Gdy o to pytam, odpowiada: – Trudno mi uwierzyć w zdanie, że Jezus jest moim Panem i teraz już wszystko jest w porządku. To, że Jezus jest moim Panem, zakłada, że będzie trudno, bo Jemu było trudno. Ostatecznie wszystko będzie w porządku po zmartwychwstaniu, głęboko na to czekam. Natomiast na razie...

Tu opowiada o rozwiniętej przez Annę Ostaszewską szkole psychoterapii integratywnej w podejściu chrześcijańskim, która przedstawia koncepcję człowieka jako samochodu z czterema kołami. W tym prostym schemacie każdy z nas ma cztery koła, na których jedzie: rozum, wola, emocje i sferę fizyczną. Łatwo się domyślić, że wszystko jest fajne, gdy są w miarę tego samego rozmiaru i jadą w tym samym kierunku. To jak jest z kołami u Tośki?

– U mnie w sferze wolitywnej jest podjęta decyzja. Jestem w Kościele, wierzę w Pana Boga, nigdzie się nie wybieram. Będę walczyć – mówi stanowczo. – Natomiast emocje... Tu jest wulkan. Czasami w ciągu dnia szarpie mnie w każdą stronę, i to tylko w kontekście Kościoła, a przecież mam też inne życiowe sprawy. Rozum... mam już pewien zestaw nowych przekonań, które wypracowałam. Natomiast wciąż przychodzą mi do głowy różne automatyczne myśli, z którymi muszę walczyć. Ciało... Oj, ciało bardzo reaguje. To było niesamowite. Zaczęłam pisać ten fragment książki o procesie kanonicznym oraz list do biskupów. Nie mogłam pisać sama w pokoju, musiała ze mną siedzieć przyjaciółka. Pisałam na tabletkach przeciwbólowych, plastrach przeciwbólowych na plecy i kroplach żołądkowych. Nie jadłam przez trzy dni. Wiem, co mi się dzieje, nie panikowałam. Rozumiem to. Ta sytuacja nie jest zamknięta, bo Kościół mi się ciągle przydarza. W dobrym i złym sensie. Wciąż podejmuję od nowa decyzję. Teraz wolę doświadczać bycia w Kościele w każdym z kolorów, niż skazać się

na szarość bycia poza nim. Gdybym wyszła z Kościoła teraz, byłoby to wypchnięcie. Co gorsza, wypchnięcie z domu. To ja już wolę te wszystkie emocje. Nie mówię, że każdy tak by to odczuł.

– Możesz mi powiedzieć o swoim marzeniu o Kościele?

– Marzę o Kościele wierzących świeczników i księży, w którym im większą ktoś ma odpowiedzialność, tym bardziej bierze też odpowiedzialność za swoją wiarę i rozwój duchowy – zaczyna, jakby miała to od dawna przemyślane. – Kościele dojrzałych wiernych, w którym nie będziemy się zachowywać jak dzieci chodzące po omacku, potrzebujące przewodników, tylko korzystać z godności, którą mamy z chrztu świętego. Będziemy autonomiczni duchowo w takim dobrym sensie. Nieuzależnieni.

To marzenie można samemu wcielać w życie. Tośka marzy dalej:

– Marzę o Kościele, który ma odwagę powiedzieć człowiekowi, który pieprzy, że pieprzy. I to zanim będzie za późno i powstanie kolejna sekta. Ale będzie umiał to zrobić z miłością. I w ogóle o takim Kościele, w którym nie będzie strach się nawracać. Czasem strach być grzesznikiem w Kościele.

W książce Tośka pisze, że wspólnym mianownikiem w Kościele stało się wykluczanie. I to po wszystkich stronach mapy, żeby nie nazwać tego barykadą. Każdy znajduje satysfakcję w wykluczeniu kogoś innego. I to nas najbardziej łączy. Sama przyznaje, że nie znosi „katotalibów”, więc też się na tym łapie. W końcu jednak jej marzenie jest włączające. Mówi:

– Po prostu marzę o Kościele, w którym częściej się będzie używać „i” niż „albo”. Nie jednorodnym, ale zintegrowanym. Marzę o Kościele – no to już będzie hardkor – który pójdzie szukać mojego sprawcy i mu ogłosi Ewangelię. I który go z powrotem przyprowadzi do wspólnoty. Bo to nie sztuka wykluczyć człowieka ze wspólnoty. Skazać na wieczne potępienie. Nie tego Chrystus uczył i nie za to umarł.

© ZUZANNA RADZIK



Tośka Szewczyk

NIE UMARŁAM. OD KRZYWDY DO WOLNOŚCI

Biblioteka „Więzi”,

Warszawa 2023

Polityczny wirus

MARCIN CHODUŃ

Polityka i religia w Polsce nadal się przenikają, choć nie powinny – uważają członkowie Kongresu Katoliczek i Katolików. Stąd kampania społeczna, która ma to zmienić.

KOŚCIÓŁ PW. BŁ. RADZYMA GAUDEN-
tego w Gnieźnie. W niedzielę 18 czerwca Eucharystię sprawuje proboszcz, ks. dr Andrzej Szczęśny. Według parafianki Klaudii Świąćickiej, transkobiety, w czasie homilii kapłan ciągle wracał do „szykanowania” i „obgadywania księży” – oczywiście w kontekście przestępstw popełnianych przez duchownych, czyli molestowania seksualnego i pedofilii. Wymienił też z lekceważeniem jedną z prywatnych stacji telewizyjnych.

– Tego już nie wytrzymałam – opowiada Klaudia Świąćicka. – Wysłałam z kościoła, ale jakiś impuls kazał mi wrócić do środka. Stałam w alejce między ławkami i przerwałam homilię. Powiedziałam podniesionym głosem, żeby było mnie słychać: „Proszę, aby ksiądz tłumaczył czytania i głosił kerygmat, a nie nawiązywał do polityki. I nie próbował chronić przestępców kosztem ofiar. To jest moje siostrzane upomnienie”.

Z tego, co mówi Klaudia Świąćicka, wynika, że wierni zachowali się w większości biernie. – Z wyjątkiem starszego pana, który zbliżył się do mnie i zaczął wołać: „Zamknij się! Wypieprzaj z Kościoła!”. Gdy zwróciłam mu uwagę, że nie jesteśmy na ty i jako parafianka mam prawo tu być, mężczyzna wyskoczył jak młodzian i zamierzył się ponad moją głowę kulą, którą miał w ręku. I zaczął mnie szarpać.

Nowy modus vivendi

Wedle członków założonego w 2021 r. Kongresu Katoliczek i Katolików zdarze-

nie w gnieźnieńskim kościele to nie przypadek: obrazuje ono rzeczywiste relacje Kościoła i państwa jako instytucji. W Polsce bowiem nadal zamazywane są granice autonomii władzy świeckiej i duchowej. Żeby zmienić ten stan rzeczy, członkowie Kongresu uruchomili właśnie kampanię społeczną „Kościół wolny od polityki”.

– Po 1989 r., czyli od chwili, gdy Polska stara się zorganizować sferę publiczną zgodnie z regułami demokracji, Kościół zupełnie nie odnalazł swojego miejsca w dyskursie społecznym – uważa dominikanin o. Paweł Gużyński, jeden z założycieli Kongresu. – Nadal stara się być opiekunem wszystkich, w tym państwa jako instytucji. I jeśli państwo w jego opinii przekracza pewne granice, wówczas Kościół natychmiast wkracza i stara się to skorygować zgodnie ze swoimi przekonaniami.

Kampania Kongresu to praktyczna realizacja wniosków wynikających z „Raportu o stanie relacji Państwo – Kościół w Polsce” sporządzonego i opublikowanego przez KKiK w 2022 r. Wynika z niego, że Kościół postrzega państwo przede wszystkim jako zależną od siebie strukturę władzy, która ma mu pomagać w egzekwowaniu posłuszeństwa wobec Bożych przykazań i która instytucjonalnie powinna współuczestniczyć w jego misji ewangelizacyjnej. Pogląd ten zdaniem twórców raportu dominuje szczególnie wśród kościelnych hierarchów, choć wobec oficjalnego nauczania samego Kościoła stanowi relikw przesłości.

Tę opinię podziela prof. Andrzej Zoll: – Wciąż pokutuje przekonanie, że Ko-

ściół jest bytem nadrzędnym wobec państwa. Z tego powodu ubywa osób praktykujących. Bardzo przypadła mi do gustu wypowiedź ks. Józefa Tischnera, z którym jeździłem często przed laty pociągiem między Krakowem a Warszawą. Powiedział on, że nigdy nie spotkał człowieka, który stracił wiarę po przeczytaniu dzieł Marksa, natomiast zna wielu takich, którzy odstąpili od Kościoła po wysłuchaniu kazania księdza.

Kościół rzymskokatolicki już na Soborze Watykańskim II zaakceptował model polityczny demokratycznego państwa, zgodnie z którym jego fundamentem nie może być żadna doktryna filozoficzna, światopoglądowa czy religijna. *Ergo* porzucił w ten sposób hołubiony przez wieki pogląd, iż państwo powinno kierować się w swoich decyzjach wytycznymi Kościoła z uwagi na jego boską naturę.

Status quo w Polsce jest jednak nadal inne. Członkowie Kongresu Katoliczek i Katolików twierdzą, że misje państwa i Kościoła nie są w naszym kraju wypełniane wyłącznie w granicach przysługujących im autonomii, a pomiędzy oboma podmiotami występują liczne nieformalne powiązania. „Realizowana w praktyce konstytucyjna zasada odrębności władzy świeckiej i religijnej dalece odbiega od ducha i litery wyrażonych w polskim prawie” – czytamy dalej w raporcie KKiK.

Taka praktyka przynosi w ocenie jego autorów szkodę zarówno Kościołowi, jak i państwu. Dlatego najważniejszym wyzwaniem dla katolików w naszym kraju jest spowodowanie zmiany dotychczas-





KONGRES KATOLICZEK I KATOLIKÓW / MATERIAŁY PRASOWE

wego *modus vivendi* Kościoła i państwa. To właśnie punkt wyjścia dla projektu „Kościół wolny od polityki”.

Dotrzeć do wyobraźni

– Nie kwestionujemy prawa – tłumaczy prof. Andrzej Zoll. – Wychodzimy z założenia, że obowiązujące w Polsce regulacje, czyli konstytucja i konkordat, są w zupełności wystarczające. Problemem jest jedynie to, że ten stan prawny nie jest przez żadną ze stron przestrzegany.

Prof. Zoll jest jednym z liderów projektu – obok o. Pawła Guzyńskiego i wykładowczynie uniwersyteckiej Anny Marii Rizzo. Jak tłumaczą, akcja ma charakter ogólnospołeczny. Oznacza to, że w jej ramach nie może być prowadzona agitacja polityczna lub religijna.

Na stronie KKiK czytamy: „Działamy na rzecz rozwoju społeczeństwa obywatelskiego w Polsce, dbając o praworządność, przejrzystość i równość w naszym życiu publicznym (...). Chcemy dotrzeć do wyobraźni obywateli i obywateli w takim stopniu, aby uwierzyli, że państwo i Kościół mogą i powinny współpracować ze sobą inaczej, niż czynią to obecnie”.

Kampania ma mieć też charakter interaktywny. Zainteresowani mogą m.in. śledzić kongresowe media społecznościowe, komentować i udostępniać posty oraz oglądać spoty o tym, jak powinny wyglądać zdrowe relacje między państwem a Kościołem. Mogą także organizować spotkania online, nagrywać filmiki i przysyłać swoje zdjęcia z plakatem akcji jako wyraz jej poparcia.

– Zaproszenia wysyłamy głównie do parafii, bo one są jednak najważniejsze – mówi prof. Zoll.

Reakcje? Z reguły pozytywne, choć nieprzychylnych również nie brakuje.

O. Guzyński: – Niektórzy księża straszają nas, że zgłoszą nas na policję, jeśli jeszcze raz prześlemy do nich wiadomość. O czym te e-maile świadczą? Że większość księży nie rozumie, czym jest demokracja i jaka powinna być pozycja Kościoła w społeczeństwie demokratycznym. Ciągłe żyją wyobrażeniami, że Kościół powinien mieć decydujący wpływ na kształt życia publicznego. Wynika to m.in. z faktu, że księża już w samym seminarium nie dostają rzetelnej wiedzy, czym jest społeczeństwo i zmieniający się wokół świat.

Anna Maria Rizzo: – Podejmujemy tę dyskusję teraz, gdyż w okresie wyborów od lat widać w Polsce zachowania mające na celu promocję wybranych partii czy polityków ze strony Kościoła. Jednocześnie wielu polityków promuje własną sylwetkę poprzez publiczny udział w mszach czy nawet wypowiedzi z ambon.

Prof. Zoll: – Kościół w Polsce często dopuszcza do prezentowania bardzo bliskich relacji z państwem. I odwrotnie. Wystarczy przypomnieć wystąpienie dawnej wicepremier Jadwigi Emilewicz z ambon podczas mszy w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej czy z drugiej strony słowa bp. Antoniego Długosza wypowiedziane w tym samym miejscu o szczęściu, jakie spotkało Polaków w związku z obecnością w rządzie właściwie dwóch ewan-

Baner promocyjny akcji „Kościół wolny od polityki” zorganizowanej przez Kongres Katoliczek i Katolików

gelistów – Łukasza i Mateusza. Tego typu zachowania prowadzą do tego, że wierni odsuwają się od Kościoła, zwłaszcza młodzież.

– Także w parafiach pojawiają się wystąpienia polityczne w homiliach – dodaje prof. Zoll. – Zwłaszcza w okresie przedwyborczym, gdy księża otwarcie mówią, na kogo należy głosować. Sam tego doświadczyłem: jako przewodniczący komisji wyborczej w latach 90. XX w. poszedłem w dniu wyborów do spowiedzi. „Na kogo pan głosował?”, zapytał mnie spowiednik. Gdy odpowiedziałem, że na Tadeusza Mazowieckiego, zostałem porządnie skarcony.

Wyciągnięta ręka

Wedle o. Guzyńskiego, akcja „Kościół wolny od polityki” to próba odwołania się do kategorii dobra wspólnego – także dla dobra Kościoła jako instytucji, która powinna unikać wchodzenia w rolę aktywnego gracza na scenie politycznej. – Wierni w Polsce widzą na co dzień, jak Kościół jest obecnie uwikłany w politykę – mówi duchowny.

Dodaje: – A przecież na arenie państwa demokratycznego Kościół ma swoje godne miejsce. Autonomia Kościoła i państwa nie oznacza bynajmniej, że państwo stanie się jego wrogiem. Nasza akcja to jednocześnie wyciągnięta ręka do kościelnych hierarchów i przestrzeń, w której podobnie myślący, odważni katolicy będą mogli im powiedzieć, z czym się nie zgadzają. Na przykład, że o. Tadeusz Rydzyk nadal ma głos, choć od lat sączy w uszy Polakom prawdziwą truciznę.

Jednym z działań realizowanych w ramach akcji „Kościół wolny od polityki” jest gazetka kampanijna, publikowana na stronie internetowej Kongresu. W każdym jej wydaniu będą mogli wypowiedzieć się zarówno członkowie KKiK, jak i goście. Pierwszy numer został już opublikowany. Zabrał w nim głos Jan Rodowicz, członek kongresowej grupy roboczej Relacje Państwo – Kościół. Napisał: „My, katoliczki i katolicy, jesteśmy kołem ratunkowym dla Kościoła. Jeśli biskupi nie chwycą się tego koła, nie zaczęliśmy nas słuchać i rozmawiać, jak ratować Kościół, to zostaną sami”. ©



MAXIM SHEMETOV / REUTERS / FORUM

Kard. Matteo Zuppi, papieski wysłannik (w środku), abp Giovanni D'Aniello, nuncjusz apostolski w Moskwie (pierwszy z prawej) i abp Paolo Pezzi, metropolita archidiecezji moskiewskiej (piewszy z lewej) w drodze na mszę w katedrze pw. Niepokalanego Poczęcia Matki Bożej w Moskwie, 29 czerwca 2023 r.

Dywizje papieża

EDWARD AUGUSTYN

Zrozumienie w Kijowie i upokorzenie w Moskwie – to spotkało papieskiego wysłannika kard. Matteo Zuppiego podczas misji dyplomatycznej.

POKÓJ JEST SPRAWĄ ZBYT WAŻNĄ, BY zostawić ją dyplomatom” – powiedział ktoś, długo zanim papież wprowadził tę myśl w życie. Dyplomacja nie jest dla Franciszka jedyną dziedziną, w której wykazuje ograniczone zaufanie do swoich służb, ale to właśnie jej słabości wojna w Ukrainie obnażyła najdotkliwiej i najbardziej widocznie. Pierwsze miesiące rosyjskiej inwazji znaczyło pasmo nieskutecznych inicjatyw i chaotycznych wypowiedzi papieża – raz ostrożnych, w przekonaniu o wartości

dyplomatycznego nicniemówienia, to znów pochopnych i nieprzemyślanych, będących wyrazem zniecierpliwienia i gwałtownych emocji. Sporo czasu musiało minąć, zanim materię tak ważną jak pokój papież przekazał w ręce człowieka, który umie połączyć nieschematyczność działań, tak Franciszkowi bliską, z regułami, jakie rządzi światem międzynarodowej polityki.

Wizyta kard. Matteo Zuppiego w Kijowie (5-6 czerwca) i Moskwie (28-29 czerwca) to zwieńczenie półtora-

rocznych starań papieża, by rozmowy, których ostatecznym celem jest pokój, mogły się wreszcie rozpocząć. Doprowadzenie do nich Franciszek traktuje jako swój – pontyfika, budowniczego mostów – najważniejszy obowiązek.

Gdy dwa miesiące temu zdradził dziennikarzom, że Watykan ma opracowany plan „tajnej misji pokojowej”, mało kto wierzył w jej powodzenie. Moskwa i Kijów wyjątkowo zgodnie oświadczyły, że o pomysły papieża nic nie wiedzą. Dmitrij Pieskow, rzecznik Władimira Putina, powtarzał, że „nie zaistniały warunki do podjęcia tego typu rozmów”, obarczając winą za taki stan rzeczy Ukraińców. Mychajło Podoljak, doradca prezydenta Zełenskiego, wyraził obawę, że inicjatywa Franciszka będzie „mediacją na rzecz agresora”, na co jego kraj nie zamierza się godzić. Wszystko wskazywało, że gra skończy się, zanim jeszcze zdążyła się zacząć. Klasyczny falstart.

Tymczasem już miesiąc później papieski wysłannik był w Kijowie, a po kolejnych trzech tygodniach – w Moskwie.

I nawet jeśli rezultaty przeprowadzonych tam rozmów są niewielkie, sam fakt ich podjęcia można uznać za sukces. Kluczem do niego okazała się postać specjalnego wysłannika.

Dyplomacja alternatywna

Watykańscy dyplomaci szkolą się w Papieskiej Akademii Kościelnej. Nauka w niej trwa dwa lata, co – jak złośliwie komentują w Watykanie – wystarcza, by każdego skutecznie odczytać empatii.

Tymczasem to właśnie umiejętność dostrzegania, rozumienia i współodczuwania emocji drugiej osoby jest charakterystyczną cechą kard. Zuppiego, nie bez powodu nazywanego „biskupem ulicy”. Nie został nim ostatnio, za pontyfikatu Franciszka, gdy modne stało się „wychodzenie na peryferia”. Dokumentalny film „Il Vangelo secondo Matteo Z.” („Ewangelia według Mateusza Z.”), nakręcony w 2019 r. przez Emilio Marresego, pokazuje codzienne życie bolońskiego kardynała: jeżdżącego rowerem po mieście, rozmawiającego z przygodnie napotkanymi ludźmi, jadającego posiłki w księżowskiej stołówce albo mieszka dla ubogich, organizującego ośrodki dla uchodźców, wspierającego plany budowy meczetu w mieście. „Czego trzeba, aby ci pomóc?” – to najczęściej zadawane przez niego pytanie.

Są też w filmie zdjęcia archiwalne, dokumentujące ostatnie pięć dekad Matteo Zuppiego: licealista, związanego

z rzymską Wspólnotą Sant'Egidio, odwieczającego starszych, samotnych mieszkańców Rzymu; młodego wikariusza parafii na Zatybrzu; nauczyciela w afrykańskich „szkołach pokoju”. Dzięki Wspólnocie Sant'Egidio – założonej przez świeckich i z nich głównie złożonej – przyszedł kardynał nie uległ skażeniu klerykalizmem. W niej też zdobywał pierwsze „szlify w dyplomacji”, negocjując z prezydentami państw, ministrami czy lokalnymi watażkami dostarczanie pomocy humanitarnej ofiarom zbrojnych konfliktów po obu stronach frontu. W latach 1990-1992 ks. Zuppi, wraz z Andream Riccardim, założycielem Wspólnoty, prowadził negocjacje pokojowe pomiędzy prezydentem Mozambiku, Joaquimem Chissano a liderem prawicowego Narodowego Ruchu Oporu Afonsoem Dhlakamą, które zakończyły trwającą 16 lat wojnę domową. Porozumienie podpisano w siedzibie Wspólnoty Sant'Egidio, nazywanej odtąd „ONZ-em z Zatybrza” albo „alternatywną dyplomacją Watykanu”.

Oczekiwanie i ulga

O tym, jak empatia bolońskiego kardynała przełamała niechęć prezydenta Zełenskigo do najnowszej inicjatywy papieża, opowiadał – w wywiadzie opublikowanym przed tygodniem na portalu Glavcom.ua – abp Światosław Szewczuk, grekokatolicki metropolita Kijowa.

„Początkowo atmosfera była napięta – wspominał. – Strona ukraińska bała się, że kard. Zuppi przyjechał, nie daj Boże, z jakimś wcześniej przygotowanym planem, który ma zamiar narzucać Ukrainie. Gdy okazało się, że tak nie jest, odetchnęli z ulgą i rozmowy potoczyły się dużo sprawniej”.

Obawy Ukraińców nie były bezpodstawne. W pamięci mieli słowa papieża, który wielokrotnie wzywał „obie strony konfliktu do kompromisu”, mówił o obustronnym zawieszeniu broni i wstrzymaniu dostaw zachodniego uzbrojenia. Znana im też była dobrze sytuacja sprzed dwudziestu lat, gdy specjaliści wysłannicy Jana Pawła II przyjechali do Waszyngtonu, by odwieść prezydenta Busha od ataku na Irak. Emisariusze przywieźli list od papieża, w którym rozpisane były, punkt po punkcie, działania, jakie należy podjąć, by uratować pokój na Bliskim Wschodzie. Amerykański prezydent nie zamierzał nawet go czytać.

Zuppi ograniczył się więc do uważnego wysłuchania racji swoich rozmówców, którzy – jak wynika z opowieści abp. Szewczuka – jasno sformułowali swoje oczekiwania wobec Watykanu: zaakceptowanie planu pokojowego prezydenta Zełenskigo, zakładającego wycofanie rosyjskich wojsk z terytorium Ukrainy oraz podjęcie starań, podczas ewentualnych rozmów w Moskwie, o uwolnienie ukraińskich dzieci, wywiezionych do Rosji, zdjęcie blokady na eksport ➔

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

Spotkaj się z nami w Jazdowie

Warszawski Klub „Tygodnika Powszechnego”, Stowarzyszenie Państwomiesto i Wydawnictwo Literackie zapraszają na spotkanie Letniego Klubu Czytelniczego. Będziemy rozmawiać o najnowszej książce Doroty Masłowskiej „Mam tak samo jak ty”, pić lemoniadę i cieszyć się słońcem w letnim ogrodzie.

Domek fiński Państwomiesto, Jazdów 3/12, Warszawa, 8 lipca, godz. 16

W programie także niespodzianki. Zapraszamy!

Szczegóły na fb/TygodnikPowszechny



Warszawa
KLUB TYGODNIKA



→ ukraińskiego zboża czy powstrzymanie działań, które grożą katastrofą ekologiczną (spotkanie Zuppiego z prezydentem Ukrainy odbyło się w dniu, gdy Rosjanie wysadzili tamę w Nowej Kachowce, zalewając okoliczne miejscowości i zwiększając ryzyko radioaktywnego wycieku z elektrowni jądrowej w Zaporozżu).

Słowa kijowskiego metropolity potwierdzają, że strona ukraińska nie traktuje watykańskiej misji jako „pokojowych negocjacji”. Papież jest dla nich autorytetem moralnym, a nie politycznym, dyplomatycznym czy nawet religijnym (katolików – rzymskich i greckich łącznie – jest w Ukrainie niespełna 6 proc.). Oczekują od niego jasnej oceny etycznej – opowiedzenia się po stronie ofiar, potępienia agresora – oraz wsparcia humanitarnego.

Co usłyszał papież

Wywiad abp. Szewczuka odsłania nie tylko kulisy kijowskich rozmów kard. Zuppiego. Opisywane przez greckokatolickiego hierarchę wydarzenia i przytaczane słowa pozwalają zweryfikować naszą dotychczasową wiedzę o relacjach Watykanu z Rosją i Ukrainą, budowaną zwykle na poszlakach, domysłach czy anonimowych przeciekach.

Szewczuk jest rzadkim przypadkiem hierarchy, który nie boi się krytycznie oceniać Franciszka i szczerze dzieli się wątpliwościami co do jego stanowiska wobec toczącej się wojny. To zresztą nie tylko kwestia odwagi, ale również szczególnej sytuacji greckokatolickiego arcybiskupa, którego odmiennosc w Kościele rzymskim niesie, z jednej strony, marginalizację i niezrozumienie, ale z drugiej – daje poczucie niezależności, jakiego wielu biskupów czy kardynałów obrządku łacińskiego, liczących na kościelną karierę i uwikłanych w kurialne układy, nigdy nie zazna.

Arcybiskup Kijowa wyjawia m.in., że już w grudniu 2021 r. prosił Franciszka o podjęcie starań, by nie dopuścić do spodziewanej rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Przypomina, że w podobnej sytuacji z 2014 r., gdy Stany Zjednoczone przygotowywały zbrojną interwencję w Syrii (uznając użycie broni gazowej przez syryjskie wojsko za przekroczenie „czerwonej linii”), papież osobiście zaangażował się w walkę o powstrzymanie amerykańskiej ingerencji: pisał listy do Obamy i Pu-

tina, prowadził rozmowy telefoniczne z politykami, nawoływał publicznie do zmiany decyzji. Wiele osób do dziś jest przekonanych, że jego działania odniosły skutek. W słowach abp. Szewczuka słychać żal, że w przypadku zagrożenia rosyjskim atakiem aktywność papieża i Watykanu była dużo mniejsza.

„Również z tego, co papież próbował zrobić dla Ukrainy już po rozpoczęciu inwazji, nic się nie udało” – mówi Szewczuk. Do dyplomatycznych porażek zalicza m.in. nieudane próby nawiązania kontaktu z Putinem w pierwszych dniach inwazji, włącznie z bezprecedensową wizytą papieża w rosyjskiej ambasadzie, czy zabiegi o spotkanie z patriarchą Cyrylem. Nie powiodła się też próba zorganizowania korytarza humanitarnego dla mieszkańców oblężonego Mariupola: Watykan chciał, by opuścili miasto pod przewodnictwem papieskiego legata (prawdopodobnie miał to być kard. Konrad Krajewski) i przez tereny okupowane przeszli na stronę ukraińską, na co Rosjanie nie wydali zgody.

Prosto w oczy

„Papież nie rozumie Ukrainy, a ona nie rozumie papieża” – przyznaje metropolita Kijowa. Powodem pierwszego niezrozumienia są osobiste cechy Franciszka (nieufność, porywczność i nieprzewidywalność), jego pochodzenie („globalne Południe” od zawsze podejrzliwie traktowało Zachód, do którego Ukraina aspirowała i który ją wspiera) oraz wieloletnie rosyjskie wpływy w Watykanie (w przeciwieństwie do Kijowa, Moskwa nie lekceważyła dotąd dyplomatycznego znaczenia Stolicy Apostolskiej – na Kremlu nikt już nie pyta „ile dywizji ma papież?”).

Powodem niezrozumienia papieża przez Ukraińców były przede wszystkim jego wypowiedzi usprawiedliwiające rosyjską agresję, zrzucanie winy na innych („szczekające NATO”, przemysł zbrojeniowy, okrutnych najemników) czy też zrównywanie cierpień „obu stron konfliktu”.

„Idea wielkiej rosyjskiej kultury, do której często odwołuje się papież, to mit – mówi abp Szewczuk. – Stolica Apostolska, Europa, instytucje międzynarodowe są dziś w takim samym niebezpieczeństwie, jak kulturalni ludzie przed II wojną światową. Gdy mówiono o niemieckim zagrożeniu, oni myśleli o poetach, filo-

zofach, muzykach i całej wielkiej niemieckiej kulturze. Tymczasem władzę w Niemczech przejęli zbrodniarze. Rozmawiałem o tym z papieżem – dodaje metropolita – Powiedziałem mu, że źle czyta Dostojewskiego. Słuchał uważnie. Ale ile usłyszał, zobaczymy”.

Zauważa jednak, że od czasu jego spotkania z Franciszkiem, w listopadzie ub. roku, retoryka papieskich wypowiedzi uległa zmianie, czego najlepszym dowodem był pełen zrozumienia i empatii list do narodu ukraińskiego, napisany dwa tygodnie później.

Pierwsze kroki

Wróćmy do misji Zuppiego. Jak można się było spodziewać, jej moskiewski etap okazał się dużo trudniejszy niż spotkania w Kijowie i pokazał, jak niewielką rangę nadały papieskiej inicjatywie władze Rosji. Watykańskiego wysłannika przyjął na Kremlu Jurij Uszakov, doradca ds. polityki międzynarodowej. Prezydent Putin był w tym czasie (choć nie wiadomo, czy osobiście, czy z pomocą sobowótora) w Derbencie, na konferencji poświęconej rozwojowi turystyki w Północnokaukaskim Okręgu Federalnym. Czasu na rozmowę z kardynałem nie znalazł też Siergiej Ławrow, minister spraw zagranicznych.

To z pewnością upokorzenie dla kardynała i samego papieża. Oraz wyraźny komunikat, że Moskwa nie zamierza uznać działań jego wysłannika za misję pokojową. Przyjazd Zuppiego – niepełniącego w Watykanie żadnej państwowej funkcji – traktuje jako wydarzenie o charakterze religijnym i humanitarnym. Na co wskazują spotkania w drugim dniu jego pobytu – z patriarchą Cyrylem i komisarz ds. praw dziecka, Marią Lwową-Bielową (choć jeśli rezultatem tego ostatniego będzie powrót do Ukrainy uprowadzonych dzieci, nikt nie będzie pamiętał o upokorzeniu watykańskiej misji).

„Potrzebny jest czas, pokora i cierpliwość” – mówił kard. Zuppi przed wyjazdem do Moskwy. Jak dotąd papieskim inicjatywom dyplomatycznym tych rzeczy najbardziej brakowało.

Franciszek jest przekonany, że wojna to przede wszystkim problem komunikacyjny – zaczyna się, gdy kończą się rozmowy, a kończy, gdy te ponownie zostaną podjęte. I choć do tego jeszcze długa droga, jego wysłannik właśnie postawił na niej pierwsze kroki. ©© EDWARD AUGUSTYN

WOJCIECH

Bonowicz:

Patchwork pomocy społecznej



ROK WYBORCZY Z NATURY SWEJ JEST ROKIEM propagandy sukcesu. „Pieniądzy jest dużo i na pewno nie zabraknie” – słyszymy z ust rządzących. „Podnosimy, dodajemy, rewoloryzujemy. W Polsce dokonana się wielka rewolucja godnościowa. Nigdy jeszcze żaden rząd...” – i tak dalej. Ale od dołu wygląda to inaczej.

Pod koniec maja starosta pleszewski otrzymał od wojewody wielkopolskiego pismo z informacją, że dotacja na prowadzony przez siostry dominikanki w Broniszewicach dom dla chłopców z głęboką niepełnosprawnością intelektualną zostanie w bieżącym roku zmniejszona o przeszło 600 tysięcy złotych. Czyli o mniej więcej jedną trzecią. Spróbujmy sobie to wyobrazić: w połowie roku dowiadujesz się, że Twoje wynagrodzenie za ten rok zostanie zmniejszone i przez cztery miesiące nie będziesz dostawał nic – mimo że pierwotnie Ci to obiecano. Musisz jednak nadal pracować. Siostry mają pod opieką 67 chłopaków; nie zamkną przecież domu tylko dlatego, że urzędnicy dostali polecenie, by szukać oszczędności.

Zrobił się szum, siostry ogłosiły zbiórkę, a ponieważ ich dzieło jest popularne i ma wielu sojuszników, pieniądze na koncie szybko przybywało. Presja opinii publicznej sprawiła też, że wojewoda wycofał się ze swej decyzji i dotacja nie została zmniejszona. Jeden z urzędników tłumaczył, że pismo „było jedynie informacją o zmianie planu tych dotacji”, a nie decyzją, ale było to tłumaczenie mętne. Z pisma, którego kopia pojawiła się w sieci, jednoznacznie wynikało, że siostry miały powód, by wszcząć alarm. Na szczęście ich głos został usłyszany.

Tyle że problem nie zniknął: z tego, co wiem, podobne pisma trafiły do innych samorządów i podległych im placówek. Nawet jeśli cięcia, o których informują, nie są tak duże, to przecież są jawną niesprawiedliwością. W czasie bardzo trudnym, gdy wszystkie koszty rosną, obcięcie dotacji nawet o 15 tysięcy złotych to dla domu pomocy społecznej mała katastrofa. Budżety tych i podobnych placówek od lat ledwo się dopinają, a jakiejkolwiek inwestycje możliwe są jedynie dzięki darczyńcom. Co rusz słyszę, że jakiś dom, warsztat czy świetlica trzeba będzie zamknąć, a jest to na danym terenie jedyne miejsce, gdzie osoby, które straciły naturalnych opiekunów, mogą otrzymać pomoc. Niskie płace i niepewność zatrudnienia sprawiają, że ludzi chętnych do pracy w takich miejscach jest coraz mniej. Cięcia w budżecie – że właściwie niemożliwe jest prowadzenie jakiegokolwiek terapii, bo brakuje na podstawowe rzeczy. Kierujący DPS-ami to w praktyce kwestarze i kwestarki: chodzą i proszą o pomoc, często także żywnościową. Cały ten system – który nazywamy systemem pomocy społecznej, a który w praktyce jest jednym wielkim patchworkiem – opiera się na ofiarności, a nie na dobrym planowaniu i sprawnej dystrybucji środków.

Ludzie władzy jadą w Polskę, żeby opowiadać, jak jest dobrze. I ja ich rozumiem, bo przecież nie mogą opowiadać, jak jest źle, skoro chcą wybory wygrać. Niestety, wybory znów prawdopodobnie zostaną wygrane czymś kosztem. Przede wszystkim kosztem tych, którymi jako społeczeństwo interesujemy się mało. Którzy są, bo są. O których godności ładnie się przemawia i wygłasza kazania, ale się jej tak naprawdę nie szanuje. Trudno nawet zorganizować protest w ich imieniu – bo ci, którzy mogliby protestować, są zbyt zajęci, by swoim podopiecznym zapewnić choć odrobinę poczucia bezpieczeństwa.

Ale po cichu marzę, żeby coś jednak zrobić. I namawiam wszystkich, którzy czują w sobie tę samą złość: zainteresujcie się najuboższymi. Co właściwie dzieje się na Waszym terenie z placówkami, które powinny im służyć? Jest rok wyborczy i może krzyk w ich obronę zostanie usłyszany. Można jeszcze wynegocjować coś z tym rządem – choćby tylko to, żeby nie robił oszczędności kosztem najsłabszych.

Na więcej, przyznam szczerze, nie liczę.

©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**„Oddech dla duszy” –
najnowsza książka
ks. Adama Bonieckiego**

Już w księgarniach i na vivele.pl



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JAK ROZMAWIAĆ O ZBRODNI WOŁYŃSKIEJ

Polsko-ukraińskie relacje pozostają w cieniu tamtej nierozliczonej zbrodni, której apogeum nastąpiło 80 lat temu, w lipcu 1943 r. Nie można od niej uciekać. Dlaczego więc nie chciałam napisać tekstu na rocznicę Wołynia?

ANNA WYLEGAŁA



CO ROBI POLSKA BADACZKA TRUDNEJ polsko-ukraińsko-żydowskiej historii, gdy Rosja napada na Ukrainę i zaczyna mordować ukraińskich cywilów, uzasadniając to koniecznością obrony przed faszyzmem? Zamyka komputer i zaczyna pakować paczki z ubraniami i pomocą humanitarną. To w pierwszym odruchu.

W drugim odpowiada na zaproszenie ukraińskich kolegów i włącza się w projekt kryzysowej dokumentacji, organizując w Polsce zespół nagrywający relacje historii mówionej ukraińskich uchodźców (w sieci: swiadectwawojny2022.org). Po roku w bazie projektu jest 200 nagrań, które składają się na ponad 500 godzin opowieści: o agresji, niedowierzaniu, okupacji, utracie bliskich, śmierci, panice, ucieczce, przekroczeniu granicy z Polską i odbudowie życia w naszym kraju. Oraz o tęsknocie. Zaskakująco często są to także opowieści o historii własnej rodziny, którą – z perspektywy osoby dotkniętej rosyjską agresją – widzi się jako ciąg prześladowań ze strony Rosjan, Sowietów i dziś znów Rosjan.

W trzecim odruchu badaczka patrzy z wahaniem na swój konspekt tekstu o wsi Wojciechowice (ukr. Utichowczyi) na Lwowszczyźnie. Latem 1941 r. ukraiński policjant oddaje tam dwa strzały i pozbawia nimi życia Różę i Mojżesza

Strickerów, przed wojną właścicieli miejscowego folwarku, w 1945 r. giną zaś po kolei ostatni mieszkańcy wsi, którzy uważani są przez Ukraińską Powstańczą Armię za etnicznie „nieczystych” (czyli mają częściowo polskie pochodzenie).

Gdy wojna się nie kończy

Badaczka patrzy, waha się i myśli, że może jednak ten tekst o Wojciechowicach napisze później, gdy wojna się skończy, a teraz może jednak lepiej coś o reformie rolnej w powojennej Polsce. W końcu wszyscy Żydzi i Polacy, których jej tekst miał dotyczyć, i tak są od bardzo dawna martwi.

Ostatecznie zresztą okazuje się, że projekt zbierania uchodźczych świadectw nie zostawia zbyt wiele przestrzeni na inne aktywności naukowe, bo po wysłuchaniu historii o życiu przez miesiąc w okupowanym Mariupolu oraz o zabitych bliskich, grzebanych w piaskownicy w całunach z folii bąbelkowej, człowiek jakos nie ma siły na inną aktywność naukową.

Jednak wojna nie kończy się ani po kilku tygodniach, ani po kilku miesiącach. Nikt nie bierze poważnie rosyjskich deklaracji dotyczących nazistowskiej natury państwa ukraińskiego. Za to pojawiają się inne doniesienia, dużo bardziej niepokojące: wiosną 2022 r. tekst

rosyjskiej agencji RIA Nowosti nawołuje wprost do ludobójstwa na narodzie ukraińskim, twierdząc, że element najbardziej oporny, który okaże się niepodatny na „denazyfikację”, należy eksterminować.

Obraz z Buczy, obraz z Podola

Potem badaczka budzi się pewnego pięknego wiosennego dnia roku 2022 i pierwszy obrazek, który widzi w wiadomościach podsuniętych przez Google, to zdjęcie masowego grobu ukraińskich cywilów odkrytego w Buczy po tym, jak z tego podkijowskiego miasteczka wycofali się rosyjscy żołnierze; na zdjęciu pomiędzy piasku i zielska wystają długie kołbiece włosy.

Badaczka patrzy i zamyka oczy, a pod powiekami ma takie same doły śmierci, z których w roku 1941 i 1942 wystawały włosy żydowskich kobiet zamordowanych przez Niemców i ukraińską policję pomocniczą. A gdy zaciśnie powieki, widzi też poczerwiałe i zwinięte od żaru włosy Rózi Cichowskiej, córki polskiego młynarza, w sierpniu 1944 r. zamordowanej z całą rodziną w Kurzanach koło Brzeżan na Tarnopolszczyźnie – historycznym zachodnim Podolu – przez miejscowy oddział UPA.

Zwęglone ciała Cichowskich znalazli rano ich ukraińscy sąsiedzi, a historię opowiedziała mi w 2019 r. ponad →

Miejsce po nieistniejącej wsi Kolonia Pokuta na Wołyniu, której ok. 49 mieszkańców zostało zamordowanych przez Ukraińców we wrześniu 1943 r. W lipcu 2018 r., w 75. rocznicę apogeum zbrodni wołyńsko-galicyjskiej – 11 lipca 1943 r. oddziały UPA zaatakowały równocześnie kilkadziesiąt polskich miejscowości – prezydent Andrzej Duda złożył tam kwiaty.

→ 90-letnia mieszkanka Kurzan (ukr. Kuriany), pochodząca z mieszanej polsko-ukraińskiej rodziny. – Wieczorem jeszcze siedzieliśmy w sadzie i śpiewaliśmy piosenki, i wszystko było normalnie. Rano ojciec poszedł ich zakopać w ich własnym ogrodzie. Długo nie byłam w stanie tam pójść – wspominała.

Rozmowa z uchodźczynią

Myślę o Rózi Cichowskiej, gdy ukraińska uchodźczyni z Sum, która w marcu 2022 r. przejechała ponad tysiąc kilometrów, by wydostać z zagrożonego miasta siebie i dwójkę swoich małych dzieci, mówi mi, że ona rozumie Polaków, że oni o ten Wołyń wciąż mają żal, ale przecież ona jest z Sum, od niej nikt w rodzinie w żadnym UPA nie walczył, ona się właściwie dopiero w Polsce dowiedziała, o co z tym Wołyniem chodzi.

Moja ukraińska rozmówczyni mieszka teraz w Sopocie i pracuje jako opiekunka środowiskowa, zajmuje się starszymi ludźmi w ich domach. Gdy jeden z jej podopiecznych uparcie wyzywa ją od banderówek i morderczyń, prosi o zmianę przydykału. Swoim przełożonym nie wyjaśnia dlaczego, nie ma też – jak mi potem powie – pretensji. Bo gdy starszy pan kończył wyzwiska, opowiadał jej o matce, którą zabili banderowcy na Wołyniu, a także o siostrze, ciotce i reszcie rodziny.

Moja uchodźczyni z Sum rozumie więc, ale i tak jest jej przykro, bo choć jej matka żyje, to mało brakowało, aby rosyjska rakietą, która uderzyła w dom obok, pogrzebała ją żywcem pod gruzami.

Wota za krew

Myślę wówczas również o polskich matkach, które w roku 1943 i 1944 na Wołyniu oraz w Galicji Wschodniej uciekały i nie przeżyły, o małych trupkach porzuconych przy drodze, o pośpiesznie kopanych płytkich grobach i o tym, że na obrzeżach wielu wsi na Zachodniej Ukrainie ukraińscy sąsiedzi grzebali 80 lat temu swoich polskich sąsiadów. Oraz o tym, jak wiele z tych grobów wciąż jest nieoznaczonych, a ukraińskie władze od 2017 r. uparcie odmawiają zgody na ekshumację ciał.

Gdy w 2018 r. mój polsko-ukraiński zespół prowadzi badania terenowe na Tarnopolszczyźnie, nagrywamy wywiady we wsi Wiśniowczyk. Wieś słynie z kapliczek, niemal na co drugim podwórku

jakaś stoi. I po chwili robi nam się zimno, gdy podczas zastygłego w upale popołudnia jeden z ukraińskich rozmówców patrzy w bok i mówi, że podobno te kapliczki to wota za krew – tam, gdzie Polaka zabili, tam je stawiali.

„Forpocztą rosyjskiej propagandy”

Gdy późną wiosną 2022 r. ukraińska koleżanka z tego naszego zespołu, która od lat zajmuje się krytycznymi badaniami nad działalnością Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i UPA w czasie II wojny światowej, szczególnie w kontekście Zagłady Żydów, mówi mi, że koledzy z instytutu oskarżają ją o bycie forpocztą rosyjskiej propagandy, i że niezależnie od trwającej wojny ona coraz mniej widzi dla siebie miejsce w ukraińskiej akademii, myślę z żalem, że akademia ta traci właśnie jedną z szans na to, by rozliczenie z trudną ukraińską przeszłością wyszło właśnie od niej, nie zaś narzucane z zewnątrz – przez Polskę, Izrael czy Unię Europejską.

I doceniam mój komfort, bo moich badań nikt nie cenzuruje, moi koledzy nie wysuwają wobec mnie oczekiwań, że będę pisać w określonym nurcie. A przede wszystkim moje państwo nie prowadzi wojny obronnej, która stawia naukowców w obliczu trudnych wyborów.

Mimo to, gdy w końcu wracam do tekstu o Wojciechowicach, mordzie na Strickerach, i gdy piszę o powojennym strachu przed ukraińskimi partyzantami, czuję się nieco nieswojo.

Dylematy badacza

Ten dyskomfort próbuję zwerybalizować, gdy kilka tygodni temu redakcja „Tygodnika” pyta, czy nie napisałabym artykułu na rocznicę Wołynia, a próby te sprowadzają się właściwie do pytań, na które wciąż nie mam odpowiedzi.

Stąd może to krążenie wokół tematu i zataczanie kolejnych kręgów. Co zmienia w badaniach historycznych i w publicznym dyskursie o historii obecna wojna, która prowadzona jest również o interpretację historii? Czy właściwe jest krytyczne uprawianie historii w sytuacji, gdy wyniki takich badań mogą być dla rosyjskiego agresora jak woda na młyn jego propagandy, oskarżającej ofiarę napaści o to, że kolektywne winy narodu ukraińskiego z przeszłości przekładają się wyprost na to, czym ten naród jest dzisiaj?

Ale co, jeśli krytyczne uprawianie historii to po prostu uczciwe uprawianie historii? Może więc lepiej się od takich badań na trochę powstrzymać? A jeśli nie od badań, to w każdym razie od ich szerokiego dyskusowania, bo społeczną rolę humanistyki jest również odpowiedzialność za szerszy wydzźwięk tego, co się wyprodukowało i napisało.

Historycy w mundurach

Te pytania mają oczywiście inny wydzźwięk w Polsce, a inny w Ukrainie.

Gdy w lutym tego roku Hryhorij Kasjanow, historyk zajmujący się też pamięcią zbiorową, mówił na zorganizowanej w Berlinie przez Instytut Pileckiego konferencji o tym, jak trwająca wojna zmieniła życie ukraińskich naukowców, zaczął od brutalnego stwierdzenia: niektórzy z nich poszli na front, część zginęła albo wkrótce zginie. Mychajło Tiahlyj, badacz Zagłady Romów, odpisuje mi z obozu przygotowawczego dla rekrutów, gdy kilka miesięcy temu pytam go, czy może napisać tekst na ten temat. Inny znajomy, Jewhen Hulewycz, antropolog kultury i filozof, przez kilka miesięcy uznawany jest za zaginionego; w końcu w marcu przychodzi oficjalne zawiadomienie o jego śmierci pod Bachmutem.

Anton Drobowycz, dyrektor Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, zaciąga się na ochotnika w pierwszych dniach wojny. Jego ostatniemu kontrowersyjnemu wywiadowi opublikowanemu na portalu glavcom.ua, w którym twierdził, że Ukraińcy wielokrotnie przepraszały za rzeź wołyńską, i obstawał przy zakazie ekshumacji polskich ofiar, towarzyszy jego zdjęcie w mundurze, na którym Drobowycz opiera się o swoje stanowisko polowe.

Z pewnością niektórzy ukraińscy badacze zadają sobie pytania, czy lojalność wobec własnego państwa, prowadzącego wojnę obronną, nie stoi dziś w sprzeczności z obowiązkiem naukowej uczciwości i dążenia do prawdy. Z pewnością niektórzy decydują, że krytyczne badania i rozmowę o nich należy odłożyć na później. Jednak także przed pełnoskalową agresją Rosji na Ukrainę tych prowadzących uczciwe badania nad konfliktem polsko-ukraińskim albo nad udziałem Ukraińców w Holokauście nie było aż tak wielu.

Gdy kilka tygodni temu rozmawiamy o moim hipotetycznym tekście na roz-

nić Wołynia, mówię, że może najlepiej byłoby, gdyby taki tekst napisał jednak ktoś z Ukrainy. Po czym nie bardzo przychodzi mi do głowy autor – prócz tej znajomej badaczki z mojego zespołu, która w międzyczasie pożegnała się z ukraińską akademią.

Pamięć i uczciwość

Te same pytania w Polsce brzmią oczywiście trochę inaczej, a nadchodząca rocznica podgrzewa klimat. Polska badaczka nie musi sobie zadawać pytania o lojalność wobec państwa, bo to nie jej państwo i nie jej wojna. Ale pozycja outsidera bynajmniej nie sprawia, że wszystkie dylematy znikają. Od zawsze są te ogólne – czy nie najwłaściwiej byłoby, gdyby krytyczne badania nad ukraińskim ludobójstwem na Polakach czy też nad ich udziałem w Zagładzie Żydów prowadzili sami Ukraińcy?

A wojna sprawia, że pojawiają się kolejne. Bo czy fakt, że Ukraińcy – ukraińscy cywile, kobiety, dzieci, starcy (myślę o rozmówczyni z Mariupola, która grzebała 80-letnią teściową w piaskownicy) – są obecnie ofiarami rosyjskich zbrodni, a nawet działań o charakterze ludobójczym, sprawia, że w imię niedostarczenia pożywki rosyjskiej propagandzie mamy milczeć o polskich i żydowskich ofiarach ukraińskich nacjonalistów sprzed 80 lat? Myślę o Rózi Cichowskiej, o kapliczkach w Wiśniowczyku, a także o bratanku Mojżesza Strickera, zadżganym przez ukraińskich partyzantów w leśnej kryjówce koło Wojciechowic – i otwieram z powrotem mój konspekt artykułu o tym, co działo się w czasie wojny w tej wsi.

Bo ofiarom należy się i pamięć, i uczciwość. A ta ostatnia oznacza jasne wskazanie winowajców. I teraz, gdy Ukraińcy są ofiarami rosyjskich zbrodni, i wówczas, gdy ofiarami byli Polacy i Żydzi, a Ukraińcy sprawcami ich cierpienia.



ARCHIWUM PRYWATNE

ANNA WYLEGAŁA (ur. 1982) socjolożka, pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Zajmuje się m.in. historią społeczną Polski i Ukrainy okresu II wojny światowej oraz Holokaustu. W latach 2017-20 jej zespół nagrał ponad 150 wywiadów historii mówionej z najstarszymi mieszkańcami ukraińskiej Galicji. Autorka książek „Przesiedlenia a pamięć. Studium (nie)pamięci społecznej na przykładzie ukraińskiej Galicji i polskich „ziem odzyskanych” oraz „Był dwór, nie ma dworu” o reformie rolnej w 1944 r. (za tę książkę otrzymała kilka wyróżnień, m.in. Nagrodę im. Jerzego Giedroycia). Obecnie koordynatorka polskiej części projektu „Świadectwa wojny”.

Czekając na zwykłe „przepraszamy”

Gdzieś obok mojego myślenia o historii Wojciechowic, o etyce pracy badawczej oraz o dyskursie publicznym w czasie trwającej wojny toczy się zwykła polityczna przepychanka, na którą ofiary nie zasługują.

Gdy w kwietniu tego roku do Polski przyjeżdża prezydent Zełenski, temat Wołynia oficjalnie się nie pojawia. Gdy dość miękko oczekiwania w tej kwestii formułuje rzecznik polskiego MSZ Łukasz Jasina, w mediach społecznościowych wybucha skandal, a ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Zwarycz oświadcza dość buńczucznie, że nikt nie będzie

narzucał Ukrainie kierunku jej polityki zagranicznej. Jasina zostaje wysłany na przymusowy długi urlop.

Sprawa wraca na wokandę, gdy w drugiej połowie czerwca Anton Drobowycz udziela wspomnianego wywiadu, w którym oskarża polską stronę o celowe zaniechania w kwestii upamiętnień ukraińskich w Polsce, a polskim historykom wytyka brak ochoty do współpracy oraz stwierdza, że Ukraina za Wołyn przepraszała już wielokrotnie. Na wywiad reaguje polski IPN, publikując oświadczenie, w którym nie tylko wylicza wszystkie przypadki, gdy strona ukraińska odmówiła Polsce zgody na ekshumację ofiar, ale nazywa UPA *en bloc* formacją zbrodniczą, Galicję Wschodnią zaś określa jako Małopolskę Wschodnią.

Trudno się dyskutuje z historykiem, który ma na sobie mundur i broni ojczyzny z karabinem w ręku. Chciałabym, by ukraińskie „przepraszamy” padło w końcu po prostu (a nie w zaklinanej formule „wybaczymy i prosimy o wybaczenie”). Nie sądzę, aby można było wymagać takiego „przepraszamy” właśnie teraz. Ale też otwarta jest kwestia, czy w ogóle wymuszone „przepraszam” ma sens, i czy kiedykolwiek jest dobra chwila na uznanie swojej winy.

Choć gdyby takie „przepraszam” jednak padło, oznaczałoby zdecydowanie moralną siłę, a nie słabość Ukraińców.

■ ■ ■

Przeglądam się jeszcze raz z uwagą wszystkim argumentom, którymi przerzucali się uczestnicy tej dyskusji, i są one jak kolejne grudy ziemi spadające na masowy grób. Spadną, zasypią i zrobi się cicho.

Jak na tych wszystkich zarośniętych i ledwo rozpoznawalnych już masowych grobach, na których stałam przez ostatnie lata w Galicji Wschodniej i na Wołyniu.

© ANNA WYLEGAŁA

Serwis specjalny „Tygodnika”: zbrodnia wołyńsko-galicyjska

Tablica upamiętniająca 135 Polaków ze wsi Barysz na Podolu zabitych przez UPA w lutym 1945 r.



ANNA WYLEGAŁA

Minęło 80 lat, w tym ponad trzy dekady istnienia wolnej Polski i wolnej Ukrainy, a zbrodnia wołyńsko-galicyjska – mordy na polskiej ludności popełniane przez UPA i towarzyszących im ukraińskich sąsiadów (często mieszkańców tej samej wsi co ofiary) – to wciąż najtrudniejszy problem między Warszawą a Kijowem.

O tym, co działo się 80 lat temu, i o polsko-ukraińskich dyskusjach historycznych pisaliśmy w „Tygodniku” wiele razy. Niektóre z tych materiałów przypominamy w specjalnym serwisie na naszej stronie internetowej: powszech.net/wolyn43

TYLKO 40 PROCENT SŁOWAKÓW UWAŻA, że winę za wojnę w Ukrainie ponosi Rosja – wynika z sondażu think tanku Globsec. Ponad połowa winą obarcza Zachód (bo „prowokował Rosję”; tak uważa 34 proc.) lub Ukrainę (bo „prześladowała rosyjskojęzycznych obywateli”; 17 proc.). To najbardziej prorosyjskie opinie w Europie Środkowej. Dla porównania: w Polsce na winę Rosji wskazuje rekordowe 85 proc., niewiele mniej na Litwie i Łotwie (odpowiednio 79 i 74 proc.), a w Czechach 71 proc.

W tym samym sondażu aż 50 proc. Słowaków wskazuje na USA jako na zagrożenie dla bezpieczeństwa swojego kraju, a 66 proc. uważa, że Waszyngton wciąga ich w wojnę z Rosją. Słowacy są też – w porównaniu z innymi – mało przekonani do członkostwa ich kraju w NATO. Gdyby referendum w tej sprawie odbyło się w 2022 r., za członkostwem głosowałoby 51 proc. (w badaniu prowadzonym na zlecenie NATO), podczas gdy średnia krajów członkowskich to 70 proc., a rekordzistką jest Polska (89 proc.). Równocześnie połowa Słowaków jest przeciwna pomaganiu Ukrainie.



TOMÁŠ BENEDIKOVIC /
ARCHIWUM PRYWATNE

DLACZEGO TAK JEST? Czemu Słowacy myślą inaczej niż Czesi i Polacy? O to, a także o możliwe zmiany na scenie politycznej Słowacji pytamy dr. hab. **MICHALA VAŠEČKA**. Ten słowacki socjolog (ur. 1972) zajmuje się społeczeństwem obywatelskim, migracją, mniejszościami i ekstremizmem. Wykładał w Bratysławie, Brnie i Nowym Jorku, prowadził badania w Londynie i Waszyngtonie. Jest dyrektorem Bratislava Policy Institute. © P B

Co się dzieje ze Słowacją

MICHAL VAŠEČKA:

Aż 55 procent Słowaków wierzy w teorię spiskową. To najwięcej w Europie. I klucz do zrozumienia tego, co się tu teraz dzieje.

PATRYCJA BUKALSKA: Prezydent Zuzana Čaputová ogłosiła, że w 2024 r. nie będzie ubiegać się o reelekcję. Jej kadencja to pandemia, wojna w Ukrainie, ciągłe konflikty w rządzie; przez cztery lata współpracowała aż z czterema premierami. Dziś krajem kieruje tzw. rząd techniczny, we wrześniu będą przedterminowe wybory. Czy decyzja Čaputovej, która cieszy się największym zaufaniem wśród polityków, to niespodzianka?

MICHAL VAŠEČKA: Spodziewałem się tego. Pamiętam Čaputová z czasów przed jej prezydenturą, gdy jako prawniczka działała na rzecz organizacji pozarządowych. Ona patrzy na świat inaczej niż większość polityków, unika konfrontacji, chce zrozumieć przeciwników. Tymczasem słowacka polityka potrafi być podła i wyjątkowo brutalna. Nie jestem pewny, czy Čaputová była przygotowana na ataki, których stała się celem. Do tego dochodzi fakt, że znaczna część słowackiej opcji antyeuropejskiej jest powiązana z Rosją. Strategia ataków na Čaputová jest przemyślana i – jak widać – skuteczna. Jej ochrony nie ułatwił fakt, że jako prezydent nadal mieszka w swoim domu w miasteczku Pezinok, 20 km od Bratysławy. Te ataki były brutalne i częste, tylko ona nie chciała o tym mówić publicznie.

Dziś wiemy, że były to groźby śmierci wobec niej i jej bliskich, informacje o rzekomo podłożonych bombach. Od polityków z parlamentu słyszała, że jest agentką USA i zdrajczynią. Mówił tak również były premier Robert Fico, który szykuje się do powrotu do władzy po wrześniowych wyborach.

Słowacja nie potrafiła ochronić swojej prezydent. Trudno mi pojąć, jak to możliwe.

Co teraz ze Słowacją? Czy decyzja Čaputovej zmobilizuje liberalnych wyborców?

Bardzo możliwe. Część społeczeństwa rzeczywiście może pomyśleć: „To bolesna strata,

teraz kolej na nas, by kontynuować obronę wartości demokratycznych”. Ale czy tak się stanie? Nie wiem.

Cofnijmy się do 2019 r.: Čaputová wygrywa wybory i wydaje się, że to początek sanacji państwa, której wtedy – po protestach wywołanych zabójstwem dziennikarza Jána Kuciaka – oczekuje wielu Słowaków. Jednak rok później macierzysta partia Čaputovej, Postępowa Słowacja, nie wchodzi do parlamentu. Co prawda Fico i jego partia Smer tracą władzę, wygrywa opozycja, ale jej rządy okazują się czasem chaosu. Czemu „efekt Čaputovej” wygaś tak szybko?

Čaputová wygrała na fali wielkich emocji po śmierci Kuciaka. Okazała się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu i we właściwym czasie. Przyniosła spokój, opanowanie. Wyborcy po raz pierwszy mogli sobie uświadomić, że aż tyle testosteronu w polityce nie jest potrzebne.

Tu widać różnicę między Słowakami a Czechami: Słowacy przejmują się tym, co myśli o nich świat. To, że w kraju jest nieporządek i chaos, jest dla nich mniej istotne, bo o tym wiemy tylko my – ważne, by za granicą Słowacja dobrze się prezentowała. Czesi na odwrót: im zależy na tym, co dzieje się w ich kraju, i nie interesuje ich, co ludzie z zewnątrz o nich pomyślą.

Słowacy głosowali na Čaputová także dlatego, bo chcieli, by ktoś dobrze reprezentował ich kraj i uważali, że taką prezydent wszyscy za granicą polubią. Wydaje mi się to nawet trochę mizoginiczne, taki stereotyp atrakcyjnej blondynki. Ale to działało. Na nią, polityczkę o liberalnych poglądach, głosowali nawet bardzo konserwatywni ludzie z północnej Orawy.

Była taką idealną głową państwa?

W gruncie rzeczy tak. Dotąd jest najbardziej popularną polityczką.



VLADIMÍR SIMÍČEK / AFP / EAST NEWS

Zuzana Čaputová przed spotkaniem z dziennikarzami po zaprzysiężeniu na prezydentkę Słowacji. Bratysława, 31 marca 2019 r.

Jednak zdecydowała się nie ubiegać o reelekcję.

Ma do tego prawo, choć trudno znaleźć w świecie polityka, który wycofuje się, mając wygraną w kieszeni. Čaputová wygrałaby z każdym z potencjalnych kontrkandydatów.

Tym większy cios dla jej zwolenników.

Reakcje są różne. Starsza generacja uważa, że ktoś, kto sprawuje urząd prezydenta, traci część wolności, staje się własnością narodu, musi wypełnić obowiązki do końca. To takie heroiczne spojrzenie. Ale tego heroicznego świata już nie ma i Čaputová w nim nie mieszka. Żyjemy w świecie postheroicznym, dla młodszego pokolenia praca to tylko praca, także praca polityka. „Ona kandydowała na pięć lat, nie na dziesięć, ma prawo odejść” – mówią młodzi.

Słowacja jest jednak w momencie zwrotnym. Zresztą Čaputová zdaje sobie z tego sprawę, w wywiadzie dla portalu Politico mówiła: „Widzę nie tylko polaryzację, ale i fragmentyzację naszego społeczeństwa”. To trafna diagnoza?

Tak, to jest już rozpad. Polska jest podzielona na dwa zwalczające się obozy, za to Słowacja jest sfragmentyzowana:

to kraj, który się rozkleja. Mamy chaos, który wywołała nie tylko pandemia, ale też rządy Igora Matoviča [stanął na czele koalicji rządzącej w 2020 r. – red.]. Kiedyś Vladimír Mečiar [autokratyczny premier w latach 90.; za jego rządów Słowacja wypadła z kolejki do NATO i UE – red.] i potem Robert Fico przynajmniej udawali, że wszystko funkcjonuje, a ludzie w to wierzyli. Teraz wszyscy widzą, że kraj nie funkcjonuje.

Co wyłoni się z tego chaosu? Co przyniosą wybory?

Nie wiemy. W parlamencie może być pięć partii, a może ich być nawet jedenaście – to dwa skrajne scenariusze, a dziś nie sposób przewidzieć, jak to się potoczy. Dziś sondaże sugerują, że wygra Fico, a jeśli tak będzie, kraj pójdzie w kierunku modelu węgierskiego. Możliwe, że Fico utworzy rząd razem z wywodzącą się ze środowisk nacjonalistycznych partią Republika, ze Słowacką Partią Narodową (SNS) oraz z populistyczną partią Jesteśmy Rodziną Borisa Kollára. Choć Kollár może nie przekroczyć wymaganego progu pięciu procent.

Ma problem, bo ujawniono, że w przeszłości dopuścił się przemocy wobec swojej ówczesnej partnerki. Tymczasem jego elektorat to głównie kobiety.

Dla Słowacji to dobrze, że on ma problemy, ale zakładam, że do parlamentu jednak wejdzie. Bardziej prawdopodobne, że SNS nie przekroczy progu. Wtedy Fico będzie mieć problem z utworzeniem większościowej koalicji.

Może dla Fico łatwiej byłoby utworzyć rząd z partią Hlas Petera Pellegriniego, jego dawnego współpracownika? Pellegrini jest na drugim miejscu w sondażach.

Pellegrini deklaruje, że nie chce współpracować z Fico. Ale może zmienić zdanie, gdy Fico zaoferuje mu stanowisko premiera, ponieważ sam widzi siebie w roli prezydenta. Fico i jego partia Smer potrzebują kogoś, kto będzie mieć kontrolę nad udzielaniem amnestii – to jest to, o co tutaj się gra.

W 2022 r. Fico i jego były minister Robert Kaliňák usłyszeli zarzuty założenia i kierowania zorganizowaną grupą przestępczą, nadużycia uprawnień i złamania tajemnicy podatkowej. Postępowanie umorzono z powodu nieprawdowości w śledztwie, Fico ma zresztą immunitet.

Tak czy siak, źle to wygląda. Nie wierzę, aby partie liberalne i prozachodnie cokolwiek teraz razem stworzyły.

→ **Fico zapowiada, że wstrzyma pomoc militarną dla Kijowa. Może liczyć na społeczny aplauz, skoro w sondażu Globsec jedynie 40 proc. Słowaków uważa, że winę za tę wojnę ponosi Rosja. Słowacja staje się prorosyjska i antynatowska.**

To nie jest tylko to jedno badanie, wszystkie badania to potwierdzają. W 2022 r., sześć tygodni po rosyjskiej inwazji, w sondażu Eurobarometru tylko 55 proc. Słowaków było skłonnych uznać odpowiedzialność Rosji. Średnia unijna wynosiła wtedy 78 proc. Wiele osób obarcza winą za takie nastroje rosyjską propagandę. To prawda, choć nie zgadzam się z tezą, że Słowacy są tej propagandy ofiarami. I bez niej przynależą do Wschodu, a nie do Zachodu.

Pamiętam czas, gdy pod koniec lat 90. XX w. Słowacja pod rządami Mečiaru nie weszła do NATO razem z Polską, Czechami i Węgrami. Potem władzę przejęła opozycja demokratyczna i z wielkim wysiłkiem próbowała te kraje dogonić. To się udało, przez chwilę Słowacja była postrzegana jako prymus środkowoeuropejski. Co się zmieniło?

Już wtedy część społeczeństwa była prorosyjska, tylko w przestrzeni publicznej to nie było tematem. Mečiar był zaprzeczony na Wschód i duża część Słowaków wraz z nim. Ten sentyment od zawsze był tutaj obecny. Już w XIX wieku Słowacja była prorosyjska, mimo – a może właśnie dlatego – że nigdy nie miała bezpośrednich kontaktów z Rosją. Polacy od stuleci walczyli z Rosją, co nie było udziałem Słowaków. Pierwszy bliższy kontakt nastąpił w 1944 r., gdy Rosjanie wkroczyli na Słowację i wsparli nasze powstanie przeciw Niemcom. Wcześniej nie byli tu obecni. Wbrew temu słowacka literatura romantyczna jest proveniencji panslawistycznej. Poniekąd wszyscy jesteśmy ofiarami tej orientacji jeszcze z czasów szkolnych, bo uczyliśmy się tej literatury.

Prorosyjskość Słowaków różni ich także od Czechów, z którymi do 1993 r. dzielili państwo.

Ta różnica zawsze była obecna, tylko dziś widać ją wyraźniej. Słowacja kształtowała się jako społeczeństwo plebejskie bez elit. Inteligencja i eksperci nie cie-

Gdybym siedział na Kremlu i chciał rozbić Europę Środkową, wszystkie środki inwestowałbym tu, **bo tu jest podatny grunt na propagandę.**

szą się tu uznaniem, za to gloryfikowana jest praca fizyczna. Słowackie społeczeństwo stworzyło swoje elity, ale ich nie szanuje, nie identyfikuje się z nimi. To społeczeństwo egalitarne, które zamknęło się w swoich górskich dolinach i woli trzymać się z daleka od świata.

Komunizm nie zraził Słowaków do Moskwy?

Większości aż tak bardzo nie przeszkadzało. To, co im przeszkadzało, to fakt, że nie mogli chodzić do kościoła i na pielgrzymki. I nie mogli podróżować. Za to doceniali państwo opiekuńcze. W porównaniu z Polską Słowacja – wówczas część Czechosłowacji – była dość zamożna. Propaganda powtarzała: jak się nie będziecie buntować, to wszystko będzie, a jak będziecie się buntować, będzie jak w Polsce, czyli nic nie będzie. Pamiętam dowcip z 1981 r.: „Jak można na Orawie złać polską telewizję? Trzeba położyć na antenie kielbasę”.

Fico wykorzystuje prorosyjskie sympatie. Choć nie kwestionuje otwarcie członkostwa w UE i NATO, podważa zaufanie do państwa, odwołując się do teorii spiskowych. W ten sposób atakował zresztą Čaputovą: że działa na zlecenie Sorosa.

Fico robi to systematycznie, brutalnie i łączy siły z ekstremistami. Myślałem, że mnie już niczym nie zadziwi. Ale ostatnio mnie zaskoczył, gdy wziął udział w wideorozmowie z antysemitą nazwiskiem Daniel Bombic.

Który mieszka w Wielkiej Brytanii – wydano za nim trzy nakazy aresztowania. Szerzy teorie spiskowe m.in. o pandemii, wyraża poglądy rasistowskie i prorosyjskie.

To nie jest taki sobie faszysta, jak ci od Mariana Kotleby [lider Partii Ludowej Na-

sza Słowacja, stracił mandat poselski po wyroku skazującym na sympatyzowanie z nazizmem – red.]. On jest bardziej niebezpieczny. Zaskoczyło mnie, że Fico z nim rozmawiał.

Niektórzy obawiają się, że skutkiem kampanii wyborczej może być dalsza erozja zaufania do państwa i demokracji.

To już się dzieje. W tej chwili połowa Słowaków nie wierzy, że wybory będą wolne. Połowa! W 1998 r., za rządów Mečiaru, były duże obawy, czy zorganizuje on wolne i uczciwe wybory. Ale zorganizował, choć w ich wyniku stracił władzę. Jeśli w ciągu ostatnich 30 lat Słowacja mogła być z czegoś dumna, to również z tego, że zawsze miała uczciwe wybory, choćby w porównaniu z Węgrami. Jednak teraz połowa społeczeństwa straciła wiarę w ich uczciwy przebieg. Miesiąc temu to było jeszcze 42 proc., więc widać, jakie jest tempo zachodzących zmian.

Przy tej okazji jesteśmy świadkami pomówień, które dotyczą firmy Eset, twórcy oprogramowania antywirusowego [ta międzynarodowa firma ma główną siedzibę w Bratysławie – red.]. Hasło rzucane tak po prostu brzmi, że to „nowy Soros”.

Firma Eset podkreśla, że nie ma nic wspólnego z liczeniem głosów.

Problem leży w tym, że aż 55 proc. Słowaków wierzy w teorie spiskowe. Żeby to wybrzmiało: większość słowackiego społeczeństwa wierzy w teorie spiskowe. To najwięcej w Europie. I klucz do zrozumienia tego, co się tu teraz dzieje.

Dlaczego tak jest?

Słowacja jest krajem technologicznie bardzo rozwiniętym, z superszybkim internetem, ale kulturowo tkwi w wieku XIX i nie chce z niego wyjść. Ponadto Słowacja jest celem Rosji. To dość oczywiste – gdybym siedział na Kremlu i chciał rozbić Europę Środkową, wszystkie środki inwestowałbym tutaj, bo tu jest podatny grunt dla propagandy i nasz kraj nie będzie się przed nią bronić. A jeśli pozyska się Słowację, to choć jest to mały kraj, może rozsądzić Europę, a NATO podzieli na część północną i południową. Wystarczy popatrzeć na mapę, by to zobaczyć. Słowacja może być jeszcze źródłem wielkich problemów.

© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA



NAOKI MAEDA / AFP

Eugenika po japońsku

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Mniej lub bardziej przymusowe sterylizacje kładą się cieniem na historii wielu krajów Zachodu. Dziś dyskutuje się o nich także w Japonii. Dlaczego tak późno?

SPOŚRÓD 25 TYSIĘCY STERYLIZACJI O CHARakterze eugenicznym, których dokonano na terenie Japonii w drugiej połowie XX w., dwie trzecie odbyło się bez zgody pacjenta. Prawną rękojmię procedu stanowiła ustawa z 1948 r., mająca „zapobiegać urodzeniom niskiej jakości potomstwa oraz chronić życie i zdrowie matki”. Tej mrocznej karty japońskiej historii dotyczy 1400-stronicowy raport, który 19 czerwca został upubliczniony przez parlament w Tokio.

STERYLIZACJI PODLEGAĆ MIAŁY osoby upośledzone umysłowo lub fizycznie, a także dotknięte chorobą dziedziczną. Opublikowane dokumenty wskazują, że kryteria te spełniał już nawet niedowład słuchu czy osteoporoza. Osoby zakwalifikowane na zabieg zwabiano do szpitala choćby pod pretekstem konieczności usunięcia wyrostka robaczkowego; najmłodszy pacjent miał dziewięć lat.

Niektórzy z poszkodowanych o faktycznej przyczynie swojej bezpłodności

mieli dowiedzieć się dopiero po latach. Byli i tacy, którzy pozostali jej nieświadomi aż do śmierci. Sterylizacja młodej osoby prowadziła często do osobistych tragedii w dorosłym życiu, np. gdy mąż opuszczał żonę, niemogącą wydać na świat potomstwa.

Z dzisiejszej perspektywy moralnie wątpliwe pozostają też liczne przypadki sterylizacji dokonanej za zgodą pacjenta. Choćby na prowincji, gdzie człowiek pozbawiony możliwości szerszych konsultacji gwałcił się pod autorytetem lekarskim bądź władz lokalnych. Na sterylizację godziło się też wielu dotkniętych chorobą Hansena, czyli trądem, dyskryminowanych w Japonii niemal do końca XX w. Lokowani byli na odległych wyspach w tzw. sanatoriach. Jeśli pozwalano im zawierać małżeństwa, to często dopiero po wyrażeniu zgody na zabieg.

EUGENIKA KŁADZIE SIĘ CIENIEM rzecz jasna nie tylko na japońskiej historii – proceder ten przywędrował w istocie na Daleki Wschód z Zachodu. Jednak ustawa z 1948 r. nosi też piętno czasu. W zrujnowanej i głodnej po II wojnie światowej Japonii, gdzie eksplozja demograficzna jawiła się jako realne zagrożenie, taka czy inna forma kontroli liczby urodzin trafiała na podatny grunt. Projekt ustawy eugenicznej przedłożyli co prawda socjaliści, lecz zyskał on aprobatę także pozostałych stronnictw politycznych. Sprzeciw, z powodów religijnych, zgłaszała tylko część konserwatystów.

Japonia oficjalnie zdelegalizowała eugenikę dopiero pół wieku później – w roku 1996, dwa lata po tym, gdy jedna z ofiar wyjawiała swoją historię na forum międzynarodowym. Spór o zadośćuczynienie ciągnie się jednak do dziś.

Prawnicy protestują przeciwko uchynieniu orzeczenia Sądu Rejonowego w Kobe, który nakazywał rządowi wypłatę odszkodowania niesłyszczącym osobom poddanym przymusowej sterylizacji. Osaka, 24 marca 2023 r.

Pierwszy raz winę władz uznał w 2019 r. premier Abe, mówiąc o „wielkim cierpieniu” osób dotkniętych tym procederem. W ramach odszkodowania każda z ofiar zyskała wtedy możliwość jednorazowej wypłaty od państwa 3,2 mln jenów (równowartość ok. 100 tys. zł). Wielu poszkodowanych uznało jednak tę kwotę za niewystarczającą i zaczęło składać, z różnym skutkiem, prywatne pozwy w lokalnych sądach.

O ile wśród ekspertów panuje dziś dość szeroki konsensus, że ustawa eugeniczna łamała konstytucję – np. jej artykuł mówiący o godności ludzkiej i prawie dążenia do szczęścia – to tylko część sądów nakazała wypłatę indywidualnych odszkodowań. Pozostałe jako przyczynę odmowy wskazywały na 20-letni okres przedawnienia czynu. Ostateczny werdykt w tej sprawie ma wydać dopiero Sąd Najwyższy.

DLACZEGO AŻ TYLE CZASU zabrało Japonii zmierzenie się z tym problemem? Być może czekano, aż sam się on rozwiąże. Co prawda ostatniej sterylizacji dokonano tu w 1993 r., ale zdecydowana ich większość miała miejsce ponad pół wieku temu – jej ofiary wykruszają się więc w naturalny sposób. Taka postawa koresponduje z dość typowym dla japońskiej administracji przemilczaniem niewygodnych tematów, wynikającym z awersji do publicznych sporów i ponoszenia odpowiedzialności za kontrowersyjne decyzje.

Nadzieje na korektę tej przypadłości czerpać można z faktu, iż Japonia chce prezentować się dziś jako jeden z filarów wolnego demokratycznego świata. Narzuca to na nią określone cywilizacyjne standardy, czego efekt widać po chęci ułożenia się z ofiarami swojej agresji z czasów II wojny światowej i lat wcześniejszych, czy też, jak ostatnio, po podniesieniu wieku zgodnej z prawem inicjacji seksualnej z 13 na 16 lat.

Rzetelne rozliczenie eugenicznego procederu sytuuje się jak najbardziej pośród tych standardów. ©



WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI / ANADOLU / GETTY IMAGES

Akcja ratownicza po ataku rakietowym na restaurację Ria w Kramatorsku. Ukraina, 27 czerwca 2023 r.

Jestem, by opowiadać

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI, FOTOREPORTER:

Tracisz nagle dwie córki, tracisz swoją przyszłość, całe swoje życie. Jak to ogarnąć? Ten dramat dotyka całe pokolenia.

JACEK TARAN: Rozmawiamy w 491 dniu inwazji. Ile z tych dni spędziłeś w Ukrainie?

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI: Nie liczyłem. Dużo. Sądzę, że w tym czasie byłem poza Ukrainą nieco ponad trzy miesiące. Pracuję cały czas głównie na wschodzie Ukrainy.

We wtorek 27 czerwca byłeś w Kramatorsku. Co tam się zdarzyło?

To pierwsze miasto poza linią frontu, gdzie można odpocząć, gdzie toczy się normalne życie, żołnierze przyjeżdżają tu spotkać się z rodzinami. To był właśnie taki zwyczajny spokojny dzień. Siedziałem w Rii. To jedna z najbardziej znanych restauracji w mieście, popularny punkt

spotkań wolontariuszy, dziennikarzy i żołnierzy. W okolicy nie ma obiektów wojskowych. O godzinie 19.30 uderzyła rakietą Iskander, zabiła 12 ludzi, raniła kilkadziesiąt. Zginęły m.in. dwie 14-letnie bliźniaczki.

Uczestniczyłeś przy ratowaniu rannych, ale robiłeś też zdjęcia.

Dopóki jesteś pierwszy na miejscu i masz umiejętności, które pozwalają pomagać, to w pierwszej kolejności jesteś człowiekiem, pomagasz. Nie wyobrażam sobie, żeby mając umiejętności paramedyczne nie nieść pomocy. Tam na miejscu zjawilo się szybko wielu ratowników, wtedy mogłem fotografować. Fotografuję, gdy moja pomoc nie jest już

potrzebna. To zawsze zależy od sytuacji, ale wyraźnie rozgraniczam moją pracę od pomagania. Jesteśmy przede wszystkim od tego, by informować, opowiadać o tej wojnie.

Zmarły niedawno amerykański pisarz Cormac McCarthy napisał w powieści „Droga”: „Co weszło w twoją głowę, już w niej zostaje”. Jak sobie radzisz z tymi obrazami? Zwłaszcza że to nie jest pierwsza wojna, którą dokumentujesz.

Każdy zbudowany jest z sumy doświadczeń, to nas albo buduje, albo niszczy. Staram się na tyle poukładać z samym sobą, aby moje doświadczenia mnie budowały. Inaczej niż większość Ukraińców, mogę po prostu wyjechać. Co mnie przeraża, to obrazy tego, co w tym kraju będzie długo widoczne. Te wszystkie rzeczy, z którymi ludzie będą musieli żyć. To będzie połamane społeczeństwo, zwłaszcza tam, gdzie wojna dotknęła je najbardziej.

Uważam, że aby relacjonować wojnę, trzeba być poukładanym wewnątrz i wiedzieć, po co chce się to robić. Trzeba być też uważnym na drugiego człowieka,

bo w jakimś stopniu bierzesz odpowiedzialność za jego historię. Ale trzeba być też świadomym, że wojna zostanie w tobie. Tak jak we wszystkich, którzy przez nią przechodzą.

A strach?

Czy się boję, czy się nie boję, to rzecz drugorzędna w sytuacji, gdy na co dzień giną tu ludzie. Jestem wychowany w tej szkole dziennikarstwa, gdzie się opowiada historię o człowieku, a nie jest się przedmiotem tej historii. Boli mnie, gdy czytam któryś z kolei post na Facebooku, że „mnie przeraziło, bo ta pani płakała i też się rozpląkałem, jak usłyszałem ich historię”. No to opowiedz tę historię! Opowiedz piętnaście takich historii! Niech ludzie to usłyszą, niech zaczną rozumieć, co się dzieje na miejscu, to wtedy może coś zacznie się zmieniać. Bo nic się nie zmieni od tego, że ty płaczesz.

W Kramatorsku zginęło siedmioro pracowników tej restauracji. Siedmioro młodych ludzi, którzy codziennie przechodzili do roboty, ciężko pracowali, by zarobić jakieś pieniądze. Wojna zabrała im przyszłość, a ich rodzinom zostawiła niemą pustkę. To największa tragedia i to tragedia tego miasta. Wyobraź sobie: wychodzisz z domu, tak jak te dwie dziewczynki, siostry, i po chwili już cię nie ma. Albo jak sobie poradzić z tym, że tracisz nagle dwie córki? Tracisz swoją przyszłość, całe swoje życie. Jak to ogarnąć?

Ten dramat dotyka całe pokolenie. Wojna niszczy relacje, niszczy przyszłość, rozwała rodziny.

Wierzysz, że to, co robisz, ma siłę zmiany tej rzeczywistości?

Wierzę w to głęboko i uważam, że ta wiara nie jest bezpodstawna. Opowiadanie takiej historii sprawia, że ktoś może się tylko wzruszyć, ale ktoś inny wpłaci 20 euro czy 20 złotych na organizację pomocową. W Kramatorsku zostali ranni moi znajomi, którzy mieszkali w tym samym hotelu, m.in. dwójka wolontariuszy z Holandii. Jeden z nich powiedział mi: „Stary, kiedy ta historia wyszła, to jak wcześniej nie mieliśmy w ogóle wpłat, teraz co minutę spływa nam 20 euro!”. Jesteś niby tylko trybikiem w maszynie, ale ten trybik może sprawić, że jak te zdjęcia wylądują na biurku któregoś prezydenta, to może ta historia zmusi go do myślenia.



94-letnia Anastazja Mezena podczas ewakuacji z miejscowości Czasiw Jar koło Bachmutu. Ukraina, 13 marca 2023 r.



Mieszkańcy Chersonia odbierają paczki z pomocą humanitarną kilka dni po wyzwoleniu miasta. Ukraina, 15 listopada 2022 r.

A w mniejszej skali – ktoś wpłaci pieniądze, by zorganizować pomoc psychologiczną.

World Central Kitchen dostarcza jedzenie w najgorsze rejony. Polska Misja Medyczna organizuje mobilne punkty pomocy w najbardziej zrujnowanych miejscach. Dziennikarze powinni być medium, opowiadać takie historie, żeby nie dać zapomnieć, że tu codziennie lecą rosyjskie rakiety, zabierają ludzkie życia. Żołnierzy i cywilów, których winą jest tylko to, że żyją tam, gdzie się urodzili.

© P Rozmawiał JACEK TARAN



MICHAŁ WARDĄ / MAT. PRASOWE

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI

(ur. 1980) jako fotoreporter wojenny pracował wcześniej w Libanie, Gruzji, Sudanie Południowym, Afganistanie. W 2009 r. był

laureatem III miejsca w konkursie World Press Photo za zdjęcia wykonane podczas wojny w Osetii Południowej. W 2023 r. jego fotografia ukraińskich ratowników wyciągających spod gruzów ocalałą kobietę otrzymała tytuł najlepszego zdjęcia roku w konkursie Grand Press Photo.

Sąd Rejonowy w Przysusze I Wydział Cywilny postanowieniem wydanym w dniu 23 marca 2023 roku w sprawie I Ns 187/18 nakazał wpłacić do depozytu sądowego kwotę 61,00 zł (sześćdziesiąt jeden złotych 00/100) tytułem wynagrodzenia za ustanowienie na rzecz każdorazowego właściciela działki nr 270/1 i 298 położonej w miejscowości Bąków, gm. Rusinów, dla której Sąd Rejonowy w Przysusze V Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr RA1P/00004152/1, służebności drogi koniecznej biegnącej od drogi publicznej oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 456 położonej w miejscowości Bąków, gm. Rusinów, pasem szerokości 3 (trzech) metrów, przez działki ewidencyjne nr 369, 356 i 299 położone w miejscowości Bąków, gm. Rusinów, a przedstawionej na mapie – Wariant „0”, sporządzonej przez biegłego sądowego w zakresie geodezji Tadeusza Szewczaka, zaewidencjonowanej w Starostwie Powiatowym w Przysusze w dniu 24.09.2021 r. za nr. P.1423.2021.1044, oznaczonej na tej mapie kolorem różowym jako służebność gruntowa SG0 o łącznej powierzchni 0,0080 ha (osiemdziesiąt metrów kwadratowych). Złożona do depozytu sądowego kwota zostanie wydana właścicielowi działki nr 356 położonej w miejscowości Bąków, gm. Rusinów, który będzie legitymował się dokumentem stwierdzającym jego własność.

Sąd Rejonowy w Gnieźnie Wydział I Cywilny zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 70/22 toczy się sprawa z wniosku Skarbu Państwa – Naczelnika Urzędu Skarbowego w Gnieźnie o stwierdzenie nabycia spadku po Leszku Szała, urodzonym 3 czerwca 1972 r., synu Zenona i Krystyny z d. Marciniak, zmarłym 16 kwietnia 2021 r. w Gnieźnie, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Gnieźnie; brak informacji o majątku.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, podali swoje miejsce zamieszkania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po Leszku Szała.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym toczy się postępowanie (sygn. akt I Ns 978/22) z wniosku Bartosza Piliszko o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia udziału 1/2 we współwłasności nieruchomości położonej w Brzeźnie, gmina Dorohusk, oznaczonej jako działka nr 771, o pow. 2,42 ha, dla której nie ma urzędzonej księgi wieczystej, znajdującej się w posiadaniu Bartosza Piliszko, Mariusza Piliszko i Ewy Piliszko.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Karoliny Piliszko, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia własności nieruchomości.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce Wydziałem I Cywilnym do sygn. akt I Ns 233/22 na wniosek Krystyny Sochackiej toczy się postępowanie o zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w miejscowości Bodzanów, działka ewidencyjna numer 722 o powierzchni 0,9679 ha, dla której nie ma urzędzonej księgi wieczystej – odpowiadającej części parceli gruntowej liczba katastralna 597 gminy katastralnej Bodzanów, objętej Lvh 306, gdzie prawo własności wpisane jest na rzecz Magdaleny z Wierchowskich Flakowej w 1/4 części, Władysławy Wrześniakówny w 1/2 części, Magdaleny Flak w 5/80 częściach, Kazimierza Flaka w 3/80 częściach, Marii Wieczorek w 3/80 częściach, Heleny Jachimczak w 3/80 częściach, Stanisława Flaka w 3/80 częściach, Anny Żmuda w 3/80 częściach.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tut. Sądzie i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności nieruchomości, jeśli zostanie udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Słubicach I Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie o sygnaturze akt I Ns 60/23 o stwierdzenie nabycia spadku po Eleonorze Sobieraj, córce Mieczysława i Eleonory, urodzonej w dniu 23.08.1948 r., zmarłej w dniu 24.12.2022 r. w miejscowości Skwierzyna, której ostatnim miejscem stałego pobytu były Słubice.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili i udowodnili swoje prawo do spadku, w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku; sąd nie ma informacji o składzie spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 727/20 toczy się postępowanie z wniosku Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „URSUS” o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Marii Bonieckiej, córce Andrzeja i Janiny, zmarłej 6 maja 2019 roku, ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ulicy Kenia 17.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie toczy się postępowanie z wniosku Gminy Karsin w sprawie o sygn. akt I Ns 169/23 o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Targaczewskiej, zmarłej dnia 13 maja 2020 r. w Cisewiu, ostatnio stale zamieszkałej w Cisewiu.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Marii Targaczewskiej, aby w terminie 6 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe prawo do spadku po niej pod rygorem rozpoznania sprawy bez ich udziału i pominięcia ich w dziedziczeniu.

JACEK

Podsiadło:

Niezwykłe przygody zagraniczników w Polsce



W PIERWSZYCH LATACH POWOJENNYCH z Zachodu przyjeżdżali do Polski wyłącznie szpiedzy. Jak śpiewał Kobuszewski: „Węszy, patrzy, śledzi, krąży, zjeść i wypić on nie zdąży! Co podłucha, to kabluje, czai się, fotografuje!”. Trzeba było od-

wilżyć, żeby zaczęły do nas przyjeżdżać osoby niewinne i sympatyczne jak Richard, czyli Rysio, kuzyn Jankowskich w „Wojnie domowej”, czy Włoszka z filmu „Dwa żebra Adama”. Bariera językowa tylko czasem ratowała Polaków od wpadnięcia w dzielącą ich od Europy kulturową przepaść. Na przyjazd „plafusa z Anglii” rodzinka Jankowskich ćwiczy wymowę *How do you do*. „I żelazna zasada – instruuje Alina Janowska – nie wolno odpowiadać detalicznie, tylko tak samo: *how do you do?*”. „To głupie” – zauważa trzeźwo Kwiatkowska, a Brusikiewicz ostrzega jeszcze: „I oni, proszę państwa, szalenie dużo się kąpią”. W „Dwóch żebach...” do wizyty Paoli Campobelli przygotowuje się całe miasteczko, wykupując zarówno spaghetti, jak i rozmówki polsko-włoskie. Te ostatnie okazują się zbędne przynajmniej dla handlarki włoszczyzną, która podawszy Paoli zamówione *due cavolfiori* i *un chilo di pomodori* stwierdza z uznaniem: „Mówi zupełnie dobrze po polsku, zdolny naród ci Włosi!”.

Rzeczywistość była mniej różowa. Była szara do samego końca lat 80. W opowiadaniu Józefa Hena, które posłużyło za kanwę scenariusza „Dwóch żeb...”, miejscowa kelnerka była pod takim wrażeniem przyjazdu Włoszki, że „oblizala palce z zupy, którą przed chwilą mi podała”. A Tessa Capponi, która za mężem przeprowadziła się z Florencji do Warszawy w czasie stanu wojennego, wspominała w rozmowie z Maciejem Stasińskim pierwszą wizytę w polskim supersamie: „Konserwy w occie, makaron szary jak błoto. Zabłocone pojemniki z kefirem w zabłoconych skrzynkach. Spytałam: »A gdzie będziemy robić zakupy?«. »Tutaj«. »Ale tu nic nie ma. Poza tym jest brudno. Niczego nie dotknę«”.

W 1973 r. „Przemiany” opublikowały fragmenty dziennika Andrzeja Litwina, kierownika kursu etnograficznego w Kielcach dla polonijnych działaczy kulturalno-oświatowych ze Stanów Zjednoczonych. Kurs był ciekawy, ponieważ działacze polonijni nie mówili po polsku, a Polacy nie znali angielskiego. „Przyjęliśmy zasadę: jak najmniej mówić – jak najwięcej pokazywać. Niech zobaczą, jaka jest ta nasza Polska. Do autokaru i na »dymarki« do Nowej Słupi. Niestety – czerwienię się ze wstydu. Brudno, stoiska puste, podpite wyrostki grają w kregle, wytop żelaza metodą sprzed 2000 lat coś się nie udało. (...) Oto sposób jedzenia drugiego dania (np. kotlet schabowy, ziemniaki, jarzyny). Trzymając nóż w prawej,

widelec w lewej ręce, odkrawają dwa, trzy kawałeczki mięsa. Następnie kładą nóż na brzeg talerza przed sobą, przekładają widelec do prawej ręki i wkładają do ust kolejno: mięso, potem mały kawałek ziemniaka, wreszcie jarzynę. Po chwili przekładają widelec do lewej ręki itd. (...) Dzisiaj rano pani Julia Graham z Nowego Jorku po raz trzeci powiedziała do mnie: »dziękuję«. Gdy zapytałem delikatnie – za co – okazało się, że była pewna, iż mówi do mnie »dzień dobry«”.

Bogaci zagranicznicy przyjeżdżali leczyć się z żyłki myśliwskiej podczas tzw. polowań dewizowych. Nazwa wzięła się stąd, że kiedy oni brali na cel polskiego dzika, polska dzicz brała na cel ich dewizy. Kobuszewski śpiewał w STS-ie i o tym: „Przybywaj cudzoziemcze na odstrzał jeleni, / jeszcze ci kiedyś w gardle stanie polski bekon, / a czysta wódka wnetrze w ogień ci zamieni, / my z dolarami twymi będziemy daleko”. Inni znów przyjeżdżali polować na polskie dziewczęta, tych tropił zawzięcie o7, dokuczając przy okazji podwładnemu: „Chciałby się pan nazywać Tino? Porucznik Tino Zubek...”.

O jednym z amatorów naszych gąsek, polującym, co najgorsze, bezdewizowo Portugalczyku Vincento Osculatim, śpiewała, pocieszana przez Starszych Panów („Zupełny łajdak. Cudzoziemiec szmata!”) Barbara Rylska: „Wykorzystał Portugalczyk mnie ze szczerem! / – Kto? – Vincento Osculati! / A kiedy wschód zaczął ciut złocić kwiaty, / powiedział mnie twardo, że, »Ne zaplati!«. Analiza językowa wypowiedzi Osculatiego wskazuje, że mógł to być podszywający się pod Portugalczyka Czechosłowak. Podszywanie się pod przybysza z „innego obszaru płatniczego” było sprawdzonym sposobem osiągnięcia wszelkich dóbr nieosiągalnych dla miejscowych. „Ja chcę kupić polski fiat handel finf und cwancys” – mówi w „Zmiennikach” Bronisław Pawlik udający „ważnego cudzoziemca”. I świetnie mu idzie, dopóki nie przyznaje, że chce go kupić za złotówki.

Alpha Konaré zanim został prezydentem Mali, studiował w Warszawie. W 2004 r. wspominał: „Wylądowaliśmy – moja żona i ja – pewnego wrześniowego dnia 1971 r. w Polsce. Tuż po przyjeździe doświadczyliśmy małego rozczarowania: pierwszą osobą, która zaczęła nas na lotnisku, był nielegalny handlarz walutą. (...) Dolecieliśmy późnym popołudniem, więc wzięliśmy taksówkę. Podałem taksówkarzowi banknot 100 zł. Wziął go ode mnie, ale przeczytałem na liczniku 18 zł. Powiedziałem więc »Nie« i wskazałem na banknot 100 zł oraz na licznik, aby podkreślić różnicę. Ale ponieważ nie chciał zrozumieć, krzyknąłem »Milicja, milicja!«. W tym momencie przestraszył się, wydał mi resztę i uciekł”. ©



LITEWSKIE LAZUROWE WYBRZEŻE

Słynie z zabytkowej drewnianej architektury,
która stylem przypomina polskie kurorty.
Kiedyś lato spędzali tu Witkiewicz, Rydel i Sienkiewicz.
Połaga: piękna, choć nie idealna.

MARTA PANAS-GOWORSKA I ANDRZEJ GOWORSKI Z POŁĄGI (LITWA)



Sauna na plaży w Połdże, 13 czerwca 2023 r.

WYOBRAŹMY SOBIE, ŻE JEST ROK 1901, mieszkamy w Warszawie i szykujemy się na wakacje nad morzem. Nie pojedziemy do żadnych Zoppotów czy innych pruskich kurortów, bo sprzeciwiamy się działaniom Hakaty, która germanizuje Polaków pod tamtejszym zaborem. Wybieramy zatem jedyny kurort, który był kiedyś w Rzeczypospolitej i nie znajduje się w Cesarstwie Niemieckim: to włącznie do Rosji Połaga, zwana też po litewsku Palangą.

Kartkujemy folder przygotowany przez Ignacego Świętochowskiego, miejscowego lekarza. Opisy walorów zdrowotnych zgłębimy potem. Naj-

pierw policzmy, ile to kosztuje. „Miesięcznie od osoby za pokój z całodziennym utrzymaniem i obsługą” przy „zakładzie kąpielowym” zapłacimy 75 rubli plus na te dni „obiady z czterech potraw” za 22 ruble (dzieci płacą połowę). A skoro będziemy musieli sami przygotowywać sobie śniadania, cenne są informacje Świętochowskiego, który podaje ceny masła (funt za 25-35 kopiejek) i jajek (10 sztuk za 20 kopiejek).

Na podstawie tych informacji i wyliczeń historyków można ustalić przelicznik – jeden rubel z 1901 r. to w roku 2023 równowartość ok. 56 zł. Tak więc nocleg za miesiąc to 4,2 tys. zł plus obiady za 1,2 tys. zł na osobę. Nieźle.

Połaga welcome to

My jednak ruszamy z rodziną, a czwórka dzieci z babcią zostaną na cały sezon, od 14 czerwca do 14 września. W tej sytuacji w willi Ursus możemy wynająć „cztery pokoje za 200 rubli”, a więc 11,2 tys. zł. Trzeba również zarezerwować budkę kąpielową za 6 rubli. Co prawda tańszy jest kosz, ale budka to minidomek na kołach, który wtacza się wprost do morza i później wyciąga końmi. Dla naszej gromadki – *must have*. Do tego opłata kąpielowa. Dorosły płaci 4 ruble, ale rodziny mają zniżkę: „mąż i żona 5 rubli”, dzieci do 14. roku po rubelku.

Życzliwy Świętochowski podpowiada, że należałoby jeszcze uwzględnić 14 rubli za powóz do Połagi z Lipawy albo Priekul, gdzie doprowadzono kolej żelazną. Można też jechać krótszą trasą z Warszawy przez Mławę, tam przekroczyć granicę z Prusami i dalej przez Olsztyn (niem. Allenstein) i Kłajpedę (Memel), skąd do Połagi zostaje 25 km dorożką. Trwałoby to nie tak długo, nawet jak na realia wieku XXI, bo 11 godzin. Ale „ujemną stroną tej marszruty – czytamy – jest konieczność zaopatrywania się w dwa paszporty”, „dla przyjazdu” i „dla powrotu”, lepiej wlec się naokoło przez Rosję.

Wyliczenia podkreślamy wężykiem. Wychodzi 550 rubli, dorzucimy jeszcze 250 na pociąg oraz już w Połdże śniadania, lody i bursztyny. Wychodzi 800 rubli, czyli 45 tys. zł. Gdybyśmy chcieli wyjazd skrócić do miesiąca, należałoby szykować 320 rubli (ok. 18 tys. zł).

Nasze Pont-Aven

Na początku XX w. Polacy wybierali Połagę nie tylko w geście sprzeciwu. Kusili warunki klimatyczne, „naczelné – jak pisał Świętochowski – na całem wybrzeżu Bałtyku”, a także polskojęzyczny personel kurortu. Równie silnie mogła przyciągać atmosfera tworzącej się tam nadmorskiej kolonii artystycznej.

W cenie wyjazdu do Połagi była bowiem dodatkowa atrakcja: możliwość spotkania twarzą w twarz ze spędzającymi tu lato Stanisławem Witkiewiczem, Lucjanem Rydlem, Tadeuszem Micińskim, Władysławem Reymontem czy Henrykiem Sienkiewiczem. Nie mieliśmy wcześniej w naszej historii takich nadmorskich miejsc i pozazdrościliśmy ich Francuzom, którzy od połowy XIX w. samorzutnie powoływali artystowskie

→ społeczności w Pont-Aven w Bretanii, a później w Prowansji.

Aby stało się to możliwe właśnie w Połędzie, musiało nałożyć się wiele czynników, których spisana historia sięga wieku XII (archeologowie pewnie przesunęliby ją o tysiąc lat i łączyli z dziejami bursztynowego szlaku). Pierwsza wzmianka o osadzie znajdującej się w tym miejscu pochodzi z 1161 r. z kroniki duńskiego króla Waldemara I, który przyплыł tu łupić Kurów. Lud ten, zwany też Kurszami, należał – tak jak Litwini, Żmudzini, Jaćwingowie czy Prusowie – do Bałtów, zamieszkujących południowo-wschodnie brzegi Bałtyku od co najmniej 2,5 tys. lat (pisał o tym już niejaki Pyteasz w 325 r. p.n.e. w dziele „O oceanie”).

Za datę powołania Połagi uważa się rok 1253, gdy nazwa Palanga pojawia się w dokumentach zakonu kawalerów mieczowych. Rycerze-zakonnicy toczyli tu srogie boje i byliby rozbici przez Bałtów, gdyby nie zakon krzyżacki, z którym w końcu się połączyli.

Przez kolejne dwa wieki losy tej nadmorskiej osady – słynącej z bursztynu i dużego portu – wykuwały się w ogniu walk. Echem tych wydarzeń są wersy z Mickiewiczowskiego poematu „Konrad Wallenrod”. Tam starzec „na wybrzeżach Połagi, / Gdzie grzmiącymi piersiami białe roztrąca się morze”, przyrównuje nadmorską łąkę do autochtonów, a piasek utożsamia z Krzyżakami i woła: „Nowa żwiru nasuwa się hydra, / Białe płetwy roztacza, łądy żyjące podbija”.

Sila legend, siła pieniądza

Mickiewicz, który gościł w Poładzie dwukrotnie (w roku 1821 i 1824), odwołuje się tu do ludowej etymologii, zgodnie z którą imię Palanga pochodzi od litewskiego *palangė*, czyli coś, co jest tuż pod oknem, bo do tej wysokości piach zasypywał rybackie chaty. Ale nie tylko to łączy kurort z „Konradem Wallenrodem”. W „Pieśni wajdeloty” czytamy: „O pieśni gminna, ty stoisz na straży / Narodowego pamiątek kościoła”. Według jednej z litewskich legend w Poładzie mieszkała wajdelotka, kapłanka bogini Praurimy, o imieniu Birusa. Ożenił się z nią syn Giedymina, Kiejstut, a z tego związku urodził się wielki książę Witold. Wszystkie zatem rody wywodzące się z Giedyminowiczów – w tym Jagiellonowie, Czartoryscy, Sangusko-

wie, Trubeccy – przynajmniej po kądzieli związane są z Poładą.

Znacznie większa Kłajpeda, która pojawiła się w krzyżackich kronikach tuż przed Poładą, nie miała tak wyrazistych legend. Rzecz jasna nie miało to wpływu na losy obu osad, ale z jakichś powodów to Połagę odbito od zakonu i nie podzieliła ona losu Kłajpedy, wcielonej do Prus Książęcych. W 1422 r. po pokoju mełnieńskim – kończącym kolejną przegraną przez Krzyżaków wojnę – przyszły kurort wszedł w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego i cieszył się opinią największego portu w państwie. Od unii lubelskiej (1569 r.) do trzeciego rozbioru (1795 r.) był tzw. królewsczyzną, dobrem monarchy Rzeczypospolitej. Z różnorakich spisów wiadomo, że Połaga miała wtedy kilkuset mieszkańców, głównie katolickich Żmudzinów, rybaków i zbieraczy bursztynu. Inaczej niż w pobliskich Prusach, od XVII w. mogli osiedlać się tu Żydzi, którzy rozwijali handel i rzemiosło.

Tym, co przesądziło o przemianie Połagi w kurort, stało się sprzedanie jej już po rozbiorach Tyszkiewiczom. Najpierw jednak przeszła z rąk biskupa Ignacego Massalskiego do Potockich i Niesiołowskich. Od Ksawerego Niesiołowskiego odkupił ją w 1824 r. Michał Tyszkiewicz. Za ziemię rozciągającą się na przestrzeni kilkunastu kilometrów, od ujścia rzeki Rąży do pruskiej granicy, samo miasteczko oraz co najmniej kilka setek okolicznych włościan zapłacił 177 171 rubli srebrem. Była to równowartość ówczesnych trzech kamienic w centrum Petersburga lub dziesięciu wsi z trzema tysiącami chłopów bądź też odpowiadałoby to 30 proc. sumy, jaką Tyszkiewicz dekadę wcześniej wyłożył na kupno zamku w Birzach.

Nadbałtyckie Zakopane

Mistrzynią opowieści o połaskim kurorcie jest historyczka sztuki Małgorzata Omilanowska. Autorka książki „Nadbałtyckie Zakopane. Połaga w czasach Tyszkiewiczów” (wyd. 2011) zastanawia się nad tu-tejszą architekturą i dociera nie tylko do małej historii mieszkańców, ale przez krokwie i ryzalitę zahacza o dzieje Europy.

Przykładem niech będzie styl norweski, który zyskał popularność w Poładzie w początkach lat 90. XIX w. Charakteryzował się techniką słupowo-szkieletową konstrukcji i „zamkowatą” formą oraz misternymi zdobieniami. Omilanowska

pisze, że gdy pruski cesarz Wilhelm II „konstruował alians z królem szwedzkim”, podczas wizyt w Skandynawii zafascynował się tamtejszym budownictwem i przeszczepił wzorce m.in. do Poczdamu i Prus Wschodnich. A jako że przy rozbudowie Połagi pracowali Niemcy z Kłajpedy, przynieśli oni tu projekty realizowane wcześniej w innych miejscach, także w stylu norweskim.

Wracając do historii kurortu. Z inicjatywy Michała Tyszkiewicza (1761-1839) zaczęto tworzenie jego podwalin – założono park, pojawiły się budki kąpielowe i pierwsze wille dla gości. Z relacji z końca lat 20. XIX w., autorstwa Tadeusza Bułharyna (rosyjskiego literata, Polaka z pochodzenia), wiadomo, że miasteczko pozostawało „skromne”, na stałe zamieszkane przez Żmudzinów i Żydów. Mimo to, deklarował reportażysta, w całej Europie nie było tak „szczęśliwej”, „uczciwej, dobrej i pracowitej” prowincji. Bułharynowi zawdzięczamy też ciekawostkę: pory, w jakich kąpały się kobiety, a w jakich mężczyźni, obwieszczal dźwięk bębna – plaża nie była koedukacyjna.

Krajobraz kulturowy

Po śmierci Michała połaskie dobra przypadły Józefowi (1835-1891), który, jak pisze Omilanowska, „nie docenił potencjału” tego miejsca. Dopiero pokolenie wnuków – Feliks Tyszkiewicz i jego rodzeństwo – pod koniec XIX w. przekształciło miasteczko i przyległości w prawdziwe uzdrowisko. „Rozplanowano nową dzielnicę willową, gdzie wzniesiono kilkadziesiąt willi i pensjonatów, założono park zdrojowy, zainwestowano w nową infrastrukturę, zatroszczono się też o życie kulturalne i rozrywki gości” – pisze Omilanowska.

Niestety nie zrealizowano dwóch najambitniejszych projektów: „ciepłych łazienek” z podgrzewaną morską wodą i „mielonymi wodorostami” (wzniesiono je w wersji okrojonej) i nowego kurhauzu (domu zdrojowego; miał się nazywać Kiejstut). Za jego projekt w stylu zakopiańskim odpowiadał Stanisław Witkiewicz. Najprawdopodobniej zabrakło pieniędzy.

Dziś możemy tylko żałować i powtórzyć za Omilanowską: „Wzniesienie najważniejszej budowli uzdrowiska w polskim stylu narodowym byłoby wpisaniem w krajobraz kulturowy tego miejsca łatwo czytelnego znaku o konotacjach



ARCHIWUM MAŁGORZATY OMILANOWSKIEJ x2

Willa Zofia; jej projekt był inspirowany XIX-wiecznymi wzorami niemieckimi z Wolgast nad Bałtykiem. Zwraca uwagę zindywidualizowana górna kondygnacja wieży z balkonem, dzięki czemu kojarzy się z latarnią morską. Widok historyczny.



Willa Biała, wzniesiona dla Michała Ogińskiego, inspirowana renesansową willą włoską. Widok historyczny.

politycznych i ideowych, a jednocześnie przyczyniłoby się do uznania stylu zakopiańskiego za polską alternatywę dla form ruskich, norweskich czy pruskich w drewnianej architekturze”.

Jak Łotysze się wycofali

Kurort w Połdze nie był utopią, raczej – powiedzielibyśmy – miejscem z krwi i kości, i nie ominęły go zawirowania historyczne. Tu wspomnijmy tylko o bitwie pod Połgą, która rozegrała się w maju 1831 r. podczas powstania listopadowego. Siły powstańcze zwyciężyły Rosjan i zamierzały wykorzystać tutejszy port do importu broni. Ostatecznie plany te spały na panewce.

W historii miasta jednak było też wydarzenie, którego nie tłumaczy się pragmatyką czy wojenną logiką. W 1918 r. Litwa i Łotwa proklamowały niepodległość – i obie oświadczyły, że Połga

należy się im. W Połdze stacjonowały wtedy łotewskie wojska i pozycja Rygi była silniejsza. Obie strony nie chciały referendum i przedłużał się pat ze wskazaniem na Łotwę. Kraje zwróciły się wtedy do szkockiego dyplomaty i przyrodnika Jamesa Younga Simpsona z prośbą o arbitraż i ten wskazał na Litwę jako kraj, który ma większe prawa do Połgi.

Łotysze się wycofali. Co było powodem oddania przez nich raz zajętych, a tak atrakcyjnych ziem? Niektórzy psychologizują i nazywają decyzję Rygi syndromem młodszego brata, który ustępuje starszemu, choć siła jest po jego stronie. Pewną rolę mogła odegrać też Polska, która w 1919 r. zrzekła się Inflant na rzecz Łotwy i wsparła Łotyszy w ich kampanii odbijania Łatgalii z rąk bolszewików. Otrzymałszy tę polską pomoc, Ryga ważyła się przed wsparciem Litwy w sporze

z Polską o Wilno – i możliwe, że Połgę oddano Litwinom w ramach swego rodzaju dobrej woli.

W efekcie 30 marca 1921 r. kurort oficjalnie znalazł się w granicach Litwy. Od tej daty tamtejszych hulaków i birbantów, „z nocnej [wracających] wycieczki”, można już było oficjalnie zagadywać frazą z „Konrada Wallenroda”: „Skąd Litwini wracali?”.

Na ruskich blachach

Warto przyjechać dziś do Połgi nie tylko dla unikalnej drewnianej architektury czy artystycznych reminiscencji. Przybyszów zaintryguje muzeum bursztynu w dawnym pałacu Tyszkiewiczów, które posiada m.in. trzy półkilogramowy Słoneczny Kamień, bursztyn, który kradziono już dwukrotnie. Zaciekawi też fakt, że właśnie w Połdze powstała słynna nalewka Trzy Dziewiątki – można zajrzeć do apteki, gdzie stworzono jej recepturę. Piękne jest tu morze i Świętochowski nie przesadzał, wychwalając walory przyrodnicze kurortu. Koneserów żywej historii zastanowi też sowiecki sznyt (z pretensjami do elegancji) nabrzeżnych straganów, gdzie prócz gruszki pięściarskiej są i szaszłyki na szampurach, i kącik Pugaczowej, i for-
tępian.

Mimo wszystko trudno w pełni cieszyć się tymi atrakcjami. Ceny pięknego hotelu z oknami wychodzącymi na neogotycki kościół nie pozwolą zatrzymać się tu dłużej niż parę dni. Poza tym Połga żyje z turystów i to 20-tysięczne miasteczko w sezonie rozdyma się niebotycznie. Przed 24 lutego 2022 r. część przybyszów stanowili zamożni Białorusini i Rosjanie – i zdawać by się mogło, że po tej dacie wszystko się zmieniło. Choć po przybyciu do Połgi w oczy rzuca się znikoma liczba ukraińskich flag, które gdzie indziej Litwini chętnie wywieszają, można by sądzić, że to skutki polityki wizualnej, by oblicze kurortu uczynić spójnym.

Ale oto środkiem deptaka idą głośni i podpici Nowi Ruscy. Jeden wykrzykuje przez telefon: „A, jesteś w Moskwie, a ja właśnie wyjechałem!”. Obok, w bocznej uliczce, mężczyzna przekonuje kobietę w samochodzie, że kupi jej nowe buty do biegania. Sądząc po rejestracji, też moskwiczanie.

© MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI

NA TROPIE CIEMNEJ MATERII

Pozostaje jedną z największych zagadek fizyki.
Wciąż nie wiemy, z czego miałyby się składać ani czy w ogóle istnieje.
Właśnie zaczynamy nową serię eksperymentów, które mają to wyjaśnić.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI



FRITZ ZWICKY MIAŁ WSZELKIE KWALIFIKACJE, by trafić do panteonu najbardziej celebrowanych fizyków XX stulecia. Jeśli szwajcarsko-czeski astronom nie jest zazwyczaj wymieniany w jednym szeregu z Albertem Einsteinem, Marią Skłodowską-Curie, Nielsem Bohrem, Maxem Planckiem czy Richardem Feynmanem, to zapewne dlatego, że oprócz talentu do uprawiania nauki miał też drugi, równie wyjątkowy – do zrażania do siebie wszystkich dookoła. Mówiąc wprost, był kosmicznie upierdliwy.

I tak z jednej strony to on stworzył termin „supernowa” i wypatrzył więcej (122) tych eksplozji gwiazd niż jakikolwiek inny astronom. Z drugiej, zapytany o osiągnięcia kolegów po fachu rzucił coś o „bezużytecznych śmieciach w przepastnych periodykach astronomicznych”. To on przewidział istnienie gwiazd neutronowych, ale miał też powiedzieć „astrono-

mowie to sferyczne dranie. Bez względu na to, jak na nich spojrzysz, to dranie”. Stworzył katalog galaktyk, który stał się jednym z podstawowych narzędzi dla jego następców, ale poprzedził go wstępem, w którym innych badaczy nazywał „lizusami” i „złodziejami”.

Słowem, współpraca z nim nie była łatwa. Ale to właśnie on w 1933 r. zdał sobie sprawę z tego, że ze Wszechświatem, albo raczej z naszym rozumieniem go, jest coś fundamentalnie nie tak.

Badając gromadę galaktyk Warkocza Bereniki, natknął się na poważną rozbieżność między teorią a obserwacjami. Galaktyki (wraz z tworzącymi je gwiazdami i planetami) nie pozostają w bezruchu, tylko pędzą przed siebie. Średnia prędkość galaktyk w gromadzie powinna być związana z ich łączną masą, bo każda galaktyka jest przyciągana grawitacją pozostałych. Ale gdy Zwicky porównał wy-

liczenia masy gromady przeprowadzone w oparciu o prędkości galaktyk, z wynikiem uzyskanym innym sposobem – na podstawie jasności gwiazd – okazało się, że ta pierwsza wartość jest wielokrotnie większa od drugiej.

Doszedł więc do wniosku, że gromada musi zawierać ogromną ilość niewidocznej materii, której przyciąganie powstrzymuje szybko poruszające się galaktyki przed rozprzecznięciem się w czeluściach Wszechświata. Nazwał ją „ciemną materią”. A ta okazała się jedną z największych zagadek Wszechświata.

Lot Euklidesa

Kilka odpowiedzi na pytanie o naturę ciemnej materii dać może najnowsze, przygotowane przez Europejską Agencję Kosmiczną obserwatorium Euclid. Kosmiczny teleskop, którego start planowany jest na 1 lipca, ma zmierzyć miliony galaktyk, badając ich kształt i jasność, by stworzyć mapę pokazującą to, jak we wszechświecie rozłożona jest materia. „Zwykłej” materii – tej, z której zbudowane są gwiazdy, planety i my sami – jest przeszło pięciokrotnie mniej niż owej ciemnej materii wykrytej przez Zwicky’ego. Jeszcze więcej w kosmosie jest tzw. ciemnej energii, która w nauce zadomowiła się jeszcze później i także nadal czeka na wyjaśnienie.

Mimo 70 lat poszukiwań nadal mało wiemy o ciemnej materii. Przede wszystkim to, że jest wszechobecna, że skupia się w ogromnych, otaczających galaktyki „obłokach” i że najprawdopodobniej jest „zimna” – tzn. jeśli, jak podejrzewamy, złożona jest z jakichś egzotycznych cząstek, to nie osiągają one wielkich prędkości.

Problemem jest to, że jest niezwykle introwertyczna. Wszystko wskazuje na to, że ciemna materia niemal nie oddziałuje na zwykłą – i odwrotnie. Nie dla niej rządzące światem atomów oddziaływania elektromagnetyczne czy silne. Według niektórych modeli ciemna materia może „rozmawiać” ze zwykłą za pomocą trzeciej z fundamentalnych sił, tzw. oddziaływania słabego, ale jedynym wynikiem z modeli pewnikiem jest to, że ma ona masę, a co za tym idzie – oddziałuje grawitacyjnie.

→

*Kosmiczny teleskop Euclid
Europejskiej Agencji Kosmicznej.
Cannes, wrzesień 2019 r.*



→ Nie mamy pewności, czy ciemna materia zbudowana jest z cząstek – a jeśli tak, to czy z jednego rodzaju, czy wielu. Część badaczy spekuluje, że w interakcjach z innymi cząstkami materii ciemne cząstki mogą posługiwać się piątym, nieznanym dotąd fundamentalnym oddziaływaniem. Że mogą tworzyć „mroczne atomy”, „mroczną chemię”, „mroczne gwiazdy” – drugi, ukryty przed naszymi oczami, wszechświat.

Wielkie obłoki ciemnej materii z naszego punktu widzenia nie robią jednak niemal nic. Po prostu są i grawitują. Ale ta grawitacja jest kluczowa. Tworzy rusztowanie dla całej struktury Wszechświata.

Mroczna menażeria

Mniej czy bardziej egzotycznych wyjaśnień fenomenowi ciemnej materii mamy zatrzęsienie. W 2005 r. Virginia Trimble, astronomka z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine, naliczyła ich 75.

Sam Zwicky początkowo uważał, że dla zaobserwowanego przez niego zjawiska musi istnieć inne, prostsze wyjaśnienie. Na przykład że „zaginiona” (niewidoczna, ale oddziałująca grawitacyjnie) masa Wszechświata może ukrywać się w obłokach międzygwiazdowego gazu. Gdy jednak w latach 50. radioastronomia rozwinęła się na tyle, że uczeni byli w stanie wykrywać zawieszone między gwiazdami atomy wodoru, okazało się, że jest ich zdecydowanie za mało. Kandydatami były też miniaturowe czarne dziury czy samotne „brązowe karły” – gwiazdopodobne kule gazowe, zbyt małe, by zostać prawdziwymi, świecącymi gwiazdami. Tych też nie ma jednak dostatecznie wiele.

Naukowcy zaczęli więc szukać czegoś nowego. Pierwszym kandydatem były neutrino – niezwykle szybkie i bardzo słabo oddziałujące cząstki elementarne, które, o czym już wtedy naukowcy byli przekonani, są jednymi z najpowszechniejszych elementów składowych kosmosu.

– Neutrino były pierwszymi faworytami na ciemną materię, bo wiedzieliśmy, że istnieją. Musiałyby mieć względnie niewielką masę, by spełniać wszystkie założenia wynikające z naszych obserwacji, więc aż do lat 80. były uważane za dobrego, bardzo „ekonomicznego” kandydata – tłumaczy „Tygodnikowi” prof. Frank Wilczek, zdobywca Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki z 2006 r. – Ale wraz

z pogłębianiem się naszej wiedzy na ich temat, a także wraz z udoskonalaniem naszych modeli formowania się struktury Wszechświata, neutrino przestały pasować. Okazuje się, że są zbyt lekkie. Po drugie, pod ich wpływem struktura Wszechświata formowałaby się nieco inaczej, niż miało to miejsce w rzeczywistości – dodaje prof. Wilczek.

Neutrino nie wypadły całkowicie z wyścigu, bo ich egzotyczna forma, tzw. neutrino sterylne, wciąż mogłyby stanowić część rozwiązania. Ale jako że nie udało się ich zaobserwować, alternatywne wyjaśnienia zaczęły się mnożyć. Niektóre zakładają, że ciemnej materii nie ma, a problemem jest to, że źle rozumiemy to, jak działa grawitacja. To np. tzw. modele zmodyfikowanej dynamiki newtonowskiej (MOND). Dość dobrze wyjaśniły one galaktyczne procesy na stosunkowo niewielkich skalach, mniej więcej jednej galaktyki, ale poniosły klęskę, gdy naukowcy starali się ekstrapolować wnioski na strukturę całego Wszechświata. Inne hipotezy zapępiały wszechświat egzotycznymi cząstkami i obiektami o wymyślnych nazwach. Mody na MACHO, DAEMON-y i inne przychodziły i odchodziły. Bardzo długo największą nadzieją na odnalezienie ciemnej materii były tzw. WIMP-y, czyli „słabo oddziałujące masywne cząstki”.

– To był bardzo dobry pomysł. Zakładał istnienie cząstek, które są bardzo masywne, ale oddziałują z resztą materii wyłącznie za pomocą tzw. oddziaływania słabego – tłumaczy prof. Wilczek.

WIMP-y powinny dawać się wykrywać sposobami, którymi dziś poszukujemy neutrino. Ale cały szereg eksperymentów, prowadzonych m.in. w Wielkim Zderzaczu Hadronów pod Genewą, nie przyniósł żadnych rezultatów. Wilczek, wraz z międzynarodowym zespołem badaczy, postanowił więc poszukać rozwiązania gdzie indziej.

Proszek do prania fizyki

Jeszcze w latach 70. XX w. fizycy zauważyli coś bardzo dziwnego w modelu standardowym – fizycznych ramach opisujących to, jak funkcjonuje cały znany nam świat cząstek subatomowych.

Silne oddziaływanie jądrowe, które wiąże kwarki, tworząc protony i neutrony, okazuje się w pewnym sensie „bardziej symetryczne”, niż przewiduje mo-

del standardowy. Jak wynika z pomiarów akceleratorowych, działa ono tak samo na cząstki, jak i na antycząstki, gdyby te ostatnie poddać lustrzanemu odbiciu. Innymi słowy, świat, w którym zastąpilibyśmy materię antymaterią oraz zamienili stronę lewą z prawą, wyglądałby dokładnie tak samo – przynajmniej gdy idzie o oddziaływanie silne. Sęk w tym, że model standardowy nie wyjaśnia, dlaczego. Choć ten problem (nazywany „silnym problemem CP”) brzmi dość ezoterycznie, to stanowi jedną z największych zagadek współczesnej fizyki.

W 1977 r. fizycy Helen Quinn i Roberto Peccei, pracujący na Uniwersytecie Stanforda, zdali sobie sprawę, że mogą rozwiązać problem w prosty i elegancki sposób, wzbogacając model standardowy o nową symetrię. Jak wkrótce wykazał Wilczek, wówczas 27-latek, z symetrii tej musi wynikać istnienie nowej cząstki. A jako że ta cząstka miała „wyczyścić” problem z modelem standardowym, fizyk nazwał ją „aksonem”, na cześć nazwy popularnego proszku do prania.

– Aksjony były próbą wyjaśnienia tajemniczych właściwości modelu standardowego. Mają niezwykle własności. Są bardzo lekkie i bardzo słabo wchodzi w interakcje z innymi cząstkami – tłumaczy prof. Wilczek. – Z perspektywy czasu niezwykle jest to, że wówczas nikt nie myślał o nich z punktu widzenia kosmologii, ale w tamtych czasach kosmologia była nieco podejrzliwie traktowana przez badaczy pracujących nad fundamentalną fizyką, ponieważ dostępne metody pomiarowe były raczej prymitywne.

Początkowo aksjony nie wzbudziły wielkiego zainteresowania jako kandydat na ciemną materię, bo są znacznie lżejsze od WIMP-ów. Jednakże zgodnie z modelami musiałyby one istnieć w tak ogromnych ilościach, że fizycy wkrótce zdali sobie sprawę, że mogą wyjaśnić znaczną część „brakującej” masy Wszechświata. Ba, niektóre symulacje wskazują, że przy pewnych właściwościach mogłoby ich być wręcz zbyt wiele, co rodziłoby kolejny problem.

– Modele dynamiki aksjonu wskazują, że może on tworzyć „zawieszinę” cząstek przenikających cały Wszechświat – mówi Wilczek. – Ma jednocześnie dokładnie takie właściwości, jakie miałyby mieć ciemna materia. Niezwykle było to, że rozwiązując jeden problem, znaleźli-

śmy odpowiedź na inny, z którego nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy.

Radio Aksjon

Oczywiście pozostaje jeszcze jeden detal. Aksjonów także nie udało nam się dotąd zaobserwować. Przynajmniej bezpośrednio.

Na początku czerwca tego roku zespół kierowany przez Keira Rogersa z Uniwersytetu Toronto zaprezentował jednak wyniki badań, które wydają się pokazywać, że Wilczek jest na właściwej drodze. Zamiast szukać aksjonów bezpośrednio, badacze przyjrzeni się strukturze Wszechświata. Sprawdzali, jak bardzo materia we Wszechświecie się „zbryla”. Okazało się, że jest ona rozłożona zdecydowanie bardziej równomiernie, niż oczekiwano. A to zgadza się z symulacjami ewolucji Wszechświata zakładającymi, że to właśnie te superlekkie cząstki stanowią „brakującą” materię.

„Jeśli te wyniki zostaną potwierdzone przez przyszłe obserwacje teleskopowe i eksperymenty laboratoryjne, odkrycie ciemnej materii aksjonowej byłoby jednym z najważniejszych osiągnięć naukowych tego stulecia”, stwierdził Rogers. A pomysłów na podglądanie i podsłuchiwanie aksjonów jest coraz więcej. Dwa wielkie eksperymenty są o krok od startu.

– Długo wydawało się, że perspektywa przetestowania naszej hipotezy jest bardzo odległa, bo oddziaływania aksjonów są bardzo, bardzo słabe – stwierdza Wilczek. – Ale stopniowo ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę, że możliwe jest stworzenie wystarczająco czułych detektorów.

Sam Wilczek pracuje właśnie nad instrumentem, który poszukiwania aksjonów ma rozpocząć już za rok. Eksperyment ALPHA wspólnie realizują naukowcy z MIT, Uniwersytetu Sztokholmskiego, Laboratorium Oak Ridge i kilku innych instytucji naukowych.

Aksjonów szuka się trochę tak jak programu radiowego – żeby je znaleźć, trzeba mieć odpowiednią antenę i wybrać właściwą częstotliwość. W tym przypadku precyzja jest niezwykle istotna, bo sygnał ciemnej materii byłby bardzo słaby. „Anteną” będzie tu tzw. halooskop plazmowy, czyli specjalnie zaprojektowany cylinder wypełniony plazmą, umieszczony w silnym, odpowiednio dostrójonym polu magnetycznym. Hipotetyczne aksjony, przelatując przez takie



PROF. FRANK WILCZEK:

Zgodnie z naszymi modelami aksjony powinny tworzyć zawieszoną cząstkę przenikających cały Wszechświat. I mają takie właściwości, jakich spodziewamy się po ciemnej materii.

urządzenie, wprawiałyby plazmę w dające się wykryć oscylacje.

– To zdecydowanie nie jest mały eksperyment. Potrzebujemy silnego pola magnetycznego i dużej objętości, która pozwala nam wyłowić sygnał. Musimy mieć też bardzo ciche otoczenie, które nie zagłuszy szukanego przez nas sygnału – mówi prof. Wilczek. – Nie wiemy jednak, jakiej częstotliwości szukamy ani czy to tylko jedna częstotliwość. Teoria daje nam pewien zakres możliwości, musimy więc stworzyć odbiornik, który będzie można dostrajać, przeszukując je wszystkie. To jednak duże wyzwanie inżynierskie – dodaje noblista.

Wyzwanie, które jest już niemal przezwyciężone. Zbudowane w Niemczech magnesy są już w drodze do USA. Tam, w Narodowym Laboratorium Oak Ridge, powstaje całe urządzenie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pierwsze próby dostrójenia się do mrocznego radia mogą ruszyć za niespełna rok.

– Już samo wykrycie sygnału byłoby otwarciem zupełnie nowego okna na Wszechświat – podkreśla Wilczek. – Ale gdy odnajdziemy właściwą częstotliwość, eksperymenty staną się prostsze, a my będziemy mogli zacząć zadawać bardziej wyrafinowane pytania. Czy ten sygnał wykazuje jakąś strukturę? Czy dociera do nas z różnych stron?

Latarką przez ścianę

Twórca terminu „aksjon” nie jest jedynym, który szuka tajemniczych cząstek. Europejscy badacze mają nad Wilczkiem rok przewagi.

Najczulszy jak dotąd detektor ciemnej materii ruszył bowiem w maju, w mieszczącym się w Hamburgu ośrodku badawczym DESY. Prowadzony tam eksperyment ALPS II również poszukuje aksjonów, robi to jednak w zupełnie inny sposób.

Matematyczne modele wskazują na to, że w silnym polu magnetycznym możemy wytwarzać aksjony sztucznie. W wystarczająco silnym polu magnetycznym foton, czyli cząstka światła, może przeobrazić się w aksjon i odwrotnie – oczywiście, o ile modele są poprawne.

Jako że w przeciwieństwie do fotonów aksjony nic nie robią sobie z fizycznych przeszkód, niemiecki eksperyment to w zasadzie próba poświecenia latarką przez litą ścianę. Promień lasera skierowanego na nieprzezroczystą przeszkodę poddany będzie działaniu silnych magnesów. Po przejściu przez ścianę druga, bliźniacza bateria magnesów będzie czyhać na jakąkolwiek cząstkę, która mogłaby przebić się przez przeszkodę. Jeśli więc po drugiej stronie pojawi się światło, naukowcy będą mieli mocne powody, by podejrzewać, że pole magnetyczne sprawiło, iż to właśnie aksjon, „wyprodukowany” przed przeszkodą, ponownie przeobraził się w foton.

Tyle że prawdopodobieństwo wystąpienia takiego zjawiska jest niezwykle małe. „Mimo wszystkich sztuczek technicznych, jakie stosujemy, prawdopodobieństwo jest mniej więcej takie, jak rzucenie 33 kostkami do gry jednocześnie i otrzymanie jednakowego wyniku na wszystkich” – stwierdził lider projektu Axel Lindner.

Warto jednak rzucać tymi kośćmi, bo gra toczy się o coś więcej niż tylko rozwiązanie liczącej niemal sto lat zagadki brakującej materii. Podobnie jak detekcja fal grawitacyjnych, dokonana w 2015 r. przez obserwatoria LIGO i Virgo, wykrycie aksjonów pozwoliłoby nam spojrzeć na Wszechświat w nowy, niedostępny wcześniej sposób. Co, oczywiście, może rodzić kolejne zagadki. I doprowadzić do odkrycia nowych, fundamentalnych praw rządzących Wszechświatem.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PANIKARZ LIRYCZNY

EWA LIPSKA, POETKA:

Liryka kocha sytuacje ekstremalne i może dlatego liczba poetów na świecie nie maleje. Chyba że zastąpi ich sztuczna inteligencja. Już próbuje, ale nie słysząc w tym bicia serca. Jeszcze.

ZDJĘCIA: GRAŻYNA MAKARA

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Naprawdę sklep rybny może być źródłem inspiracji?

EWA LIPSKA: Oczywiście, przecież to wyspa surrealizmu. Jakbyś odwróciła do góry nogami morze. Podróż w magiczny świat. Ryby przezroczyste, fantazyjnie kolorowe, strojne, które mogłyby konkurować z największymi domami mody. Nigdy nie nurkowałam, ale oglądałam wiele filmów z tej niezwykłej krainy.

W latach 90. przebywałam często w Kopenhadze, u mojej tłumaczki, niestety już nieżyjącej Janiny Katz. Wyjazdy te wiązały się z promocjami moich duńskich książek. Janka współpracowała wtedy z pewnym niszowym pisemkiem i namówiła mnie do pisania krótkich impresji związanych z pobytem w tym miłym mieście. I tak powstały „Goldbergi”

Rozumiem, że chodziło o wariacje, bo z tym się Goldberg powszechnie kojarzy.

Na ich pierwszy plan wysunął się właśnie sklep rybny na Haraldsgade, z małowicznymi odmianami ośmiornic, ostryg, krabów i innych latających ryb. Większość z nich żyła, co dodatkowo sprzyjało mojej wyobraźni. Janka tłumaczyła moje felietoniki na język duński i tak powstało ich kilka. Ale w końcu pismo przestało



istnieć i zabawa w Goldbergi też się skończyła. Po latach je odnalazłam i pomyślałam, że może warto by ten rodzaj zabawy kontynuować. Wierszy już od jakiegoś czasu nie piszę, uznałam, że zaprzyjaźnię się z inną formą.

Ale Goldberg należał już do Danii, stąd wziął się pomysł na Geldberga – już z całkiem inną literacką scenografią.

Literówka, a tyle zmienia.

Ale świadoma... Tytuł mojej nowej książki brzmi: „Wariacje Geldbergowskie”. Literówki prowadzą czasem do nieoczekiwanych odkryć. Kilka dni temu młody poeta przeproszał mnie, że w liście do mnie zdarzyła mu się literówka, której zresztą nie zauważyłam. Odpisałam mu, parafrazując Nietzschego, że życie bez literówek byłoby pomyłką. Odpowiedział zabawnie: „pradwa”, co mi się bardzo spodobało.

W polskim Geldbergu mało jest ryb.

Jakie tu były inspiracje?

Całe moje życie. Obserwacje z różnych miejsc i czasów. Żadne tam platońskie siły nadprzyrodzone, ale czasem brutalna rzeczywistość. Ja już długo żyję na tym świecie i „rozszefrowuję” go od lat.

Wnioski?

Wcale nie smutne... Przyjmuję świat taki, jaki jest, z wszystkimi jego kolorami, z pięknem i brzydotą. „Z czego powstałeś, zależy od genetyki – w co się obrócisz, od polityki”, podsumował kiedyś żartobliwie Stanisław Jerzy Lec. Zapewniam cię, że każdy inny świat będzie miał swoje dobre i złe strony.

I te wszystkie spostrzeżenia zapisujesz w zeszytach, które leżą na stole? Masz piękne pismo!

To resztką urody, jaka mi została, bo pismo też zmienia się z wiekiem. Litery stają się niepewne, niezdarne, niepasujące do siebie. Obserwowałam to czasami u moich starszych kolegów. U Wiślawy było ono niezmiennie, lecz u innych słabło. A wracając do zeszytów: całe życie robię notatki, już pewnie sama jestem notatką. Po jakimś czasie do nich zaglądam, niektóre wyrzucam, inne czekają na swoje drugie życie.

Przeszyszałam się, że zarzuciłaś pisanie poezji?

Jakiś rozdział się skończył. Wydałam dużo tomów poezji. Teraz rozchodzą się po świecie. Wiesz, to jest tak jak z dziećmi; do-

rosły, odeszły, żyją w innych językach. Powoli przestałam się mieścić w ascetycznej formie wiersza. Stąd proza. Ona oczywiście też jest poetycka, ale stwarza wiele innych możliwości. To jak z muzyką, która daje mi coraz więcej powietrza. Jest niczym tusz, który zmywa ze mnie brudy rzeczywistości. Ktoś kiedyś powiedział, że muzyka to strefa pośrednia między światem materialnym a królestwem „czystej woli” Schopenhauera.

Sama grasz?

Niestety, nie znam nut, nie gram na żadnym instrumencie, jestem jedynie słuchaczem. Kiedy pracowałam w Wiedniu, korzystałam z wejściówek do Musikverein. Miałam miejsca za orkiestrą, skąd można podziwiać dyrygentów, ich komunikację z orkiestrą, mimikę, gesty. Mój ulubiony dyrygent, Daniel Barenboim, uważał, że muzyka z jednej strony daje możliwość ucieczki przed życiem, a z drugiej znacznie lepszą niż inne dyscypliny możliwość zrozumienia życia. Założył w 1999 r. wraz z palestyńsko-amerykańskim teoretykiem literatury Edwardem Saidem West-Eastern Divan Orchestra – młodzieżową orkiestrę m.in. z muzykami arabskimi i żydowskimi, wychodząc z założenia, że „muzyka łagodzi obyczaje”. Czy literatura też łagodzi, co sądzisz?

Bywa, że łagodzi, do tego lekkie pióro mają Czesi, w tym mój ukochany Ota Pavel. Ale bywa, że w ekstremistach religijnych uruchamia przemoc, jak choćby lektura „Uległości” Houellebecqa.

No popatrz, jak szybko przeszłam z literatury do muzyki. Chyba już gram w jakiejś orkiestrze, tylko o tym nie wiem. To swego rodzaju eskapizm, ucieczka w świat muzycznej iluzji. Ostatnio mecenas Kłys podrzucił mi ciekawe wykonania Bacha; jego zbiory muzyczne, nie mówiąc o słynnych głośnikach, są imponujące.

A Twoje zbiory?

Skromne. Mój metraż, jak widzisz, nie należy do największych.

Wyższość muzyki nad literaturą zasadza się też na tym, że dźwięk nie potrzebuje tłumacza?

Muzykę „czyta” każdy, niezależnie od miejsca zamieszkania, bo ona posługuje się językiem międzynarodowym. Z literaturą jest gorzej. Przywołana już w naszej rozmowie

EWA LIPSKA (ur. 1945) jest poetką. Autorka wielu tomów wierszy. Od 1991 do 1997 r. pracowała w polskiej ambasadzie w Wiedniu, kierując tamtejszym Instytutem Polskim. Uhonorowana wieloma nagrodami za twórczość literacką. Niedawno nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazał się jej wybór małych próz pt. „Wariacje Geldbergowskie”.

→ Janka Katz dzwoniła do mnie czasem i mówiła: „wiesz, te wersy są nieprzetłumaczalne, musiałam je zmienić, bo po duńsku się nie da”. Dlatego uważam, że książki, które wychodzą za granicą, nie są już tylko moje, są „nasze”, to znaczy moje i tłumacza. To jest zupełnie inna przystępność, nieporównywalna z muzyką.

Napisiałaś kiedyś nawet wiersz pt. „Moi tłumacze”.

To podziękowanie. Moich tłumaczy zawsze porównuję do lingwistycznych lino-skoczków. Trzeba być wyjątkowym wielbicielem poezji albo szaleńcem, a najlepiej jednym i drugim, by tłumaczyć wiersze. To jest wciąż wspaniała grupa ludzi, do której dołączają młodzi entuzjaści. Zresztą my, w Polsce, też mamy znakomitych tłumaczy, dzięki którym poznawaliśmy światowe arcydzieła.

Nie daje mi spokoju Twój rozwód z poezją. Może wynika i z tego, że liryka nie przystoi do brutalności świata?

Wręcz przeciwnie. Liryka kocha sytuacje ekstremalne i może dlatego liczba poetów na świecie nie maleje. Chyba że zastąpi ich sztuczna inteligencja. Takie próby już powstają, ale te wiersze mają jakieś „żelazne tętno”, czegoś w nich brak. Nie słysząc bicia serca. Jeszcze. Może to się też zmieni. I nie będzie już chodzić o bicie serca? Widziałam ostatnio film dokumentalny z Japonii o śmierci metalowych psów i pogrzebowych ceremoniach. Psy roboty zachowywały się jak „żywe” i dopóki „weterynarzom” udawało się je naprawiać, wymieniając kolejne śrubki, wszystko było w porządku. Ale nawet przy wielkiej miłości właścicieli nadszedł czas, że już nic więcej nie dało się zrobić i psa można było tylko oddać na złom. Japończycy postanowili chować je na cmentarzach, odprowadzając nabożeństwa, śpiewając pieśni. Są przemówienia, leją się łzy.

Dlaczego człowiek woli sztuczne od prawdziwego?

Wyobraź sobie, że współpracujesz z robotem. Przygotowuje ci śniadanie i podaje do łóżka, uśmiechając się różowymi żaróweczkami. I tak codziennie. Po kilku miesiącach już go lubisz. Może nawet byłoby ci trudno bez niego żyć? Wymieniasz mu czule baterie, odkurzasz go,



Wydałam dużo tomów poezji. Teraz rozchodzą się po świecie. Wiesz, to jest tak jak z dziećmi; dorosły, odeszły, żyją w innych językach.

Powoli przestałam się mieścić w ascetycznej formie wiersza.

sprawdzasz, czy śpi, kiedy go wyłączasz. Na tym to polega. Przyzwyczajamy się. Roboty, poza ich głównymi zajęciami, mogą być pomocne w domach opieki, łagodzić samotność. To AI wymyślone jest tak, aby być twoim *alter ego*. I dlatego tak łatwo wpaść w te sidła. Czy to złe, czy dobre? Nie wiem. Pokaże czas. Sztuczna inteligencja może nas pokochać, ale może też znienawidzić. Wielkie odkrycia rodziły się zawsze w niepewności. W końcu rad nadal służy do leczenia raka i do tworzenia bomby wodorowej.

Ale dlaczego człowiek woli robota od żywej istoty?

Pewnie dlatego, że tak jest wygodniej. Nie karmisz, nie masz kłopotu z chorobami, wymiana śrubek to jednak inny rodzaj zabiegów. Grasz w szachy z kimś, kto nie marudzi. Wydaje się nam, że sztuczna inteligencja będzie zawsze taka, jak chce człowiek. Problem w tym, że już tak nie

jest, bo podobno sieci neuronowe potrafią tworzyć nowe, samoistne informacje, kombinują po prostu... I tu mam pewne obawy, ale ja w końcu jestem tylko lirycznym panikarzem.

Liryczny panikarz wie, czy coś nas może uratować?

Czytanie? Dobrze, że jeszcze ktoś czyta. Przypomina mi się rozmowa Philipa Rotha z Ivanem Klímą, prozaikiem czeskim, któremu władze komunistycznej Czechosłowacji zakazały publikowania książek. Dopiero w 1990 r. zaczęły się znowu ukazywać i w tym samym roku Roth go odwiedził. Do księgarni ustawiały się kolejki. Roth w którymś momencie pyta go, co będzie z tą gospodarką rynkową, o której mówi rząd, i co będzie za pięć, dziesięć lat ze skomercjalizowaną kulturą, czy gospodarka sobie z nią poradzi. I sam odpowiada na to pytanie... Ale poczekaj, muszę znaleźć tę książkę, bo coś przekręcę... O, mam: „Kiedy Czechosłowacja stanie się wolnym, demokratycznym społeczeństwem konsumpcyjnym, wami, pisarzami będą poniewierać nowi adwersarze, przed którymi, paradoksalnie, bronił was sterylny totalitaryzm... Mówię o zjawisku, które strywalizuje wszystko – komercyjnej telewizji... Witajcie w Świecie Totalnej Rozrywki”.

Pocisk śmiercionośny wymierzony w kulturę wysoką?

Chodzi o to, aby było szybko, łatwo, przyjemnie, a przede wszystkim, aby jak najwięcej zarobić. Obrazy wojny, która dzieje się obok nas, przekładane są reklamami kabanosów, proszku do prania czy kremu przeciwzmarszczkowego.

Ale czy to coś nowego?

Pytasz mnie, czy w Imperium Romanum korzystano z reklamy? Podobno w Pompejach odkryto jakieś mozaiki, na których właściciel reklamował różne gatunki sosów...

I to wszystko ma być wina polityki?

Martwi mnie sytuacja polityczna, martwi mnie sytuacja prawna, martwi mnie stosunek do kobiet, do mniejszości seksualnych i powolne odchodzenie od demokracji. Jesteśmy skłóceni z całą Europą, a za ścianą mamy wojnę.

Nie umiemy korzystać z wolności?

Geldberg wie, że myśli należy od czasu do czasu zamrozić. Człowiek bezmyślny staje się władcą Pustki. Pustka zyskuje na czasie i jest pełna niczego. Nie ma rąk, które duszą nas o trzeciej nad ranem, obciążając wszystkimi grzechami świata. Po rozmrożeniu myśli nie tracą na wartości i znowu zaczynają korzystać z witamin piekła.

Geldberg podejrzewa, że jest zespołem wad wrodzonych. Czuje przedwczesne starzenie w układzie krwionośnym czasu. Płaci wysokie rachunki za lęk. Nie może pogodzić się z politycznymi wadami wymowy. Dlatego na bezdechu nocy ogląda nieme filmy i włóczy się po opuszczonych fabrykach broni i miłości. Rewolwer zawsze położony na sercu. Ponieważ należy do grupy ryzyka, postanawia żyć dłużej niż życie.

Fragmenty z „Wariacji Geldbergowskich” (Wydawnictwo Literackie 2023)

Zawsze z tą wolnością mieliśmy kłopoty i nieodpowiedzialnie przy niej majstrujemy. Ludziom się lepiej powodzi i nie zastanawiają się nad trójpodziałem władzy czy wolnością mediów. Ale to wszystko do czasu. Warto wracać do słów Mariana Turskiego: „Nie bądźcie obojętni, kiedy widzicie, że przeszłość jest naciągana na poczet aktualnej polityki. Nie bądźcie obojętni, kiedy jakakolwiek mniejszość jest dyskryminowana... Auschwitz nie spadło z nieba”.

Gdy jeździłam do Wiednia starą trasą, przez Cieszyn, to w Czeskim Cieszynie bardziej czułam się już na Zachodzie. Może dlatego, że lubię ten czesko-hrabalowski stosunek do życia czy humor twojego i mojego Oty Pavla. Wystarczy przeczytać jego „Śmierć pięknych saren”, z zaskakującym humorem tragedii.

A Twój Geldberg chyba godzi się na świat w tej postaci. I to mnie w nim martwi.

Nie, to liryczny sceptycyzm. Geldberg wie, że nie zmieni już tego świata. Ale to

nie jest rezygnacja. Robiliśmy kiedyś ze Zbyszkiem Preisnerem program, oparty na myślach Seneki, i przypomnę jego słowa: „Pytasz, co znaczy wolność? Znaczący oto nie lękać się ni ludzi, ni bogów, nie chcieć niczego, co haniebne albo nadmierne, mieć nad sobą samym władzę najwyższą. Nieocenione to dobro stać się swoim własnym panem”. Myślę, że Geldberg nim jest.

Jest panem w świecie, który mu się nie podoba?

Ale na szczęście są też rzeczy, które mu się podobają; to nie jest tak, że wszystko jest czarne albo białe. Są przyjaciele, jest sztuka, o której już mówiłyśmy, są wschody i zachody słońca. Nie jest tak źle, nawet kiedy jest źle.

Uważasz, że światu nie da się zmienić?

Zjedz te wszystkie kanapki, które specjalnie dla ciebie przygotowałam, to ci powiem.

To teraz bardzo uważnie słucham.

Nie zmienię tego świata i nawet nie mam takiego zamiaru.

Kiedyś wierzyłaś, że zmienisz?

Jak miałam szesnaście lat. Potem już nie.

I od tego czasu nie ciągnęło Cię, by na zawsze wyjechać z Polski?

Rok 1989 trochę mnie zmylił. Wydawało mi się, że idziemy w dobrym kierunku. Ale czasami myślę, co by było, gdybym została w Stanach Zjednoczonych, kiedy byłam na stypendium w Iowa. Miałam wtedy dużo mniej lat, pewnie adaptacja byłaby łatwiejsza, ale czy pisałabym po angielsku? Czy w ogóle bym pisała? Czasem zadaję sobie takie pytania, ale może o naszych wyborach decyduje los, przypadek, przeznaczenie? Jestem związana z językiem i to jest mój kraj. Nigdy z niego nie wyjadę.

Co więc w Polsce daje Ci ukojenie?

Bez wątpienia sztuka i ona jest moim schroniskiem. I jeszcze raz podkreślę rolę przyjaciół. Czasem uciekam od wrzasku miasta, hałasu, skażonego powietrza, od rzeczy zbędnych, niepotrzebnych. Coraz mniej takich miejsc i może dlatego warto do nich wracać. Bałtyk w miesiącach, kiedy nie ma tam ludzi, jest takim uwodzącym krajobrazem, a jednostajny szum fal zatrzymuje czas i uwydatnia jego względnosc.

Czyli?

Święty Augustyn w 11 rozdziale „Wyznań” pyta: „Czymże jest czas? Jeśli mnie nikt o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu próbuję wytłumaczyć, nie wiem”. Uważam, że jest czas młodości, szalony, emocjonalny, niezdyscyplinowany, i czas dojrzałości i starości. Dla każdego inny, chociaż patrzymy na te same zegary. Tej magiczności czasu nie wyjaśnią żadna sztuczna inteligencja. Ta magiczność pozostanie tajemnicą. William Faulkner pisał: „Wszystko jest teraz, rozumiesz? Dopiero dziś skończy się jutro, a jutro zaczęło się dziesięć tysięcy lat temu”.

Ojej, znowu cytat? Chcę wiedzieć, co by o tym napisała Ewa Lipska!

Faulkner będzie tu mocniejszy.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Wyznania i wprawki

IGOR KIERKOSZ

Sukces reżyserski Almodóvara jest sukcesem zastępczym. Ten facet zawsze chciał być pisarzem, tylko że lepiej wychodziły mu scenariusze filmowe niż powieści.

TE OSIĄGNIĘCIA, CAŁKIEM DOSŁOWNIE, rzucają się w oczy. Po 40-letnim paśmie sukcesów artystycznych i kasowych dom Pedra Almodóvara przypomina dobrze prosperującą galerię sztuki – jest tak gęsto od obrazów i rzeźb, że trudno byłoby tam jeszcze wcisnąć filmowe trofea. Jego dzieła zgarniały nie tylko Oscary, BAFT-y i Złote Globy, ale też 32 statuetki najważniejszej hiszpańskiej nagrody Goya. Gdyby je wszystkie przepięć, masa brązu ważyłaby sporo więcej niż sam reżyser. Można powiedzieć, że od czasów Buñuela nie było hiszpańskiego twórcy o tak dużym ciężarze sukcesu.

Wyznania

Kiedy taka postać, właśnie w takim momencie kariery, wydaje książkę, fala podejrzliwości zalewa mnie z dwóch stron. Najpierw myślę, że pewnie chodzi o łatwy zarobek – nie ma nic prostszego niż wypuścić „najbardziej osobistą książkę” uznanego reżysera i czekać na reakcję fanów żądnych jakiegokolwiek nowej wzmianki o ich idolu. Z drugiej strony czuję napływ jeszcze bardziej niepokojącej obawy – może zadziałało ego i twórca uznał, że świat nie poradzi sobie bez jego kolejnego dzieła. Nawet jeśli dotychczas leżało sobie spokojnie w szufladzie.

W przypadku zbioru opowiadań „Ostatni sen” – opublikowanego w tłumaczeniu Agaty Ostrowskiej i Katarzyny Okrasko przez Wydawnictwo Poznańskie – żadne z tych przeczuć nie sprawdza się do końca. Jasne, pewnie ktoś z kręgu reżysera uznał, że książka może się sprzedać (we wstępie Almodóvar przyznaje, że przykurzone zapiski odnalazła i podsunęła mu asystentka Lola García). Ale zamiast wyrachowania czy celebrowania własnej osoby wyczuwam tu innego rodzaju potrzebę. Otóż skandalista Pedro w „Ostatnim śnie” nie chce nikogo oburzać. Raczej szuka niespektakularnych

źródeł swoich firmowych tematów i poetyki, którą tak dobrze znamy.

„Chociaż cieszyły go publicznie okazywane wyrazy uznania i cenili sobie liczną publiczność, która przychodziła go posłuchać, zawsze najlepiej pamiętał (...) przypadkowe kontakty, milczące i ukradkowe”. Nawet jeśli to zdanie z motta książki zaczerpnięto z „Czarodzieja” Colma Tóibína, równie dobrze mógłby się pod nim podpisać sam Almodóvar. Bo jeśli hiszpański reżyser zaprasza do ponownego spotkania, to nie ma w tym egocentrycznej buty ani nastawienia na kolejną w jego karierze kontrowersję. Są ukradkowość i milczenie, w których nieraz mieści się więcej niż w najgłośniejszych artystycznych deklaracjach. Zastanawiam się tylko, co trzeba przeżyć, żeby po niezwykle bujnej karierze zadowolić się taką redukcją.

Prawie jak w raju

Możliwe, że w trajektorii życia i twórczości Almodóvara od początku było wpisane wyciszenie, tylko zakrywał je ogrom bodźców. Przecież było ich w nadmiarze już od dzieciństwa. Co prawda młody Pedro zapamiętał z rodzinnego Calzada de Calatrava głównie obraz wspólne śpiewających i snujących opowieści kobiet, ale za tym romantycznym woalem kryje się dość nędzna podszewka. Chłopak dorastał w skrajnej biedzie i dopiero wyjazd do Cáceres w 1957 r. rozpoczął mozolny proces zmiany jego statusu społecznego.

Pedro miał wtedy osiem lat, rodzinę było stać wyłącznie na ultrakonserwatywną szkołę salezjanów. Tragedię tego czasu da się zrekonstruować, śledząc dojrzałą część jego filmografii. Z jednej strony „Złe wychowanie” (2004), w którym przemoc religijnej szkoły naznacza młode ciało i umysł niezwykłą krzywdą. Z drugiej – „Ból i blask” (2019), gdzie Almodóvar z pokorą rozlicza się



z ówczesnym doświadczeniem. Przyznaje, że matka zrobiła najlepsze, co mogła, skazując go na traumatyczną, ale jednak edukację, to jeden z najbardziej rozdzierających momentów w jego filmografii. A przecież jest z czego wybierać – mowanie się z ambiwalentnymi emocjami to główny temat tej kariery.

Równie paradoksalnie zadziałał fakt, że w sąsiedztwie szkolnej traumy zaczęła płonąć namiętność do literatury i kina. W Cáceres Almodóvar po raz pierwszy w życiu ma dostęp do wielkiego ekranu. Co prawda trzeba tam przychodzić z własnym krzesłem, a dzieciaki obsikują ściany, żeby w trakcie seansów nie tracić czasu na poszukiwanie toalety, ale takie niewygody nie zrażają nastolatka. Razem z bratem Augustinem są stałymi bywalcami lokalnych pokazów. Później Pedro z ekstazą w oczach opowiada starszym siostronom poznane fabuły, dopóki nie zda sobie sprawy, że bardzo chce tworzyć własne.

Na blokach

Mogę sobie tylko wyobrażać, co takie pragnienie oznacza we frankistowskiej Hiszpanii dla chłopaka z ludu i bez grosza przy duszy. Właściwie cały świat krzyczy, że to zachcianka dla lepiej urodzonych. O ogromie jego determinacji niech świadczy fakt, że przy pierwszej okazji Almodóvar naraża się rodzinie i wyjeżdża do Madrytu, gdzie spędzi ponad dekadę na dorabianiu w telekomunikacji. Nawet



MANOLO PAVÓN / MATERIAŁY PRASOWE

Pedro Almodóvar na planie filmu „*Ból i blask*”, 2019 r.

gdyby było go stać na szkołę filmową, to i tak jedyna taka w Madrycie została zamknięta przez Franco. Popołudniami Pedro uczy się sztuki filmowej i chłonie kulturę na własną rękę, jest początek lat 70. Za pierwsze zarobione pieniądze kupuje kamerę Super 8.

Dwunastoletni czas w tamtym biurze to kolejny ambiwalentny okres w jego życiu. Niby nudna praca, ale przy okazji formacyjny epizod dla rodzącej się w nim buntowniczej duszy. „W firmie Telefonica już sama moja obecność była czymś skandalicznym: nosiłem długie włosy, wyróżniałem się ubiorem. Było to naprawdę podwójne życie. Od dziewiątej rano do piątej po południu praca w administracji, a wieczorem coś skrajnie innego. Okres ten okazał się bardzo ważny, dlatego że to właśnie w Telefonice zdobyłem konkretną wiedzę o hiszpańskim mieszczaństwie, którego inaczej nie mógłbym tak dobrze poznać”.

W tej samej rozmowie z Frédéricem Straussem reżyser powie jeszcze, że gdyby nie przygnębiające osiedle wielkich budynków komunalnych, gdzie pracował, nie powstałaby najbardziej realistyczna z jego scenografii w filmie „Czym sobie na to wszystko zasłużyłam?” (1984) – pierwszym z wielu w karierze Almodóvara portretów matek, córek i babć szukających własnego miejsca w patriarchalnym świecie hiszpańskiej tradycji. Ograniczony komunalnymi blokami horyzont widzenia

niespodziewanie otworzył mu oczy na społeczną prawdę.

W klubach

Kiedy u nas generał Jaruzelski ogłasza stan wojenny, w Madrycie trwa kryzys narkotykowy, w biednych dzielnicach rozprzestrzenia się samorobna heroína, a w obskurnych salkach koncertowych słyszeć głównie punk – dość prymitywny, a na pewno wściekły. To czas odwilży po prawie 40-letnim okresie reżimu, moment oddechu dla nienormalnych tożsamości. W jednej z lokalnych spelun 30-letni już Pedro ogląda koncert zespołu Kaka De Luxe. Wokalista wykrzykuje ze sceny: „Nie jestem zbrodźcą!”. Ich największy hit opowiada o sadomasochistycznym gejomskim związku. Jeszcze do niedawna nie mogliby o tym śpiewać. Ale w 1975 r. zmarł Franco i wszystko się zmieniło. Kiedy sześć lat później na polskie ulice wjeżdżają czołgi, w Madrycie już prężnie działa *la movida* – kontrkulturowy ruch, a zarazem pierwsze w życiu Almodóvara środowisko, które przyjęło go z otwartymi ramionami.

Te czasy są tłem dla pierwszych długometrażowych fabuł reżysera. Filmuje stolicę otwartą na nowoczesne formy sztuki, ekstatyczną, choć przybrudzoną i nie zawsze bezpieczną. „Pepi, Luci, Bom i inne dziewczyny z dzielnicy” (1980) to cios w mieszczańską wrażliwość i punkowa

relacja z madryckich nocy przełomu lat 70. i 80. To tutaj zaczyna swój triumfalny pochód galeria queerowych postaci zasiedlających później niemal każdy film Almodóvara.

A że w swoich autorskich wizjach nie wzbiera się przed kontrowersyjnymi zestawieniami, szybko zyskuje status skandalisty. Choćby za sprawą „Pośród ciemności” (1983), gdzie pakuje do jednego zakonu nie tylko siostrę przełożoną o lesbijskich skłonnościach, ale też księdza romansującego z inną z sióstr, tygrysa, heroinę i stertę powieści erotycznych. Perwersja z krzyżem w tle powróci jeszcze w jego najnowszych opowiadaniach – okaże się, że autorski projekt Almodóvara nie był w pierwszej kolejności obliczony na kontrowersję. Ale o tym za chwilę. Najpierw musimy sobie w ogóle wyjaśnić, że ten reżyser – kiedy pisze scenariusz albo książkę – najczęściej pisze o samym sobie.

Źródła

Pedro nie byłby sobą, gdyby raz na jakiś czas nie umieścił w scenariuszu postaci homoseksualnego reżysera, dla pewności otoczonego przedmiotami swojego stwórcy. Rola Antonia Banderasa z „Bólu i blasku” to przypadek ekstremalny, najbogatszy w osobiste wątki, ale już wcześniej Almodóvar w przeróżnych iteracjach objawiał kolejne cząstki swojej biografii. Raz odkrywał kulisy branżowych romansów w „Prawie pożądania” (1987), innym razem analizował własną poetykę za sprawą tracącego wzrok filmowca w „Przerwanych objęciach” (2009). Z kolei w najważniejszych kobiecych bohaterkach na przestrzeni jego filmografii – w kolejnych wcieleniach Carmen Maury, Marisy Paredes, Rossy de Palmy czy w końcu Penélope Cruz – nieraz odbija się wspomnienie jego matki.

Dzisiaj jednak najbardziej mnie interesuje, co takiego próbował o sobie powiedzieć w „Kwiecie mego sekretu” (1995). Nie żeby ta historia Leo – pisarki poszukującej osobistego i zawodowego spełnienia – obfitowała w same fakty o Almodóvarze, bo do „Bólu i blasku” jej daleko. Chodzi mi o to, że w tym filmie kiełkuje hipoteza, która znajduje ostateczne potwierdzenie za sprawą →

→ wydanych właśnie opowiadań. Kiedy Leo zdaje sobie sprawę, że być docenianą artystką znaczy rezygnować z absolutnego spełnienia, to tak jakby sam Pedro orientował się, że jego kariera musi być naznaczona kompromisem.

Mam na myśli to, że sukces reżyserski Almodóvara jest jak gdyby sukcesem zastępczym. Ten facet zawsze chciał być pisarzem, tylko że lepiej wychodziły mu scenariusze filmowe niż powieści. Czy to źle? Jasne, że nie. Powiedziałbym nawet, że ostatecznie dobrze się stało. Sam Pedro szybko rozpoznał złudną naturę swojego literackiego marzenia, a w efekcie dostaliśmy najbarwniejszą filmografię przełomu wieków. Ale nawet jeśli człowiek wyjdzie z pisarza, to pisarz z człowieka – nigdy. Książka „Ostatni sen” zdaje relację z odkrywania tej prawidłowości.

Opowieści

Nie chcę, żeby to wszystko brzmiało, jakby Almodóvar marnie składał zdania albo siłił się na pisanie wbrew własnym warunkom. Przecież nieraz potwierdzał literacką wartość swoich tekstów, jego scenariusze były wielokrotnie doceniane za precyzyjne intrygi i przejmujące fabuły. Tyle że początkowo myślał, że trzeba z tego wyciskać wielkie powieści, podczas gdy podświadomy cel był zawsze mniej spektakularny: po prostu opowiadać historie. A to można równie dobrze robić w filmach.

Ciekawie się śledzi procesy ich wykluwania. Np. taki: jest koniec lat 70. i dwudziestoparoletni Pedro pisze opowiadanie „Wizyta”. To buzujący od negatywnych emocji rozrachunek ze szkołą-wiezieniem u salezjanów. Dopiero ćwierć wieku później z tej literackiej materii powstanie „Złe wychowanie”. Czytelnicy i czytelniczki mogą usłyszeć o jego prapoczątkach z pierwszej ręki: „Były to lata burzliwe i zarazem olśniewające, gdyż ścieżkę dźwiękową do tego salezjańskiego horroru stanowiły łacińskie msze, które sam śpiewałem jako solista chóru”.

Na podobnej zasadzie opowiadania Almodóvara odkrywają genezę „Bólu i błasku”, „Wszystkiego o mojej matce” (1999) czy „Ludzkiego głosu” (2020). I właściwie wystarczyłoby, gdyby Almodóvar poprzestał na tych zakulisowych opowieściach. Tak jak powiedziałem na początku – fani reżysera i tak by książkę kupili. Ale do zbioru trafiły jeszcze inne rzeczy, dużo

„Ostatni sen” można
czytać jako przewodnik
po namiętnościach, fiksacjach
i motywacjach reżysera.
**Pomaga rekonstruować
sposób myślenia
wyzwolonego umysłu
w postfrankistowskiej
Hiszpanii.**

luźniej związane z konkretnymi filmami, a czasem zupełnie osobne.

Sposoby

Dlatego „Ostatni sen” można czytać też jako przewodnik po Almodóvarowskich namiętnościach, fiksacjach i motywacjach. Pomaga on rekonstruować nie konkretne obrazy z filmów, tylko sposób myślenia wyzwolonego umysłu w postfrankistowskiej Hiszpanii.

Sprawdza się choćby przeczcucie, że u tego reżysera nienormatywne tożsamości od zawsze istniały na równych zasadach z pozostałymi – nie dla nowocześnie pojmowanej reprezentacji, tylko z czystego zainteresowania różnorodnością ludzkich losów. Almodóvar bezpośrednio eksplikuje swoje przekonania ustami bohatera opowiadania „Zbyt wiele tranzycji”: „Interesują mnie indywidualne jednostki, ich namiętności, a seksualność i płeć mi zwisają”. Wychodzi na to, że Pedro już 40 lat temu spełniał standardy dzisiejszej kultury.

Z podobną dezynwolturą reżyser mówi o gatunkowości. Obojętny stosunek do wymogów konkretnych gatunków filmowych wytworzył ten autorski styl, który tak mocno dziś z Almodówarem kojarzymy. A że w innym miejscu książki twórca wprost ujawnia osobistą metodę powstawania koncepcji scenariusza, to czytając „Ostatni sen”, ma się wrażenie odkrywania tajemnicy, która miała pozostać głęboko w szufladzie. Tylko że w tym przypadku twórca sam autoryzuje swoje wyznania – nasze podglądactwo jest uzasadnione.

Opowiadać dalej

Są tu też fragmenty zupełnie z innego świata. Bezprecedensowe dla tej twórczo-

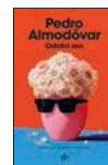
ści opowieści, ultraosobiste miniatury, eksperymentalne formy. Bywa różnorodne, bywa eklektycznie, zawsze jest zajmująco. Dość powiedzieć, że druzgocące wspomnienie śmierci matki poprzedza alegoryczna historia o hiszpańskiej władzy, a chwilę później dostajemy wampiryczną baśń z religijną symboliką w tle. Za każdym razem chodzi o zaproszenie do opowieści.

Żywioł opowiadania pociąga Almodóvara również z tego prostego powodu, że pozwala na szaleństwo wyobraźni, na ubranie własnych refleksji w niebywałe fabuły i plastyczne wizje. Choćby takie jak w „Życiu i śmierci Miguela” – opowiadaniu, w którym ludzie rodzą się w momencie śmierci i przeżywają swój byt od starości do młodości. Ten koncept brzmi, jakby był wyjęty z „Ciekawego przypadku Benjamina Buttona”, ale tekst hiszpańskiego reżysera powstał na długo przed filmem Davida Finchera (co prawda zrealizowanego na podstawie opowiadania Francisca Scotta Fitzgeralda z 1922 r. pod tym samym tytułem).

Przemieszczenie logiki przyczynowo-skutkowej i zachwianie naturalnego następstwa zdarzeń jest tu pretekstem do luźno rzucanych pytań o istnienie przeznaczenia czy o sens ludzkich marzeń i oczekiwań. To jedno z tych opowiadań, które już na wejściu pobudzają wyobraźnię jak najbardziej zwichrowane kawałki Jorge Luisa Borgesa – wystarczy jedna przewrotka w narracji i wszystko, co uznajemy za pewnik, zaczyna być kwestionowane.

Almodóvar proponuje to ćwiczenie z wyobraźni, jednocześnie nie udając, że odkrywa wielką prawdę o ludzkości. I ten rozdział, i cały „Ostatni sen” to – tylko i aż – kolejne z wielu opowieści Pedra. Można je włożyć między „Wszystko o mojej matce” a „Volver”, można czytać jak wprawki do filmowych scenariuszy albo wsłuchiwać się jak w intymne wyznania. Jego zamiarem jest po prostu czysta radość ze snucia historii, możliwych i niemożliwych opowieści. Przecież w tej twórczości nigdy nie chodziło o nic innego.

© IGOR KIERKOSZ



Pedro Almodóvar

OSTATNI SEN

przeł. Agata Ostrowska,

Katarzyna Okrasko,

Wydawnictwo Poznańskie, 2023

Zaorać naturalnie

JAN BŁASZCZAK

Piętnaście miesięcy wystarczyło, by podbił polską scenę jazzową. Cztery płytowe premiery: w oktecie, kwartecie, solo i znów w oktecie. Różni te płyty mnóstwo. A łączy? Radykalizm, skłonność ku awangardzie oraz monumentalne gesty.

PŁYTY PODSUWAJĄ WYOBRAŻENIA O ICH twórcy: oto bezkompromisowy wizjoner, ale i zdyscyplinowany rewolucjonista. Sęk w tym, że nie współgrają one zupełnie z osobowością Marka Pospieszalskiego, wrażeniem, jakie wywołuje podczas rozmowy. Tłumacząc swoje decyzje, muzyk raz za razem sięga po takie argumenty: „to przyszło naturalnie”, „to wydawało się najwygodniejsze”, „tak było najłatwiej”. Tak jakby jego artystyczna biografia była ciągiem kompromisów, trzeźwych wyborów i racjonalnego wydatkowania sił.

„Naturalne” było na przykład pójście w ślady ojca – Mateusza Pospieszalskiego. Wyrazem buntu byłoby sięgnięcie po jakiś inny instrument, ale „wygodniejsze” było chwycenie się leżących na domowej półce saksofonów. W liceum najbardziej pociągała go awangarda, ale na Akademii Muzycznej wybrał specjalność w zakresie jazzu, bo to było „łatwiejsze”. Wojtek Mazolewski Quintet opuścił po kilkunastu latach, bo poczuł, że powinien zająć się komponowaniem własnej muzyki. Zdecydował się na ten ruch po kilkunastu latach. Sam przyznaje: „trochę długo” i że „trochę się z tym zbierał”. Nie roztrząsa tego jednak. Nie dywaguje, co by było gdyby. Grunt, że ten rozbrat przyszedł „naturalnie”.

Pospieszalski potrzebował tych długich lat bycia w cieniu, by w dwa sezony zaorać polską scenę jazzową. Jakby chodziło mu



Marek Pospieszalski

o to, by nie figurować w żadnych kategoriach rocznych podsumowań „Jazz Forum” i nagle objawić się w nim i jako muzyk roku, i autor najlepszego albumu zdaniem krytyków. W przyszłym roku tych zaskoczeń będzie już na pewno mniej.

W rozkroku

Urodził w Częstochowie rok przed przełomową datą. W 1989 r. skończy się PRL i ukaże się wreszcie debiutancki album TIE Breaku. W tym zespole, idącym w poprzek jazzowym modom, od szesnastego roku życia występował tata, Mateusz Pospieszalski.

– W TIE Break grał też mój stryj Marcin oraz „Ziut” Gralak i Janusz „Yanina” Iwański, których w zasadzie również traktuję jak rodzinę – tłumaczy Marek Pospieszalski. – Nie tylko nasiąkałem ich muzyką jako dziecko, ale kiedy zaczynałem stawiać pierwsze kroki na scenie, oni wyciągnęli do mnie rękę, a potem wypuścili na szerokie wody.

Już jako nastolatek Pospieszalski występował z ojcem w trio MP3, następnie pełnił sidemańskie obowiązki w Zakopower, występował z Graalem i Yanina

Free Wave. W liceum, kiedy jeszcze wydawało mu się, że jego pierwszym instrumentem będzie klarnet, ojciec przedstawił go Jerzemu Mazzollowi. Choć ten miał wówczas przerwę od grania, zaprosił Pospieszalskiego do siebie, do Trójmiasta. Trochę grali, trochę nagrywali, a po godzinach młody muzyk nawiązywał kontakty z lokalnym środowiskiem jazzowym.

– Przez Jerzego poznałem Asię Dudę, a później w wyniku jakiegoś wspólnego jamowania przeciąłem się z Wojtkiem Mazolewskim. Kojarzyliśmy się, bo on pojawiał się w Częstochowie z Pink Freud na cyklu koncertów organizowanych przez Gralaka. Byliśmy częścią jednego środowiska, więc przeczuwałem, że prędzej czy później coś wspólnie zrobimy. I tak też się stało.

Trójmiejskie eskapady i studia w Krakowie – z jednej strony Pospieszalski występował w popularnych zespołach, z drugiej mierzył się z prozą studenckiego życia, chodził na zajęcia w Akademii Muzycznej z wykładowcami, z którymi wieczorami mógłby dzielić scenę: – Muszę przyznać, że nie przykładam dużej wagi do uczelni. Obserwując tatę, dochodziłem do

→ wniosku, że te najbardziej tworzące nas sytuacje dzieją się w środowisku. Że mam otaczać się odpowiednimi ludźmi, bo najczęściej nauczę się na scenie. Możesz spędzić lata na sali wykładowej, ale jeśli nie doświadczysz tego, co daje występ i konfrontacja z publicznością, to nigdy się nie rozwiniesz.

Szorstkie brzmienie

A jednak warto było zostać na Akademii. Jeśli nie dla wiedzy, to właśnie dla znajomości. Przez długi czas do Pospieszalskiego docierały wiadomości, że poszukuje go chłopak z bydgoskiego Mózgu. Studenci długo nie mogli na siebie trafić – nic dziwnego, obaj angażowali się w wiele artystycznych inicjatyw. W końcu Qba Janicki (syn Sławomira Janickiego, kontrabasisty i właściciela Mózgu) napisał do niego maila. Szukał saksofonisty do zespołu.

Janicki powiedział mi kiedyś, że najważniejszym, co dała mu Akademia, było spotkanie Pospieszalskiego. Kilka płyt później nie mam wątpliwości, że było ono brzemienne w skutkach dla całej polskiej sceny. Znów sięgnę do słownika Pospieszalskiego, by napisać, że ta współpraca od początku wydawała się czymś oczywistym, naturalnym. W końcu obaj wywodzili się z jazzowych środowisk, które chętnie kontestowały jego główny nurt; mieli szerokie muzyczne zainteresowania (od awangardy po hip-hop) i luźny stosunek do studiów.

Postanowili, że założą zespół. Nazwali się Malediwy i od początku występowali w duecie. Ich pierwsza płyta „Afroaleatorizm” jest organiczna – ma intensywność występu na żywo. Zmienia się to diametralnie na wydanym dwa lata później albumie „Dolce Tsunami”. To płyta studyjna, na której jazzowy idiom przemawia za pośrednictwem sprzężeń zwrotnych, gitarowych wzmacniaczy i licznych przetworników. Podobne poszukiwania cechują solowe nagrania obu artystów: „Intuitive Mathematics” Janickiego i wydane w tym roku „Joyous” Pospieszalskiego.

– W pewnym momencie Qba zaczął podpinąć mikrofony kontaktowe do swoich bębnow i używać przesterów – wspomina muzyk. – Zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym również skorzystać z takiej galerii dźwięków. Najbliżej było do pieca gitarowego. W momencie, w którym mikrofon łąduje w czarze saksofonu,

MAREK POSPIESZALSKI:

Duchowa strona muzyki
jest dla mnie istotna.
Muzyka, na której się
wychowałem, czy to Coltrane,
czy Ayler, zawsze niosła
coś więcej. Częstochowa,
z której pochodzę, też miała
na to wpływ.
Ta mistyka jest ze mną.

a głośność jest rozkręcona zbyt mocno, zaczyna sprzęgać. Tak jakbyś przykrył go rękami. Jednak ze względu na to, że saksofon ma klapy, mogę modyfikować to sprzężenie. Przy czym system ich zamykania i otwierania jest zupełnie inny niż podczas normalnego grania. Do tego dochodzi sam ruch instrumentem – dźwięk jest bardzo plastyczny. Saksofon staje się zupełnie nowym instrumentem.

Motywacje i motywy

„Dolce Tsunami” ukazało się już w pandemii. Radykalna metamorfoza Malediów mogła wówczas nie robić takiego wrażenia, bo była naszym chlebem powszednim. Odczuwał to oczywiście także Pospieszalski, który po raz pierwszy w życiu wypełnił wtedy stypendialny wniosek. Chciał nagrać album z autorskimi wariacjami na temat utworów XX-wiecznych polskich kompozytorów. Ale zamiast do dzieł Pendereckiego czy Góreckiego, chciał sięgnąć po Stachowskiego, Palestrę czy Krenza. Był szczerze zaskoczony, gdy okazało się, że jego wniosek został rozpatrzony pozytywnie.

– Od początku wiedziałem, że chcę się skoncentrować na kolektywnej improwizacji – wspomina Pospieszalski. – Wpadłem na pomysł, aby z małych fragmentów oryginałów tworzyć minimalistyczne, długie, transowe formy. Mając to w głowie, dosyć szybko stworzyłem całą koncepcję oraz zarys utworów.

Oktet Pospieszalskiego tworzą czołowi polscy instrumentalniści i improwizatorzy. Z niektórymi saksofonista spotykał się już regularnie na scenie (Max Mucha, Qba Janicki, Tomasz Sroczyński), z innymi przy okazji zastępstw (Piotr Chęcki) czy sesji

nagraniowych (Grzegorz Tarwid). W ramach prac nad „Polish Composers of the 20th Century” wspólnie opracowali dwa nacie wariacji na temat utworów, tudzież motywów, wybranych przez lidera.

– Te poszukiwania wyglądały bardzo różnie, na przykład od zawsze chciałem coś zrobić z „Kołysanką” Panufnika – wspomina Pospieszalski. – Wielokrotnie zderzałem się z tym utworem i mocno na mnie działał. W innych wypadkach szukałem, czasami bardzo głęboko, aż znajdowałem motyw, który czułem, że moglibyśmy zagrać w inny sposób.

Album zebrał świetne recenzje. Nic dziwnego, bo tłumaczenie dzieł XX-wiecznych kompozytorów na język współczesnego jazzu, ale też elektronicznej awangardy czy klubowej zabawy wypada naturalnie, nie przypomina nadętej akademii ku czci ani skoku na kasę przy użyciu szacownego grona kompozytorów.

Zdanie to podzielał dyrektor artystyczny Sacrum Profanum, Krzysztof Pietraszewski, a jednak nie zdecydował się zaprosić oktetu do udziału w festiwalu. Album jest świetny, ale zawarta w nim historia – niekompletna. I nie chodzi o brak Pendereckiego. Brakuje kompozytorek. Pospieszalski przyznał mu rację. Umówili się, że z myślą o krakowskim występie saksofonista przygotuje repertuar wychodzący od utworów kompozytorek.

– Najpierw miałem pomysł, że zacznę od pań, że to im poświęcę płytę – tłumaczy muzyk. – Okazało się jednak, że jestem dużo bardziej zaznajomiony z twórczością panów. Oczywiście, znałem muzykę Grażyny Bacewicz i kilku innych kompozytorek, ale to była zupełnie inna skala. A że chciałem poświęcić im całą płytę, zostawiałem ją sobie na później, a zacząłem od kompozytorów.

Brzmi to trochę jak wymówka, ale również jak klasyczny Marek Pospieszalski.

Załączki muzycznych zdarzeń

Kwerenda utworów polskich kompozytorek przyniosła wiele odkryć. Artysta zastanawiał się, jak to możliwe, że nie słyszał tej muzyki nigdy wcześniej: – Choć wiedziałem o istnieniu Barbary Buczek, to tak naprawdę przy tej płycie po raz pierwszy zderzyłem się z jej genialną twórczością. Jest to trochę zastanawiające, bo przecież ona działała przy Akademii Muzycznej w Krakowie, a ja nigdy się tam o jej twórczość nie otarłem. Może



MATERIAŁ PRASOWY ARTYSTY

Koncert oktetu na festiwalu Sacrum Profanum. Kraków, 2 września 2022 r.

dlatego, że utwory, które pisała, były tak skomplikowane, że mało kto jest w stanie je zrealizować-wykonać w pełni?

Na płytę zatytułowaną „No Other End of the World Will There Be” (za pieśnią Agaty Zubel do słów Czesława Miłosza) Pospieszalski wybrał utwór Buczek na flet i taśmę. W oryginale jest ona skomponowana, w wariacji natomiast została potraktowana jako efekt przetwarzający dźwięki zespołu. Jedynym utworem, który nie odnosi się bezpośrednio do pierwowzoru, stanowiąc jedynie impresję na temat oryginału, jest „Długoszewski”. Pospieszalski nie znalazł sposobu, by wyekstrahować charakterystyczny motyw, więc oparł go na własnych wrażeniach ze słuchania „Angel of the Innmost Heaven”.

Wyraźnie zakorzeniony w oryginale jest natomiast promujący album utwór „Matuszczak”, będący wariacją na temat dzieła kompozytorki, która była związana ze Studiem Eksperymentalnym Polskiego Radia (reprezentuje je tu również Elżbieta Sikora). Wersja oktetu wychodzi od potężnej linii basu i momentami brzmi jak jakiś industrialny remiks dubowego klasyka.

– Charakterystyczny *groove*, który pojawia się u Bernadetty Matuszczak, pokazuje coś, co czułem przy zderzeniu z muzyką niektórych kompozytorek i kompozytorów – tłumaczy Pospieszalski. – Wydaje się, że ta twórczość jest tak odległa od tego, co się dzieje współcześnie, a pojawia się w niej przecież wiele elementów, które musiały mieć wpływ na dzisiejszą muzykę rockową czy klubową. Często nie zdajemy sobie sprawy, że oni byli protoplastami. Puszczali w eter załączki przysłych muzycznych zdarzeń.

W przypadku Matuszczak chodzi o coś jeszcze – ten basowy rytm jest bezpośrednio zaczerpnięty z religijnej pieśni „Liberate Me”. Dla Pospieszalskiego było to wyjątkowo pociągające zderzenie: z jednej strony awangardowa elektronika, z drugiej średniowieczny mistycyzm.

– Duchowa strona muzyki jest dla mnie istotna – wyjaśnia. – Muzyka, na której się wychowałem, czy to Coltrane, czy Ayler, zawsze niosła coś więcej, coś dodatkowego, co pozwalało zanurzyć się w tę twórczość. Częstochowa, z której pochodzę, też miała na to wpływ. Ta mistyka jest ze mną.

Objawia się ona nie tylko na płytach, ale także we współpracy saksofonisty z filozofem Piotrem Augustyniakiem. We dwóch nagrywają podcast „Kairos”, w którym rozważania autora „Jezusa Niechrystusa” przerywają krótkie improwizowane komentarze saksofonisty. Współtworzą także cykl spotkań „Myślnik” przy Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, gdzie dołączają do nich zaproszeni goście: – Samo pojęcie „Kairos”, jego znaczenie, jest bardzo bliskie idei improwizacji: przenikania się, zderzenia z nagłą sytuacją, z którą musimy sobie poradzić. To wszystko bardzo ze sobą koreluje. Improwizacja do cyklu „Myślnik” bywa bardziej wymagająca, zwłaszcza kiedy gram wokół takich tematów jak wojna w Ukrainie, głupota czy debata dotycząca osoby Jana Pawła II. Czasem niełatwo skomentować to muzycznie.

Artysta wyjaśnia, że sam podcast powstaje w czasie rzeczywistym, na surowo. Augustyniak i Pospieszalski roztawiają mikrofony i nagrywają. Najczęściej spotykają się w kuchni saksofonisty.

Z powrotem w jazz

Oficjalna premiera koncertowa „No Other End of the World Will There Be” odbędzie się 6 lipca podczas festiwalu Warsaw Summer Jazz Days. Premiera nie wieńczy jednak hiperaktywnego okresu w twórczości Pospieszalskiego, którego owocem jest również nieopisana tutaj, a warta uwagi płyta „Dürer’s Mother” – w pełni autorska, orbitująca wokół wielkich postaci europejskiej muzyki od Schuberta po Lachenmanna.

Nie kończy, bo w listopadzie oktet znów wchodzi do studia, by nagrać trzeci album. Tym razem zawierający autorskie kompozycje lidera. Tak jak poprzednie dwie płyty oktetu, i ta ukaże się najpewniej w portugalskiej wytwórni Clean Feed. Bez cienia przesady można napisać, że dziś jest to jedna z najważniejszych światowych oficyn specjalizujących się w muzyce improwizowanej. Wytwórni, której logo jest nie tylko znakiem jakości, ale też przepustką do sklepów muzycznych od Nowego Jorku po Tokio.

– Jeszcze na studiach Clean Feed było dla mnie najważniejszą wytwórnią, śledziłem wszystko, co wydawali. Współpraca z nimi była wtedy jedynie w sferze moich marzeń, a teraz, po latach, kiedy w zasadzie próbowałem już się wymknąć z jazzowego idiomu, pojawili się na mojej drodze i wzięli moje rzeczy do katalogu. I wciągnęli mnie znowu.

Miało być inaczej, ale – jako się rzekło – skończyło się tytułem muzyka roku, koncertami na wielkich festiwalach i kilkoma znakomitymi albumami nagrałymi w ciągu kilkunastu miesięcy. Wiadocznie tak było łatwiej, tak było bardziej naturalnie.

© JAN BŁASZCZAK

Katakumby pamięci

ANITA PIOTROWSKA

Nadmiarowość to jedna z przyrodzonych cech Neapolu. A także chaotyczność, którą Mario Martone próbuje w „Nostalgii” okiełznać w ramach literackiej przypowieści i filmowych konwencji.

CO TAKIEGO MA W SOBIE NEAPOL, ŻE stał się pełnokrwistym bohaterem tylu filmów i książek? Najlepiej byłoby zapytać Elenę Ferrante, Paola Sorrentino czy, pośrednio, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, organicznie żytych ze stolicą Kampanii. Nawet blokowisko Scampia w adaptacji „Gomorry” dokonanej przez Mattea Garronego było czymś więcej niż newralgicznym miejscem akcji, a co dopiero starsze, malowniczo zrujnowane dzielnice. „Nieprzenikalny”, „spowity tajemnicą”, „wielobarwny”, „przygnieciony życiem w rozpędzie” – to tylko niektóre fanowskie określenia, spuentowane słynnym powiedzeniem „zobaczyć Neapol i umrzeć”. Klucze do niego bywają jednak bardzo różne: sentymentalny, w tym ściśle autobiograficzny, metafizyczny, sensoryjny, społecznie zaangażowany... Który z nich wybrał w „Nostalgii” reżyser i współscenarzysta Mario Martone, wydaje się oczywiste, ale powrót w rodzinne strony ma tutaj wiele odcieni.

Trudno wyobrazić sobie lepszą scenę dla „miasta żywych i umarłych” niż



Sanità, dzielnica uboga i owiana złą sławą, aczkolwiek coraz bardziej modna wśród zwiedzających. Przez większość doby wrze tam niczym w ulu, czasami słychać strzały, dlatego kosztowny zegarek lepiej zostawić w hotelowym sejfie. Zresztą *camorra* nadal zbiera haracze i krwawe żniwa, tuż obok słychać natomiast inne memento, dochodzące ze starożytnych katakumb. Właśnie tu powraca po czterdziestu latach Felice – w tej roli Pierfrancesco Favino, znany z mafijnego „Zdrajcy” (2019) Marca Bellocchia. Główny bohater „Nostalgii” też czuje, że kiedyś zdradził. Jako piętnastolatek porzucił matkę, własny język, kulturę, religię i znajome ulice, by szukać szczęścia (w końcu imię zobowiązuje) na innym kontynencie. Z czasem dowiadujemy się, co kryło się za tą ucieczką i czego szuka teraz Felice „na dzielni”. Tym razem nie będzie mu łatwo uciec z Neapolu; zresztą tak naprawdę nigdy na dobre go nie porzucił.

Romantyczna aura miejsca przekłętego, które pociąga i jednocześnie zasysa, od początku unosi się nad „Nostalgia”. Gdy bohater przechadza się po znajomych kątach, Martone z wyraźną fascynacją i dokumentalnym zacięciem filmuje lokalną specyfikę – gwar knajpek i straganów, ryk skuterów, wystawione ręce żebraczków, podejrzliwe spojrzenia, jakim obdarza się obcych, obskurne kamienice z kapliczkami w środku. Niemal czujemy unoszące się w powietrzu zapachy spalin, świeżego prania, pulpe-

tów i „zioła”. Udaje się pochwycić niepowtarzalne wibracje miasta, choć Felice odbiera je w dwóch przeciwstawnych rejestrach. Niby wszystko wygląda, pachnie, smakuje tak samo jak dawniej, lecz nie już takie samo nie jest. Uświadamia mu to zwłaszcza spotkanie z matką, żyjącą samotnie w zapuszczonej norze, oszukiwaną przez szemranych sąsiadów. Mimo to Felice coraz bardziej zakochuje się w Neapolu, a właściwie w swojej tęsknej fantazji o nim.

Również żyjący tutaj na stałe w ciągłym strachu i poczuciu degradacji próbują mitologizować przeszłość. Zwłaszcza odkąd trzęsie okolice niejaki Oreste (Tommaso Ragno). Na dźwięk tego imienia milkną rozmowy, za to powszechna w użyciu ksywa „Zły” przemawia sama za siebie. Wydaje się on mrocznym cieniem Felice, z którym kumpłował się w dzieciństwie, i który dziś obsesyjnie próbuje odnaleźć starego przyjaciela w labiryntach Sanità. Choćby po to, żeby rozliczyć się ze swoją osobistą historią. Oreste jest bowiem dlań winowajcą i wyrzutem sumienia w jednej osobie, stąd cała dwuznaczność łączącej ich więzi. W przebitkach z nastoletnich czasów są jak nierozłączni bracia i dlatego przybywający z dalekiego Kairu główny bohater będzie musiał zmierzyć się nie tylko z własnym mrokiem, ale i z kumpelską lojalnością czy odpowiedzialnością za losy dzielnicy. Odraza wobec gangstera nieustannie ściiera się z magią wspomnień. Nostalgia rządzi się bowiem oso-

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

www.radiokrakow.pl



GUTK FILM

NOSTALGIA

– reż. Mario Martone.
Prod. Włochy 2022.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach od 7 lipca.

Mario Martone urodził się sześćdziesiąt cztery lata temu w Neapolu i tam umiejscowił wiele swoich filmów. „Śmierć neapolitańskiego matematyka” (1992), „Capri-Revolution” (2018) czy „Burmistrz Rione Sanità” (2019) przyniosły mu nagrody na festiwalu w Wenecji. Za „Nostalgia”, będącą adaptacją powieści Ermanna Rea z 2016 r., był nominowany do canneńskiej Złotej Palmy.

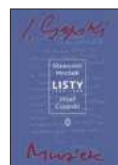
bliwymi prawami – filtruje dawne i dzisiejsze obrazy, osłabia instynkt samoza-chowawczy. Dlatego trudno stwierdzić, czy ostatecznie zwycięży ślepy fatalizm, czy raczej kuszenie losu.

Jaśniejszą stronę mocy i pracę dla przyszłości, na przekór nostalgicznym zwi-dom, reprezentuje w filmie Don Luigi, charyzmatyczny ksiądz (Francesco Di Leva), wzorowany na autentycznej postaci. Toczy on ze Złym walkę o dusze najmłodszych mieszkańców i nierzadko o ich życie. Przykościelna świetlica, gdzie można potrenować boks lub pograć na instrumencie, ma być odtrutką na działania camorry, rekrutującej w swe szeregi całe rodziny, z dziećmi włącznie. Trzeciej drogi dla nich nie widać. Nic więc dziwnego, że nieustraszony padre, który przygarnia pod swe skrzydła również nielegalnych imigrantów przybijających do włoskich wybrzeży, próbuje uratować także Felice – nade wszystko przed zgnubną nostalgią.

Sam Martone stara się bardziej sproblematyzować swą miłość do miasta. Dlatego tworzy hybrydę rozmaitych stylis-tyk. Raz ociera się o głęboką intymność (piękna scena, w której Felice myje sędziwą matkę), to znów poprzestaje na ogólnikach (egipskie życie bohatera). Czasami film przypomina surową pocztówkę z teraźniejszości, czasem kliw-ny widoczek z przeszłości albo – kiedy wędrując po neapolitańskich zaułkach Felice wystawia się na celownik Złego i jego ludzi – czerpie z thrillera. Wszelako reżyser, podobnie jak jego bohater, najwyraźniej nie chce być turystą we własnym mieście. I to mu się wyśmienicie udaje przy nakreślaniu filmowego tła.

W pewnym jednak momencie uruchamia się poboczny wątek wypełnionych czaszkami katakumb z Rione Sanità, które ksiądz chciałby uczynić turystyczną atrakcją i tym samym odczynić złą sławę tego miejsca. Gdyby przenieść to na strukturę opowiadania, zobaczylibyśmy rozdarcie między brutalnym realizmem oprawy i usilną potrzebą fabularnej atrakcyjności. W obu przypadkach zakochanie w Neapolu miesza się z rozczarowaniem jego mocno zdegenerowanym kształtem. Pozostaje zatem wypełnić go czymś nowym, filmowo ekscytującym, chociaż w konsekwencji trochę za bardzo wielosłownym i za mocno podrasowanym. Zapewne przez chorobliwą nostalgię. ©

Lektor: Geometra w lodówce



■ SŁAWOMIR MROŻEK, JÓZEF CZAPSKI
LISTY 1964-1988

Wstęp Michał Paweł Markowski.
Zebrał, opracował, przypisami i notą opatrzył
Jan Strzałka.
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, ss. 296.

KOLEJNY TYDZIEŃ I ZNÓW CZAPSKI – TYM RAZEM W DIALOGU ze Sławomirem Mrożkiem. Mrożek właśnie przyjechał do Włoch, w 1968 r. protest przeciw inwazji na Czechosłowację uczyni zeń pełnokrwistego emigranta. Czapski podziwia go jako pisarza, chodzi nawet do teatru, w którym rzadko bywa, by obejrzeć paryskie inscenizacje jego sztuk, kiedyś narysuje egzemplarz „Małych listów” jako swoją „książkę do poduszki”. I próbuje leczyć poczucie pustki i niespełnienia dręczące autora „Tanga” (kto czytał dzienniki Mrożka, pomnik egotyizmu i samo-nie-zadowolenia, ten wie, o czym mowa). „Nuży mnie poczucie, że wszystko, co jestem – to nie to” – napisze Mrożek do Czapskiego w marcu 1979 r.

Zabiegi terapeutyczne nie odnoszą skutku, nawet terapia „Legendą Młodej Polski” Brzozowskiego – książką, której lektura była dla młodego Czapskiego przełomem. Bo też i trudno o osobowości bardziej różne niż ci dwaj znakomici twórcy; autor wstępu pisze wręcz o ich „niespotkaniu” i sugeruje różnice klasowe jako jego skrytą przyczynę. Mrożek epatuje swoim byciem znikąd („być może dlatego mam owo poczucie nicości, które zrodziło owo pożądanie więcej niż wszystkiego”) i nędznymi korzeniami („historia mojej rodziny jest historią degeneracji małych ludzików”) – ale niespotkanie? Uczucia Czapskiego są oczywiste, ale i Mrożka coś jednak skłania, by podtrzymywać tę znajomość, choć przerwy między listami bywają długie. „Dzieli nas wiele, wiele widocznego, ale kiedy mam nagą godzinę, godzinę ogołoconą ze wszystkiego, co widoczne, zwracam się do Ciebie” – wyznaje przyjacielowi. Dla zachęty jeszcze jeden cytat z listu Mrożka (13 lipca 1973): „mnie się bez przerwy wydaje, że nie szachy, ale kapustę mam w głowie, i to raczej kiszoną i szatkowaną, czasami gotowaną. Ale zawsze kapustę. Ty zaś widzisz we mnie geometrę zamkniętą w lodówce”.

Bardzo piękna jest strona graficzna książki, autorstwa Marka Pawłowskiego, z wykorzystaniem rękopisów i rysunków Czapskiego i Mrożka. Solidne opracowanie edytorskie autorstwa Jana Strzałki. A w serii Archiwum „Kultury” (Biblioteka „Więzi” i Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską) ukazał się tom listów Czapskiego i Jerzego Giedroycia z lat 1943-1948. ©P

OLGA

Drenda: Ta wiadomość ulegnie samozniszczeniu



ZDARZAJĄ SIĘ W ŻYCIU I KRZEPIĄCE PRZYGODY (a dzielenie się takimi uważam za pożyteczne), więc z przyjemnością informuję, że niedawno byłam świadkiem ściągania z drzewa przez ekipę strażaków bardzo małego, bardzo duznego kotka.

Przedsięwzięcie zakończyło się powodzeniem, cały i zdrowy wolno żyjący malec dał nogę, a gdy grono obserwatorów odetchnęło z ulgą, rozpoczęły się rozmowy. Oprócz debat praktycznych nad tym, kto i w jaki sposób złapie i zabezpieczy puchatego ryzykanta i jego rodzeństwo, ludzie nieśmiało podjęli świeży temat – tajemniczej nowej choroby kotów. Dosłownie dzień czy dwa wcześniej zaczęły bowiem krążyć, na razie szczątkowe, wiadomości o mogącym im zagrażać wirusie.

– Jestem kociarzem i zawsze zatrzymuję się, żeby pogłaskać. No, ale ostatnio nie pogłaskałam.

– Trzeba zachować zdrowy rozsądek, myć ręce. Umiar przede wszystkim.

– Z koronawirusem też jeden mówił jedno, inny drugie. Trzeba zaczekać i nie dać się zwariować.

Byłam bardzo ciekawa, jakie pojawiają się głosy w tej rozmowie, i przyznaję, że trochę się obawiałam na zapas. Oczywiście wirusa też, wszak mam koty, ale chyba najbardziej obawiam się masowych panik. Paniki takie wybuchają często wtedy, kiedy w krótkim czasie pojawia się mnóstwo wzajemnie wykluczających się i niesprawdzonych informacji na jakiś temat. Wtedy nasze umysły kłęką z nich naprędce teorie przypominające dzieło doktora Fran-

kensteina, gdzie każda część pochodzi z innego zestawu, ale względnie trzymają się w całości. Takie odpowiedzi pomagają sobie doraźnie radzić, ale nie ułatwiają znajdowania rozwiązań, a na dłuższą metę potęgują strach. Kiedy pierwszy raz natknęłam się na wiadomość o wirusie, przez myśl przemknęło mi, że być może ludzie nie będą bać się tylko o koty, ale również samych kotów – właśnie przez niejasne i sprzeczne informacje. Nikt z nas w końcu nie jest na te mechanizmy całkowicie odporny, a kto uważa się za mądrzejszego, nie powinien być zaskoczony, gdy i jemu zdarzy się brnąć w błędy.

Nic nie pozwala lepiej zweryfikować takich podejrzeń niż osobisty kontakt i przekonanie się nausznie, co myślą inni. Przypadkowe spotkanie pozwoliło mi się uspokoić, ale przede wszystkim kazało zweryfikować swoje sądy: być może w sytuacjach kryzysowych częściej, niż sądziłam, włacza się tryb arystotelejskiego wręcz umiaru. Moi przygodni rozmówcy mieli na podorzędu system zapobiegający przegrzewaniu się procesorów i w porę decydowali: nie mnożmy teorii ponad potrzebę.

Jako względna technooptymistka nie uważam, że internet zmienia nas w obłąkane małpy (a może m@łpy!). Nie wierzę w malownicze obrazyki przedstawiające nas jako jaskiniowców ze smartfonami. Przypuszczam, że ludzki mózg potrafi szybko dostosować się do innowacji. Jednocześnie trzeba zapewne liczyć się z tym, że adaptacje mogą pójść w niespodziewanym kierunku. Może być to automatyczna brzytwa Ockhama, w jaką uzbroili się uczestnicy kocięj dyskusji. Ale może być to również jeszcze mocniejsze podkreślenie tempa.

Już teraz obserwuję, że rozpędzona maszyna poznawcza domaga się błyskawicznych rozstrzygnięć, żeby nie zatrzymywać się i na bieżąco zwalniać miejsce na nowe dane. Trochę jak w kreskówkach, w których po odczytaniu wiadomości ulega samozniszczeniu. Chcemy wiedzieć od razu, kiedy Prigożyn dotrze do Moskwy i co się wtedy stanie, w końcu transmisja wiadomości ma tempo filmu sensacyjnego. A skoro już wiemy, że nie dotarł – musimy natychmiast dowiedzieć się, czy jest na Białorusi, bo inaczej cały temat spadnie z radaru i zajmiemy się czymś nowym. Ponieważ ukazał się nowy sondaż poparcia dla partii, chcemy od razu wiedzieć, kto wygra wybory, żeby nie zastanawiać się zbyt długo i zredukować wątpliwości. Ale być może ten sam mechanizm ma zbawczy potencjał i pomoże zwalczyć w zarodku potencjał masowej paniki, bo zanim wywołujące niepewność informacje zdążą eskalować, uwaga rozproszy się i przeniesie w inne miejsce?

A że przetwarzamy dane widocznie coraz prędzej, to zaczynamy wyobrażać sobie, że cały świat nadąża za nami. Tak zapewne musiał myśleć zniecierpliwiony człowiek, który napisał na tablicy przy budowanej właśnie nowej linii tramwajowej:

„Gdzie ten tramwaj? To już trzy miesiące!”

©

Te koty na
szczęście są
niewiele
mniejsze od
drzewa



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Fałszywa pizza



DWADZIEŚCIA DWA HEKTARY ZASYPANEGO przez popiół miasta pozostają wciąż do odkopania w Pompejach, mimo że prace archeologiczne trwają tam już trzecie stulecie. Regularne wieści o kolejnych odkryciach to moja ulubiona kategoria „newsów”. Cóż w nich nowego, powiecie, i jak to niby ma się odnieść do węzłowych zagadnień współczesnego świata? Ot, choćby odsłonięty dwa lata temu Dom Oriona z ekspresyjną mozaiką ukazującą tegoż myśliwego w momencie, gdy zostaje zamieniony w gwiazdozbiór, a u jego pięty uczepiony jest przeraźliwy skorpion, który będzie go kąsać również na niebie – bo to, w jednej z wersji mitu, kara za próbę zgwałcenia Artemidy. Zresztą to nie był pierwszy udokumentowany gwałt w karierze tego pana, raz nawet za karę stracił czasowo wzrok. Chciałbym móc porozmawiać z tym kimś, kto wystawił w centralnym miejscu okazałego domu luksusową dekorację postulującą prawo kobiet do odpowiadania przemocą na przemoc. Rzecz dyskusyjna, ale na pewno nie przestarzała.

Głośno było ze trzy lata temu wokół odkrycia pompejańskiego fast foodu, z szeroką ladą pozwalającą utrzymywać w ciepłe naczynia z potrawami na sprzedaż. – Już wcześniej odkopano parędziesiąt podobnych termopoliów, sensacją były jednak wysokiej klasy dekoracje, m.in. zgrabna nereida na morskim rumaku. Świadczące przeciwko dotychczas przyjmowanemu bezmyślnie przekonaniu, że skoro owe placówki służyły biednym mieszkańcom *insulae*, czyli tamtejszych blokowisk, pozbawionym dostępu do kuchni, to były to wnętrza surowe, proste i bez żadnych upiększeń. Jadłospis na zatłuszczonej kartce w kratkę, doniczka z zeschłym fikusem, bibułkowe serwetki w plastikowym stojaczku i basta. A może wyższy status materialny wcale nie oznacza, że człowiek nie jada czasem hot doga na mieście?

Niemalże ascetyczna skromność połączona ze szlachetnym, dyskretnym detalem, wyrafinowaną formą i odniesieniem do bogactwa duchowego. To dobrze zasiedziało w naszej zbiorowej wyobraźni skojarzenia pewnego typu formy życia, inspirowanej myślą stoików. Kilka tygodni temu w Pompejach pojawił się kolejny, pasujący do tych wyobrażeń obraz (na zdjęciu). Srebrny puchar z winem na prostej srebrnej tacy, obok spoczywa na niej płaski placek przybrany kawałkami owoców i maźnięty smarowidłem, przy nim garść orzechów, być może daktyle oraz kilka splecionych w girlandę owoców chruściny jagodnej (drzewa truskawkowego). Magnetyczny to widok, godny martwych natur Cézanne’a. Zrobił zresztą natychmiast w sieci karierę jako „fresk z pizzą”.

Zaraz, jaką znów pizzą? Ano właśnie. Zamiast pisać uczone słowa, że obraz przedstawia xenię, motyw symbolicznej ofiary, którą polszczyzna genialnie streszcza frazą „gość w dom, Bóg

w dom”, jakiś spryciarz z pompejańskiego muzeum postanowił sprzedać zblazowanym mediom newsa pod postacią: w Pompejach odkryto pizzę! Mamy okragły placek? Mamy. Posypyany czymś tam? Posypyany. Pompeje leżą obok Neapolu? Leżą. Neapol jest ojczyzną pizzy? Nieprawda, ale cały świat już w to wierzy.

Nawet „New York Times” poszedł na mocno grząskie skróty, waląc nagłówek o protopizze. Potem w paru rzeczowych akapitach gazeta ceruje swoją cnotę wyjaśniając, dlaczego gadanie o pizzy w Pompejach to, jak się powiada w Ameryce, bycza kupa: po pierwsze, nawet jeśli nie do końca rozpoznajemy, czym obłożono placek na fresku, jest on z pewnością słodki, po drugie Rzymianie nie znali pomidorów ani mozzarelli, a to kluczowe elementy definicyjne pizzy, przynajmniej w wersji neapolitańskiej, a tym bardziej w bardzo podobnej doń (a może wręcz będącej jej matką) nowojorskiej.

Ale kto by tam dbał o szczegóły, skoro się wyklikało. Czuję lęk wobec irracjonalnej mocy pewnych słów i pojęć. Lenistwo umysłowe skłania często do ich nadużywania. Oby tylko to było lenistwo albo prosta chęć zarobienia paru groszy! W powietrzu krąży dziś sporo takich słów kluczy, używanych w czarnej magii zbiorowych przedwyborczych emocji. „Pizza” to brzmi rozkosznie wręcz i niewinnie przy słowach takich jak



„granice”, „naród”, „tożsamość” ... myślę sobie, że na tym tle fałszywka z pompejańskim plackiem to najsympatyczniejsza manipulacja sezonu. © P

Nawet gdyby redakcja dodała mi kiedyś jeszcze jedną stronę, miejsca by nie starczyło na rozprawę o ciastach na pizzę lub pokrewną focaccię. To są poważne, długo dojrzewające tematy. Ale przypomnijcie sobie czasem o innym, obłędnie apetycznym placku *cecina* z tradycji liguryjskiej. Łączymy w misce 300 g mąki z ciecierzycy z litrem zimnej wody, odstawiamy na parę godzin (ważne! nie da się pominąć tego etapu), mieszamy co jakiś czas. Dopiero potem *solimy*, dolewamy parę łyżek oliwy. Oliwę również – i to obficie! – smarujemy płaską formę do pieczenia. Wylewamy ciasto tak, by miało ok. 0,8-1 cm wysokości. Pieczemy w 200 st. C przez 30 do 40 minut, aż do momentu, kiedy zacznie być dobrze zrumienione na wierzchu. Można tuż po wyjęciu z pieca wzbogacić placek wiórkami jakiegoś sera lub igłami rozmarynu. Brzmi prosto, banalnie, ale nie sposób zjeść tego tylko kąscek.



*Kora,
Warszawa, 1991 r.*

POTĘGA MITU

Dlaczego Kora powraca do nas z taką siłą?
By to zrozumieć, trzeba zrekonstruować jej żywot i odczytać go po swojemu,
jak Katarzyna Kubisiowska w bestsellerowej biografii.

I jak my wszyscy.

BEATA CHOMĄTOWSKA

MIT BYŁ WPISANY JUŻ W JEJ ARTYSTYCZNY PSEUDONIM. „Korę” wymyśla dla Olgi-Aleksandry przyjaciółka nierozłączka z czasów hipisowskich Grażyna Sewiołek – sama jest „Galią”. Ze świadomością kontekstu – córka Demeter, żona Hadesa i opiekunka dusz zmarłych, istota wędrująca między światami: na trzecią część roku znika w królestwie cieni, by powracać na ziemię do matki. Jest tu podwójność, z którą sama Kora się utożsamia, łącząc ją z archetypem Bliźniąt – swojego znaku zodiaku. Dwoistość – scena i prywatność, euforie i depresje, przez pewien czas równoległy związek z dwoma mężczyznami.

Jej los jest rozpisany według scenariusza, jakby wprost wziętego z klasycznej „Potęgi mitu” Josepha Campbella.

W piątek na dobry początek

Wędrowka Kory symbolicznie kończy się i zaczyna na Roztoczu. Kraina, w której stworzy swój ostatni dom i gdzie umrze 28 lipca 2018 r., rozciąga się poza polską granicę, aż po Lwów, miejsce urodzenia jej matki, Emilii.

Emilia trafia stamtąd do Krakowa, gdzie w czasie wojny spotyka innego kresowiaka – Marcina Ostrowskiego, policjanta z Buczacza. Oboje znają niemiecki, pracują w krakowskim starostwie jako urzędnicy. On zwraca uwagę na jej kresowy akcent, ona jest po trzydziestce, chciałaby ułożyć sobie życie, zostać matką. W 1943 r. przychodzi na świat ich pierworodny, Andrzej, rok później córka Ania. Ślub biorą po wojnie, kiedy Marcin ma pewność, że nie popełni bigamii – Czerwony Krzyż potwierdza śmierć jego pierwszej żony, lecz los trzech córek nadal jest nieznany. NKWD wywoziło je do Kazachstanu, po zatrzymaniu Marcina, któremu udało się zbiec. Przyrodnie siostry Kory odnajdą się dopiero w 1946 r. – prosto z zesłania przyjadą do mieszkania ojca na Krowodrzy, nieświadome, że założył nową rodzinę.

Pierwszy dom Kory – kamienica przy Grottgera 2, to dobry krakowski adres. Wokół siedziby profesorów, oddzielone rzeczką Młynówką od dzielnicy robotniczej, stare ogrody,

rejon nietknięty jeszcze powojenną zabudową. Ale do mieszkanki Ostrowskich dochodzi się od strony piwnic. Trzydzieści metrów kwadratowych dawnej suszarni w suterenie, podzielone kotarą na kuchnię i pokój, bez łazienki. W nim – siedmioosobowa rodzina, bo do Andrzeja i Anny po wojnie dołącza dwóch braci: Jerzy i Tadeusz.

Dwa lata po Tadeuszu, w piątek 8 czerwca 1951 r., rodzi się jeszcze jedno, nieplanowane dziecko: dziewczynka o czarnych włosach i oczach. Też częsty mityczny wątek: najmłodsze, najślabsze dziecko, po którym nawet nikt by się tego nie spodziewał, staje się wybrańcem bogów. A jeśli przyjmie wyzwanie do wędrowki, wykraczając poza osobiste, lokalne i historyczne ograniczenia, czeka nań najwyższa nagroda i boski status.

Lata dzieciinne, płynny żar

Jak przystało na istotę mityczną, od początku ma dwa imiona. „Aleksandrę” wymyśli siostra. „Olge” rejestruje w urzędzie stanu cywilnego ojciec, bo na rauszu zapomni o ustaleniach.

Kiedy Marcinowi Ostrowskiemu rodzi się ostatnie dziecko, ma 54 lata. Wstydzi się tego. Czuje się stary i niepotrzebny, przegrany. Przed wojną był kimś, policjantem, przedstawicielem inteligencji. Teraz nadchodzi go UB, musi wykonywać urzędniczą pracę za marne pieniądze. Nie zabiega o zmianę, ucieka w alkohol, fantazje o upadku komunizmu i odzyskaniu buczackiego życia wraz z majątkiem. Małą Olgę-Aleksandrę prosi, by w towarzystwie nieznajomych mówiła do niego „dziadku”.

Pierwszy dom w życiu Kory to głównie domena matki. Emilia, wykształcona przed wojną na nauczycielkę, zajmuje się piątką dzieci i mężem: gotuje, pierze, sprząta. I dorabia do skromnego budżetu szyjąc lalki i wypłatając siatki z igielitu, czasem zasypiając przy tej robocie ze zmęczenia. Zna kilka języków, maluje akwarele, ma piękny głos – mezzosopran, ale jej jedynymi występami jest śpiew podczas rodzinnych uroczystości, widowni – goście tłoczący się w mieszkanku na Grottgera.

→

Po matce Kora odziedziczy: muzykalność, poczucie estetyki, pasję czytelnictwa, zamiłowanie do sztuki. Emilia uwielbia możliwości, jakie w tym zakresie stwarza Kraków. Wieczorami pochłania książki, robi notatki z lektury, namiętnie słucha muzycznych audycji. Choć u Ostrowskich się nie przelewa, zabiera córki do opery, teatru, na wystawy. I nigdy się nie skarży, ma poczucie odpowiedzialności, przedwojenny etos pracy.

To też przejmie po niej Kora, która w ostatnich wywiadach wspomni, że dopiero choroba nauczyła ją asertywności. Kora-artystka, poza trasami koncertowymi zajmująca się dziećmi i kolejnymi domami, w których panuje wzorowy porządek. Znajomi będą patrzeć ze zdumieniem, jak gwiazda zakasuje rękawy i sama myje klatkę schodową w bloku. Perfekcjonistka. Zadaniowa. Nie lubi się nad sobą użalać, nawet gdy leży w szpitalach. Koncerty grywa z gorączką, na planie zdjęciowym stawia się na krótko po operacji, bo nie można zawieść ludzi, gdy dało się słowo. Archetyp bogini-wojowniczk, jak hinduska Kali. W tym ujęciu żeńska energia jest dominująca – aktywna, twórcza, stwarza i niszczy na przemian.



ARCHIWUM MATEUSZA JACKOWSKIEGO / WYDAWNICTWO ZNAK

Kora z synem Mateuszem, 1973 r.

W relacjach Kory Emilia stopniowo urasta do rangi opiekunczego anioła, niemal świętej. Malując gipsowe Madonny, mówi, że są dla niej symbolem matki. Rozmawia z nią, widuje ją w snach, nieliczne pamiątki po niej traktuje jak talizman. Wcześniej długo ma do niej żal o rozłąkę spowodowaną tułaczką między sierocińcem, szpitalem a domem dalekich krewnych.

Numer między numerami

Ma cztery lata, gdy ze starszą siostrą trafia do Jordanowa, do sierocińca prowadzonego przez siostry zakonne. Tego samego, który w 2022 r. stanie się przedmiotem śledztwa po reportażu TVN o przemocy, jakiej opiekunki dopuszczały się wobec podopiecznych z niepełnosprawnościami.

W połowie lat 50. dziewczynki z sierocińca też są dręczone psychicznie i fizycznie. Kora opowiada o tym po raz pierwszy publicznie w „Podwójnej linii życia”: nieustanna

kontrola, obsesje seksualne zakonnic, pruski dryl, brak prywatności. Wymuszona izolacja od siostry. O to wszystko właśnie czuje pretensje do matki, nim zrozumie, że przygnieciona obowiązkami ponad jej wiek i siły Emilia nie miała innego wyjścia, gdy zachorowała na gruźlicę, niż oddać czasowo dzieci pod cudzą opiekę.

Potem okazuje się, że sama Kora ma gruźlicę oczu. Od ślepoty ratuje ją kilka miesięcy w szpitalu w Witkowicach. Wspomina, że na odwiedzinach bliskich czekała jak pies w azylu. W międzyczasie jest jeszcze pobyt u przyszywanego wujostwa w Jabłonowie Pomorskim, gdzie skłócenie dorośli próbują wciągnąć dziecko w małżeńskie rozgrywki i zmuszają do pracy przy obsłudze stacji meteorologicznej.

Ratuje ją przyroda: ogród obok sierocińca, pobliski las. I książki, bo w Jordanowie nauczy się czytać. Pierwsza próba na drodze bohaterki kończy się zwycięsko. „Gdy (...) ktoś mówi, że stałam się tym, kim jestem, bo miałam trudne dzieciństwo, zalewa mnie krew. Nigdy nie dopuściłam do tego, żeby ucierpiała moja godność. Nigdy się nie poddałam, nie spadłam na dno” – będzie mówić w wywiadach. Umiejętność szybkiego powrotu do równowagi to cecha wspólna

wielu wychowankom domów dziecka, którzy na wrażliwą skórę nakładają pancerz i prą do przodu jak czołg.

Ale sierociniec, a potem kolejne peregrinacje zostawia też ślady. Rodzącą nieustanne napięcia potrzebę zwracania na siebie uwagi, by nie być numerem. Poczucie niewiedzialności, niepotrzebności. Głód czułości. Kora porównuje to do stałego zanurzenia w roztworze tęsknoty, bez którego potem trudno funkcjonować. A także potrzeba własnego kąta i dbałość o dom, cokolwiek by był – choćby pustostanem na warszawskim Mirowie. Z każdej dziury potrafi zrobić coś miłego. Jak wspomina znajomi w rozmowach z jej biografkami, nie znosi hoteli. Woli zapakować się do samochodu i wrócić do siebie, nawet gdyby oznaczało to pół nocy w podróży.

Ocean wolnego czasu

Kraków, ten z lat 70. XX wieku. Piwnica pod Baranami, Krzysztofor, pracownie artystów, teatry studenckie, kawiarnia Rio, Kolorowa. Gdy ma się 17 lat, jest dokąd uciec z bloku na krakowskich Azorach, gdzie przenosi się Emilia Ostrowska z dziećmi po śmierci męża (odejdzie na zawał rankiem we własne urodziny, znajdzie go Ola, która chce złożyć ojcu życzenia). Gomułkowskie osiedle, kiepska opinia, wszędzie daleko. W takiej atmosferze łatwo utonąć, jak dorośli już bracia, którzy popadli w alkoholizm i uosabiają wszystko, czego Kora nie znosi: brud, zaniedbanie, bezwolne poddawanie się losowi.

Już dwa razy próbowała się zabić – na Grottgera. Raz we wczesnym dzieciństwie połknęła plastelinę. Z ciekawości. Drugi jako 10-latka – tym razem są to tabletki popite roztopionym śniegiem. Znajduje ją brat, zmusza do wymiotów. Za trzecim razem sąsiadka dojrzy jej głowę wystającą z łazienkowego okna i wezwie pogotowie. Zainspirowana sceną



Śmierć jest dla Kory
kobietą. W sukni
z czarnej koronki,
z czarną parasolką.
Zobaczy ją w śnie,
gdzie biegnie za nią
mężczyzna
ze strzykawką.
Za oknem widzi
zbliżającą się
czarną damę, która
w ostatniej chwili
zmieni się w czarnego
łabędzia.

MICHAŁ DYJUK / FORUM

Mural autorstwa Brunona Althamera. Warszawa, styczeń 2019 r.

z „Pociągów pod specjalnym nadzorem” przecięła sobie żyły i weszła do wanny z gorącą wodą. Przestraszyła się, zapragnęła żyć. Tratwą, która przenosi bohaterkę z ciemności na drugi brzeg, okazuje się sztuka, kontrkultura.

Od hipisowskiej przyjaciółki Galii dostanie imię – symboliczny element każdej inicjacji i przepowiednię przyszłości. Od środowiska dzieci kwiatów – ideały tolerancji, równości oraz środki zmieniające świadomość (w chorobie marihuana objawi też walory medyczne). Hipisi dadzą jej też to, co w jej życiu najważniejsze: miłość i muzykę. A także wolność. Kora żyje, jak chce, jest otwarta (choć nie ekshibicjonistyczna, pewne rzeczy zachowuje dla siebie), do końca życia wali prosto z mostu. Niektórzy się obrażają, traci przyjaźnie. Szokuje nieprzychylnych do otwartego mówienia o seksie, gdy w wydanej w latach 90. autobiografii wspomina o potrzebie istnienia domów publicznych dla kobiet. W „Podwójnej linii życia” wyznaje, że jako dziewczynka była molestowana przez księdza z sąsiedztwa. Ta opowieść przechodzi bez echa – pozycja Kościoła w polskim społeczeństwie jest jeszcze zbyt silna.

Nadchodzi czas kochania

Nawet wśród hipisów kobiety są w tle, mężczyźni pamiętają głównie ich urodę i stroje. Kora z tamtego czasu to dziewczyna „Psa” – Ryszarda Terleckiego. Wątek, który nieustannie ekscytuje tabloidy, bo dziś to prawicowiec i wicemarszałek Sejmu. Najpierw jest z Galią, potem z Korą. Na krótko – rozstają się, Kora ma innych chłopców. Na koncercie zespołu Vox Gentis w Piwnicy pod Baranami wpada w oko Markowi Jackowskiemu.

On się zakochuje. Ona nie jest pewna, ucieka. Jeszcze myśli stereotypowo: szuka oparcia w mężczyźnie. Zdaje się jej, że Jackowski, starszy od niej, poważny, będzie opoką. Kora zachodzi w ciążę.

Biorą ślub, choć Emilia Ostrowska nie była zachwycona wyborem córki: bała się, że w związku z muzykiem będzie przymierał głodem. Gdy rodzi się syn Mateusz, żyją nadal po hipisowsku, Kora dorabia pracując w klinice psychiatrycznej. Podśpiewuje też w chórkach w Osjanie – eksperymentalnym zespole założonym przez Marka z Jackiem Ostaszewskim. Czyli odgrywa rolę pomocniczą, matki uwijającej się za kulisami z synkiem, która próbuje jeszcze uczęszczać jako wolna słuchaczka na wykłady w ASP.

Marek od dawna wychwalał jej barwę głosu, zachęcał do śpiewania. Inklinacje objawiała już w dzieciństwie, występując podczas przedstawień w sierocińcu, akompaniując radiowym rewiom. Pierwszy raz wystąpi jako wokalistka z jego nowym zespołem – Maanamem – w 1976 r. w Poznaniu, na scenie Klubu Medyka Aspirynka. Wtedy rodzi się po raz kolejny – jako artystka. Na festiwalu w Opolu porzuci hipisowski *image*, drapieżnym występem zaskakuje publiczność przywykłą do gładkich szlagierów.

W międzyczasie Jackowscy przenoszą się do Warszawy. Tam Kora zakotwiczyna na dłużej. W windzie bloku przy Ogrodowej, w którym mieszkają z Markiem, pozna Kamila Sipowicza. Wróci do niej we śnie. Znów historia jak z mitologii: uwiedzenie Adonisa. Wbrew stereotypom: to ona jest starsza, zamężna, doświadczona. Krótko potem na świat przychodzi drugi syn Kory, Szymon. Maanam koncertuje coraz więcej, także na Zachodzie, staje się sławny, wyznacza trendy.



Koncert zespołu Maanam w kinie Związkowiec. Kraków, 1994 r.

skim, Kora postawi warunek. Zamieszkają razem dopiero, gdy będzie ich stać na duże mieszkanie, każde z osobną przestrzenią dla siebie, bez której ona się dusi. Ich związek jest burzliwy: rozstania i powroty. Najważniejszy mężczyzna w życiu Kory, który zawiódł ją podobnie jak inni, dostał jednak drugą szansę od bogini i wykorzystał ją z nawiązką, opiekując się nią z poświęceniem pod koniec jej życia.

Bądź taka, nie bądź taka

Kora z czasów domu na Powiślu jest szczęśliwa – hipnotyzująca kobiecością, rozwibrowana. Jej twórcza energia nie ogranicza się do tekstów i muzyki. Wypełnia kolorami obrazy Kamila, maluje Madonny, rozdawane potem przyjaciółom, urządza kolejne domy – na podwarszawskim osiedlu, na Bielanach, Mazurach, wreszcie na Roztoczu w Bliżowie.

By dotrzeć do tego etapu, bohaterka mityczna musi jednak najpierw przejść przez ciemność – tę obecną na płytach Maanamu z czasów stanu wojennego. Spada na nią wtedy wszystko

naraz – rozwód, brak koncertów i zakaz emisji utworów w radiu po tym, jak przeciwstawia się władzy, odmawiając występu na zjeździe socjalistycznej wierchuszki młodzieży. Wtedy Kora pokazuje siłę i bezkompromisowość, za którą płaci cenę, pozbawiona publiczności, podziwu, adrenaliny.

Mierzi ją syndrom ofiary. „Tylko w ważnych momentach trzeba się do drugiego zwracać. Uważam bowiem, że człowiek nie powinien zwracać głowy innym. Powinien sam umieć przeżywać swoje problemy i umieć sam z tych problemów wychodzić metodą przemyśleń, metodą rezygnacji, wchodzenia w siebie, oceny sytuacji”. Depresję przeżywa w domowym zaciszu. Twierdzi, że pomogły jej masaże.

Siłę pokazuje także wtedy, gdy w 1986 r. rozwiązuje zespół, uznając, że muzycy, włącznie z byłym już mężem, są na permanentnym rauszu i nie da się z nimi współpracować. Oraz gdy w latach 90., już w realiach wolnego rynku, nie podporządkowuje się komercji, królującej w stacjach radiowych i wytwórniach. Robi swoje. Po kolejnym – zawodowym – rozstaniu z Jackowskim kompletuje nowy zespół, od współpracowników żąda jakości.

Na tym etapie wędrówki bohaterka coraz częściej wchodzi w rolę mentorki. Dzieli się przemyśleniami – co jeść, jak żyć, jak rządzić. Ale też – co czytać, bo książki pochłania jak za młodu, jest na bieżąco z nowościami.

Jest Antyгона

Przed stanem wojennym ma sen (sny są ważne dla Kory, której atrybutem jest mak, rosnący nad brzegiem Lety, granicy między krainą życia a wiecznego snu): stoi na wiejskiej drodze, przed nią figurka Madonny, dookoła głowy gwiazdy.

→ Na pozór wszystko się układa. Ale iluzja harmonii wspólnego życia – w domu i pracy – stopniowo się rozwiewa.

Ciągle pan pyta, co sądzę o mężczyznach

Jackowski to nie pierwszy mężczyzna w rodzinnej historii, który ucieka przed problemami w alkohol i romanse. Pierwszym w linii był biologiczny ojciec matki Kory, znany lwowski adwokat Monastyrski, który nie poślubił panny z dzieckiem, bo byłby to skandal. Na wysokości zadania stanął dopiero Stanisław Siarkiewicz, który związał się z babką Kory i uznał dziecko za swoje. Piętno nieślubnego dziecka ciążyące nad Emilią do długo temat tabu, bliscy obawiają się, żeby Kora przypadkiem nie wspomniała o tym w wywiadach. Moc weźmie z linii żeńskiej, mrok – domena Hadesa – to cechy ojca, poddającego się bezwolnie losowi, a także braci.

Jak zauważyła Katarzyna Kubisiowska w biografii „Kora. Się żyje” (ma już kolejne dodruki, sprzedano też prawa do jej sfilmowania), bracia stapiają się w opowieściach wokalistki w jeden podmiot. A przecież to trzy różne osoby. W przypadku dwóch pierwszych schemat identyczny: denaturat, meliny, zebranie. Trzeci, Tadeusz, wycofany, niezaradny, mieszka do śmierci z matką. Później matkować będzie mu najmłodsza siostra. Dwaj starsi też ją nachodzą, proszą o pieniądze. Daje na odczepnego. Andrzej i Jerzy zapijają się na śmierć. Pierwszy przed pięćdziesiątką, drugi po trzydziestce, pod śmietnikiem.

Przed odpowiedzialnością ucieknie też Kamil. Przestraszy się mężatki z dzieckiem, wyjedzie za granicę. Związek Kory z Markiem mimo to rozpada się, nawet jeśli on nie wie (nie chce wiedzieć?), że Szymon nie jest jego dzieckiem. Gdy zjedzą się z Kamilem na nowo, już po rozwodzie z Jackow-

I nagle gipsowa święta ogromnie do rozmiarów wielkiej robotnicy z socrealistycznych rzeźb. Biegnie do czekającego na nią tłumu. „Uważam, że kobiety potrafią wszystko unieść, są niesamowite” – powie w jednym z ostatnich wywiadów.

Kobiety są przy niej w trudnych momentach. Ratują z opresji. Niektóre zastępują matkę. Pani Lusja – Łucja Dwer-nicka, która zajmuje się domem i synami w latach 80., pociesza, stawia na nogi. Nastoletnie fanki, którym to ona matkuje. Przyjaciółki, które nie odstępują w potrzebie: Magdalena Środa, Henryka Bochniarz, menedżerka Katarzyna Litwin. Starsza siostra Anna. Opiekunka medyczna Magdalena Kłorek, towarzysząca w końcówce życia.

Śmierć też jest dla Kory kobietą. W sukni z czarnej koronki, z czarną parasolką. Zobaczy ją w innym śnie, gdzie biegnie za nią mężczyzna ze strzykawką. Za oknem widzi zbliżającą się czarną damę, która w ostatniej chwili zmienia się w czarnego łabędzia.

Sen zjawia się na długo przed tym, jak Kora dowie się, że ma nowotwór jajnika, w czwartej fazie, już z przerzutami. Tę próbę bohaterki, kolejną wędrówkę przez ciemność śledzą bliscy i nieznajomi. Operacje, chemie, wszystkie możliwe próby ratunku, fizyczna i psychiczna męczarnia. Gdy choroba mniej daje się we znaki – Roztocze, powrót do natury, bogini zajmująca się przyrodą, otoczona zwierzętami.

U kresu wędrówki – zgodnie z typologią Campbella – mityczny bohater lub bohaterka staje się też zbawcą świata. Kora nagłaśnia w mediach potrzebę dofinansowania przez

państwo leku olaparib – kosztownej substancji, która pomaga łagodzić efekty uboczne choroby. Udaje się. Z refundacji dzięki niej skorzystają inne pacjentki.

Przejmujące relacje z ostatnich chwil mówią o niesłychanej woli życia, której jest uosobieniem. Po śmierci – o nadzwyczajnych znakach w przyrodzie, przeczuciach, snach, przejawianiu się. A że nie ma jednej Kory, bo to prawdziwa bohaterka o tysiącu twarzy, „każdy człowiek musi znaleźć taki aspekt mitu, który będzie związany z jego własnym życiem” (jeszcze raz Campbell). Mit Kory jest nam wszystkim nieustająco potrzebny.

© BEATA CHOMĄTOWSKA



■ Korzystałam z książek: Kory Jackowskiej i Kamila Sipowicza „Kora i Maanam. Podwójna linia życia”, Beaty Białej „Śłońca bez końca. Biografia Kory”, Kamila Sipowicza „Hipisi w PRL-u”, poświęconego Korze wydania pamiątkowego magazynu „Viva” z 2018 r., Katarzyny Kubisiowskiej „Kora. Się żyje” oraz archiwalnych wywiadów i programów prasowych, telewizyjnych i radiowych z udziałem Kory.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11–15 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11–15 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES//manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

STANISŁAW

Mancewicz:

Kto to jest?



RZEC TRZEBA, ŻE CZŁOWIEK NA FOTOGRAFII nigdy nie wygląda ani źle, ani dobrze, ani mądrze bądź niemądrze, chudo bądź grubo, staro czy młodo, ani jakkolwiek, bo zawsze wygląda po prostu tak, jak wygląda. Bardzo często dla oglądającego ja-

śna jest rola i dola sfotografowanego, ale także często nic z fotograficznego uwiecznienia nie wynika. Nic nie wiadomo, bo nic nie widać, prócz tego, co widać.

Tą znakomitą, uniwersalną i zasadniczo śmieszną w swej prostocie i elegancji myślą postanowiliśmy rozpocząć nasze dzisiejsze mniemania na temat zdjęcia ilustrującego kolejny debiut Jarosława Kaczyńskiego w roli wysokiego funkcjonariusza państwowego. Fotografia, która parę dni temu obiegała tutejszy świat widzialny, przedstawia Jarosława Kaczyńskiego w sali plenarnej Rady Ministrów RP. Tłem mu są dwie flagi, flaga polska oraz niebieska ze złotymi aplikacjami, i godło państwowe na ścianie. Obok Jarosława Kaczyńskiego siedzi mężczyzna w okularach.

Gdy – co nie jest wcale proste – oderwać na chwilę wzrok od wyrazu twarzy Jarosława Kaczyńskiego, przykuwa uwagę ogromna, naprawdę wielka ilość srebrnych termosów na stołach ustawionych w sali, a za stołami także ilość siedzących, łysiejących mężczyzn w garniturach. Są oni tłem dla kolejnego raz debiutującego, choć widać ich na pierwszym planie. Jest to niejako dowód, że jakże często pierwszy plan jest bez znaczenia, gdy w planie drugim siedzi ktoś, od kogo nie da się oderwać wzroku. Oto nie bardzo wiadomo, jaką rolę odgrywają łysiejący mężczyźni ani co robi mężczyzna w okularach siedzący obok Jarosława Kaczyńskiego.

W innych, podobnych temu kadrach, wciąż widywanych, ale kompletnie nieciekawych, przedstawiających,

dajmy na to, zebrania rad nadzorczych, spotkania władz korporacji, wojskowe rady ocalenia narodowego bądź międzynarodowe kongresy, w tak solidnej bliskości postaci centralnej, jak ów mężczyzna w okularach, znajdują się na ogół sekretarze bądź tłumacze. Ludzie przekładający swym szefom ważne treści z języków obcych albo interpretatorzy bądź analitycy albo suflerzy, albo dopowiadacze, albo lekarze bądź pielęgniarze albo ochroniarze. Są to oczywiście funkcje ważne, ale – wypada to rzec ze wstydem i troską – najczęściej ich rola jest pomijana i bardzo rzadko się zdarza, by w pamięci kogokolwiek zagnieździł się wizerunek kogoś w tym typie, tego zajęcia i z tego szeregu. Zakładając, że podobny jest los osoby w okularach uwiecznionej na omawianej dziś fotografii, a siedzącej obok Jarosława Kaczyńskiego, wypada może powiedzieć, w trosce o dobrostan tego człowieka, ale też ze względu na jego godność, że wiemy, kto to jest, tzn. jak się nazywa. Choć jest to tylko częściowe rozwiązanie zagadki dręczącej uważnych obserwatorów życia publicznego w Polsce, ogłaszamy, że na inkryminowanej fotografii widać Jarosława Kaczyńskiego i siedzącego obok Mateusza Morawieckiego.

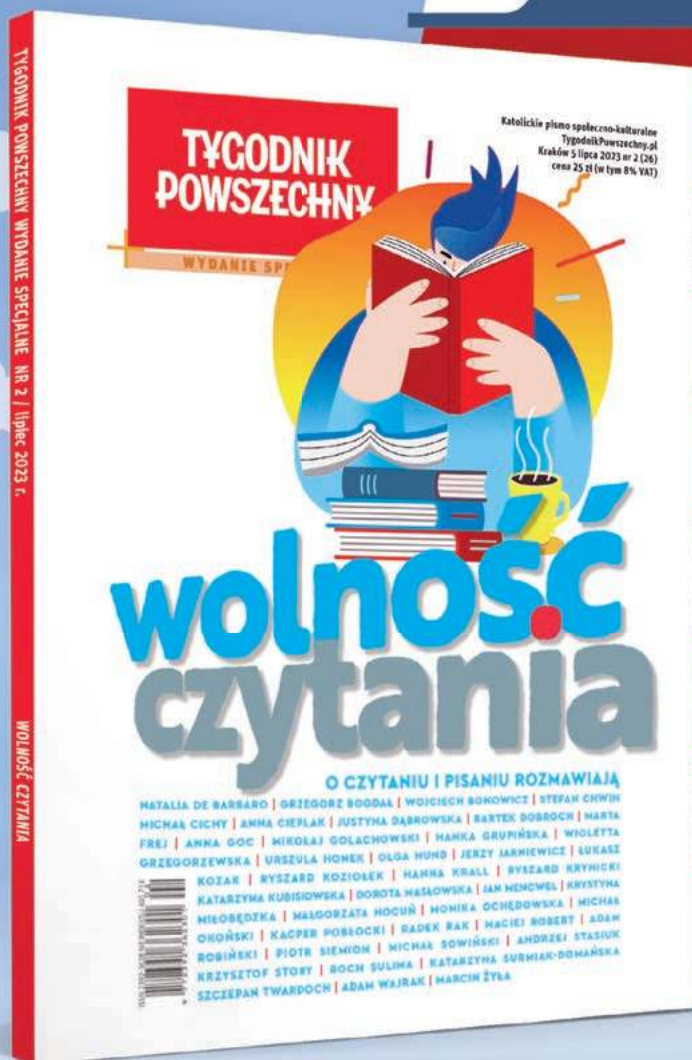
Warto by się teraz zastanowić, to logiczne, kim jest Mateusz Morawiecki, że dostąpił szalonej bliskości z Jarosławem Kaczyńskim, bliskości obcowania ramię w ramię, bok w bok, na poziomie kilkunastu może centymetrów, oraz co robi na tej fotografii, tzn. jaka jest jego rola w omawianej dziś, sfotografowanej scenie.

Znakomicie redagowana przez zorientowane w każdej materii rzesze ludzkie Wikipedia daje, wydawałoby się, wszystkie wyczerpujące informacje na temat życia, kariery i twórczości Mateusza Morawieckiego. Poza Wikipedią o Mateuszu Morawieckim można się dowiedzieć jeszcze więcej. Są to fakty i mity, prawdy i nieprawdy, wiadomości sprawdzone i niesprawdzone, krzywdzące i schlebające, ale – do stu tysięcy beczek polskiej szczepionki na COVID-19, na względ milionów mieszkań za złotówkę, także milionów polskich aut elektrycznych, stu przekopów przez milion Mierzei Wiślanych – nie da się w żadnym zakątku internetu znaleźć choćby cienia uzasadnienia, dlaczego i po co Mateusz Morawiecki znalazł się o tym czasie, w tym mieście, w tej sali, przy tym stole i w tym towarzystwie. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



CZAS NA ROZMOWĘ



Nowe wydanie specjalne **już w sprzedaży!**
Szukaj w miejscach z dobrą prasą
lub zamów swój egzemplarz
na zamowienia@tygodnikpowszechny.pl

WSPÓŁWYDAWCA:



PARTNERZY WYDANIA:



 **Kraków**



**NAGRODA
DEUTSCHE
BÖRSE
PHOTOGRAPHY
FOUNDATION
2023**

**BIEKE DEPOORTER
SAMUEL FOSSO
ARTHUR JAFÄ
FRIDA ORUPABO**

1.7-17.9.2023

**MUFO RAKOWICKA
UL. RAKOWICKA 22A**

MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA